



WYDANIE NA NOWY ROK – 100 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 1/610 6 STYCZNIA 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Rozmowa z nowym prezesem
Trybunału Konstytucyjnego



KIM BYŁ SZUCHEWYCZ
– PROWODYR
MORDÓW UKRAIŃCÓW
NA POLAKACH

Bądź piękna i milcz
– powrót Melanii Trump

2025



Czyj to będzie rok?

Golonka: CZY TRUMP ZAKOŃCZY WOJNĘ NA UKRAINIE • Warzecha: POLSKA W ŚWIECIE „NOWEGO ŁADU TRUMPA”
Semka: KTO WYGRA WYBORY PREZYDENCKIE W POLSCE • Ziemkiewicz: CZY RZĄD TUSKA PRZETRWA DO KOŃCA 2025 R.
Cukiernik: UNIA EUROPEJSKA SIĘ ZAWALI? • Chmielewski: JAKA PRZYSZŁOŚĆ CZEKA NASZ KOŚCIOŁ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 172299 850000 0 1 >
Nakład: 46 500 egzemplarzy

**Musimy zatrzymać unijny zakaz rejestracji
nowych samochodów spalinowych od 2035 r.
Nie możemy ograniczać wolności obywatelom.**



**Śledź moją
aktywność
w Parlamencie
Europejskim!**

www.ecrgroup.eu

Jacek Ozdoba

POSEŁ DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO



@JOzdoba



@OzdobaJacek



OzdobaJacek



@j.ozdoba



@j.ozdoba

epi.3d.pl/41120057

ce 2024 01 07 12:15



Nowego 2025 roku
przepętnionego
pokojem i spokojem

Życzy

Redakcja „Do Rzeczy”



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Premier **spłaca** długi

W tygodniku „Do Rzeczy” od lat przestrzegałem, nie ja sam oczywiście, że w przypadku dojścia do władzy Platformy Obywatelskiej rządzący będą chcieli nałożyć Polakom na usta kaganiec i ograniczyć prawo wolnej debaty. Dokładnie to dzieje się na naszych oczach. Genderyzm jest jednym z trzech ideologicznych filarów działania współczesnej Unii Europejskiej – obok klimatyizmu i imigracjonizmu – i dlatego można było być pewnym, że Donald Tusk, dostawszy władzę z rąk Brukseli, będzie musiał za to odpowiednio zapłacić. Tą ceną jest m.in. przygotowywana przez ministra sprawiedliwości ustawa o tzw. mowie nienawiści.

Cała jej koncepcja zasadza się na przekonaniu, że negatywna ocena homoseksualizmu i transgenderyzmu jest przejawem uprzedzenia, choroby, niedojrzałości. W ten sposób próbuje się penalizować najbardziej podstawowe przekonania moralne, zgodnie z którymi pociąg seksualny może być zgodny lub sprzeczny z naturą, a istnienie dwóch płci nie jest konstrukcją społeczną

i kulturową, lecz obiektywną daną natury i biologii.

Nic dziwnego, że prace nad tą ustawą toczą się dokładnie w tym samym czasie, kiedy inna minister obecnego rządu, Barbara Nowacka, próbuje wprowadzić do szkół obowiązkowy program edukacji zdrowotnej, oparty także na promowaniu genderyzmu. Te dwie ustawy stanowią pewną przemyślaną całość: z jednej strony trzeba narzucić dzieciom nowe wychowanie, zgodnie z postępową, tęczaową ideologią – wszystkie orientacje są sobie równe, a płęć jest kwestią wyboru, z drugiej konieczny jest kij, przy pomocy którego będzie można okładać niepokornych rodziców. Z tego powodu nazywa się nienawiścią, a więc irracjonalną antypatią i wrogością to, co jest przejawem krytycznego, racjonalnego osądu.

Minister sprawiedliwości nawet nie ukrywa, że nowe prawo ma służyć aktywistom LGBT. Adam Bodnar: „Chciałbym Was bardzo przeprosić za krzywdę, której doznaliście ze strony państwa polskiego [...]. Możecie liczyć na maksymalne wsparcie w ramach

prac Ministerstwa Sprawiedliwości, prokuratury i moje jako Prokuratora Generalnego”.

Maksymalne wsparcie państwa dla promocji wynaturzeń? Brrr. To jasna zapowiedź, o co chodzi w całej tej tęczaowej hucpie. Nie mniej wyraźnie wypowiadał się wiceminister sprawiedliwości Krzysztof Śmiszek. Zadeklarował, że zmiany „przepisów dotyczących walki z mową nienawiści i przestępstwami motywowanymi homofobią i transfobią są dla nas priorytetem”. Priorytet i maksymalne wsparcie państwa dla moralnego i obyczajowego przewrotu – to jest prosty plan zniszczenia polskiej tożsamości.

Nie jest to teoria. Adam Bodnar już zapowiedział, że nowe prawo zagrozi więzieniem np. kibicom Polonii za transparent „Strefa wolna od LGBT”. Za takie wypowiedzi, niechętnie wobec ideologii gender, będzie grozić więzienie. Zamiast ścigać morderców, złodziei i przestępców, prokuratorzy będą śledzić poziom entuzjazmu dla aktywistów LGBT. W końcu Polska ma być uśmiechnięta, czyż nie? @@

NASTĘPNY NUMER TYGODNIKA „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ WE WTOREK 7 STYCZNIA 2025 R.

TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOŁONKA

CZY TRUMP ZAKOŃCZY WOJNĘ NA UKRAINIE?

Koło historii toczy się nieubłagane

17 ŁUKASZ WARZECHA

POLSKA W ŚWIECIE TRUMPA

20 PIOTR SEMKA

DO UTRATY TCHU

23 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CZY RZĄD TUSKA PRZETRWA DO KOŃCA ROKU 2025?

26 TOMASZ CUKIERNIK

EURODEKOMPZYCJA?

29 PAWEŁ CHMIELEWSKI

ROK KOŚCIELNYCH REWOLUCJI



OPINIE

56 OLIVIER BAULT

DEMOKRACJA LIBERALNA W STRONĘ DESPOTYZMU

Wojny kulturowe

60 ROBERT BOGDAŃSKI

MOGĘ ZAMKNAĆ SIĘ W DOMU...

61 ŁUKASZ WARZECHA

AKCJA PROWOKACJA?

62 JAKUB WOZINSKI

LIBERALIZM WEDŁUG TUSKA

65 KAJA GODEK

SEKS, KLIMATYZM, TRESURA

HISTORIA

68 ROZMOWA

Z PROF. JAKUBEM POLITEM

PRZEGRANY ZWYCIĘZCA

Dlaczego komuniści wygrali wojnę z Czang Kaj-szekiem?

74 ROZMOWA Z MARKIEM A. KOPROWSKIM

ROMAN SZUCHEWYCZ – KAT MAŁOPOLSKI WSCHDONIEJ

ŚWIAT

80 JAN BOGATKO

DONOSICIEL FILAREM DEMOKRACJI

Cenzura w Niemczech

82 MACIEJ PIECZYŃSKI

EZOTERYCZNY WSCHD

EKONOMIA

86 JACEK PRZYBYLSKI

POLSKI POWRÓT W KOSMOS

Wyścig po nieziemską przyszłość

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK

BĄDŹ PIĘKNA I MILCZ

Enigmatyczna Melania Trump

KRAJ

32 KAROL GAC

DOPAŚĆ ROMANOWSKIEGO

Polowanie na pisowców

36 ROZMOWA Z BOGDANEM

ŚWIECZKOWSKIM

TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY BĘDZIE DZIAŁAŁ

39 ADAM HLEBOWICZ

POŚWIECIĆ POLAKÓW

42 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

(NIE)SUPERNIANIA

KULTURA

44 PIOTR SEMKA

„SALAMBO”, CZYLI DUMA KARTAGINY

Wspólne dziedzictwo Francji i Tunezji

47 PIOTR GOCIEK

WSZYSTKO, WSZĘDZIE, ZAWSZE

54 GRZEGORZ KONDRASIUK

LITERA NIENAPISANEGO PRAWA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, GRA

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemięcki**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Wojciech Cejrowski, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Ćosić** (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, **Krzysztof Czabański**, **Łukasz Czamecki**,
Wojciech Golonka, **Ryszard Gromadzki**, **Marek Jurek**,
Jerzy Karwelis, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,
Monika Małkowska, **Gabriel Michalik**, **Andrzej Nowak**, **Jacek Pałkiewicz**,
Maciej Pieczyński, **Jan Pospieszalski**, **Tomasz Rowiński**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Błażej Torzański, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Dariusz Wieroniewicz**,
Jakub Wozniński, **Tomasz Wróblewski**, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**-
Pieczyska, **Małgorzata Puzry**, **Anna Skalska**, **Anna Szczepańska**, **Marcin**
Bugaj, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid**
Sienkowski, **Łukasz Żygadlo**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
Okladka: **Adobe Stock/12 kretek**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Lio**

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detałeczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Blondynki rządzą

Szanowni Państwo,
jak nazwaliby Państwo kogoś (instytucję, organizację, państwo), kto żąda od nas zamykania kopalń, likwidacji rolnictwa, wyprzedawania stoczni, deprawacji naszych dzieci, podmiany ludności? To rozsądne pytanie postawił pan Grzegorz Braun i odpowiedź na nie jest banalnie prosta, gdy myśli się bez uprzedzeń: oczywiście – wrogiem. Spełnienia tego rodzaju wymagań, których nigdy nie stawiał nawet nasz legendarny wróg, czyli Rosja, a przedtem Związek Sowiecki, życzy sobie właśnie Unia Europejska pod rządami blondynek – „Mutti” Merkel i pani von der Leyen. Z uporem maniaka Unia zwija przemysł w każdej postaci, od górnictwa po papierniczy, i tylko patrzeć, jak zawodowi (czytaj: płatni) ekolodzy zakażą używania nawet papieru toaletowego. Za tzw. komuny, owszem, także go nie było, ale zawsze było do dyspozycji przynajmniej gazety. A nam do wiadomych celów pozostaną chyba już tylko smartfony i tablety.

Obie panie przy wydatnym wsparciu lokalnych blondynek i panów w obcisłych garniturach za tysiące euro dążą do uzależnienia „swojego” terytorium od zamorskich dostaw ludzi i towarów o strategicznym znaczeniu, czyli lekarstw i żywności, co w razie np. pandemii czy wojny (czyż same bez przerwy straszą) musi skończyć się tragicznie.

W czym imieniu i interesie działają? Cemu chcą dokonać podmiany ludności, wymrozić, zamorzyć głodem i wyludnić część kontynentu? Bo chyba nikt nie uwierzy, że z czystego idealizmu.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Ceny masła i brak mleka

Szanowni Państwo,
w obliczu nadciągającej umowy handlowej z Merkosurem zachodzi poważne podejrzenie, że obłądny

wzrost cen masła i innych towarów, których Europa nie musi sprowadzać, bo jest w stanie produkować je sama nawet w nadmiarze, jest celowy i dobrze przemyślany. Zwykły Europejczyk musi bowiem odczuć na własnej skórze, że – pał sześć zdrowie i zielona gospodarka – on przecież musi jeść, a bez taniej i byle jak wytwarzanej żywności z Ameryki Południowej nie będzie to raczej możliwe. Z kolei takiej żywności nie da się produkować bez uzdrowienia, jak to mówią, „chorego człowieka Europy”. Jedynym lekarstwem okaże się niebawem eksport za morze niemieckich maszyn i ogólnie niemieckiego przemysłu. I w ten sposób koło się zamyka.

Nazwisko i adres do wiadomości redakcji

Rozdział państwa od Kościoła?

Absurdalny pomysł wprowadzenia prawnego zakazu spowiedzi dzieci i młodzieży przed 18. rokiem życia jest niekonstytucyjnym ograniczeniem wolności religijnej i prawa do wychowania dziecka wedle sumienia rodziców. Jest przejawem zakłamania tych, którzy opowiadają się za rozdziałem państwa i Kościoła. Ani jednym, ani drugim żaden polityk koalicji 13 grudnia się oczywiście nie przejmuje.

Śledząc komentarze w Internecie oraz rozmawiając ze znajomymi (także z tymi, którym do Kościoła raczej nie po drodze), dochodzę do wniosku, że ta akcja się Kościołowi tylko przysłuży. Dzieje się dokładnie to samo, co w kampanii prezydenckiej. Im bardziej wściekłe i absurdalne są ataki na Karola Nawrockiego, tym szybciej rośnie poparcie dla niego. Tu jest podobnie.

Ostatnio zbudował mnie komentarz jednego z księży, który powiedział, że jeśli zakaz zostanie wprowadzony, to on chętnie pójdzie do więzienia za to, że nie odmówi sakramentu pokuty osobie poniżej 18. roku życia, bo zakazać mu tego może tylko Kościół. Jako matka też jestem gotowa stanąć przed sądem za to, że moje dzieci będą nadal (a czynią to z własnej woli) przystępowały do spowiedzi.

Nazwisko i adres do wiadomości redakcji



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niemcy we mgle

Kancelerz Olaf Scholz z SPD wystąpił o wotum zaufania w Bundestagu i głosowanie przegrał. Oznacza to nowe, przedterminowe wybory parlamentarne 23 lutego 2025 r. Scholz, wystawiając się na ocenę deputowanych, nie miał specjalnego wyboru. Jego koalicja „światła drogowych”, czyli Socjaldemokraci, Zieloni i liberałowie z FDP, rozpadła się ponad miesiąc temu.

Nie widać żadnego silnego kandydata do przejęcia władzy. Najwięcej szans na zajęcie pierwszego miejsca mają chadecy pod wodzą bufonowatego chudzielca Friedricha Merza. W sondażach socjusz CDU-CSU otrzymuje 31,6 proc. Partnerem marzeń dla chadeków są liberałowie z FDP, ale na tych chce głosować tylko ok. 4 proc. Niemców, więc nie jest pewne, czy „żółci” przejdą próg wyborczy. Na drugiej pozycji jest AfD z wynikiem 18,6 proc., ale z nią nikt nie chce się wiązać. Na trzeciej pozycji jest SPD z wynikiem 16,5 proc., potem Zieloni (12,8 proc.). BSW, czyli skrajna lewica, to 5,7 proc. Reszta nie przekracza progów.

Co to oznacza w praktyce? Ano to, że nie widać szans na żadną wyraźną zmianę linii. Chadecy z liberałami mogą nie uzyskać większości. I wtedy wróci widmo GRoKo, czyli wielkiej koalicji chadeków z SPD lub CDU-CSU z Zielonymi. Padną głosy o priorytecie politycznej stabilizacji wobec rosnącej siły radykałów z prawa (w postaci AfD) i lewa. I na to liczy najwyraźniej wytrawny taktyk Olaf Scholz. W swojej SPD wytłumił głosy obwiniające go o rozpad koalicji, zdominował rywalą w obrębie partii – Borisa Pistoriusa – i uzyskał na nowo od socjaldemokratów status kandydata na kanclerza. A jak już wielkie partie lewicowo-liberalnego konsensusu siądą do stołu, to Scholz może wiele ugrać. Kanclerzem już raczej nie będzie, ale zachować wpływy dla SPD może.

Na żaden radykalny zwrot się więc nie zanoszą. A Niemcy właśnie takiego zwrotu pilnie potrzebują. Bo RFN w czasie 16 lat rządów Angeli Merkel nie zauważyła, jak bardzo zmienił się świat. Jak dalece niemiecka gospodarka zaczyna odstawać od USA czy Chin. Firmy

z Monachium czy Stuttgartu uciekają z produkcją za ocean lub do Państwa Środka, a w ich ojczyźnie pozostają zamykane zakłady i dziesiątki tysięcy zwalnianych pracowników, których praca jest zbyt droga. Aby wydobyć kraj Teutonów z tej pułapki, potrzebna byłaby albo jakaś charyzmatyczna postać, albo jakiś szok, który skłoniłby Niemców do rządów kogoś, kto nie bałby się bolesnych reform.

Niedawno na półkach księgarń niemieckich pojawiła się autobiografia „Wolność” autorstwa Angeli Merkel. Pani kanclerz nie ma sobie zbyt wiele do zarzucenia i wychwala swoje rządy. W kontraście do tego brytyjski „The Economist” zamieścił celną karykaturę. Na schodkach do wielkiego pomnika Frau Bundeskanzler siedzi mała leńka pani Merkel ze spuszczoną głową. Problem w tym, że nikt za Odrą nie ma odwagi ani determinacji, aby uświadomić Niemcom, że syta epoka „Mutti” („Mamuśki”) się skończyła. A wyjście z dołka wymaga potu i łez. No bo czy takimi hasłami wygrywa się w wyborach? ©©

KONIEC POTĘGI BERLINA?

Niemcy pogrążają się w największym kryzysie od lat. Fatalne dane napływają z gospodarki. Wzrost PKB znów nurkuje, a niemiecki przemysł przeżywa najgłębszą zapaść w powojennej historii. Żle się dzieje także w polityce. Friedrich Merz, lider CDU i najpoważniejszy kandydat do zastąpienia Olafa Scholza, zarzucił ustępującemu kanclerzowi Scholzowi, że nie dość, iż „kompromituje Niemcy” w UE, to prowadzi fatalną politykę energetyczną i zadłuża kraj kosztem kolejnych pokoleń. (jap) ©©



FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

Poświąteczne wydanie naszej rubryki zaczynamy od wiadomości świątecznych. Otóż Europa się chrystianizuje. W brukselskiej siedzibie europarlamentu przed świętami wylądowała wielka wystawa szopek świątecznych, łącznie z gigantyczną szopką z Malty. Została zorganizowana przez socjalistę, co wprawiło w konfuzję dotychczasowych liderów przedsięwzięć szopkowych, tzn. Hiszpanów z Partii Ludowej. Niektóre kraje mieniające się chrześcijańskimi nie przywożą jednak do Brukseli szopek. Cóż. Dla jednych ważna jest szopka, dla innych – tylko żłób.

Święcką świąteczną tradycją w Parlamencie Europejskim jest stawianie tam wielkiej austriackiej choinki. Tak się ustaroło. Choinkę trzeba jakoś przystroić. Zadanie to zwykle przypada asystentom austriackich eurodeputowanych. Tak było i w tym roku. Pracy było wiele, więc pokrzepiali się w trakcie napojami rozgrzewającymi. Tak się wnet rozgrzali, że pod koniec chwiali się na nogach. Nie możemy się już doczekać, kiedy będą rozbierać. Polak, Austriak – dwa bratanki, do choinki i do szklanki.

Choinka stoi w Brukseli, ale ostatnia przed świętami sesja europarlamentu odbywała się w Strasburgu. Gdzie austriackich drzewek brak, za to w ostatnim tygodniu przed Bożym Narodzeniem odbywały się rozmaite przedświąteczne uczty. Na przykład Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, podczas której Mateusz Morawiecki przemawiał już jako oficjalnie wskazany nowy szef partii. Ale przemawiał też – równie długo – Patryk Jaki, który został jednym z wicków zamiast Achima Brudzińskiego.

Apropos Morawieckiego – podarował był w Rzymie premier Meloni prezent w postaci książki „Władca Pierścieni”. Generalnie popieramy ideę, ale nieśmiało podpowiadamy, że zamiast lichego angielskiego paperbacka można było kupić piękne luksusowe wydanie włoskie, z ilustracjami, w twardej oprawie. Łatwo znaleźć: trzeba się w włoskich księgarniach rozglądać za „Il Signore degli Anelli”, edizione illustrata.

Czytelnicy pamiętają, że w poprzednim numerze w ramach prezentów świątecznych daliśmy Włodkowi Czarzastemu fotel marszałka Sejmu. Wyjaśniamy: Włodek ma obiecaną tę fuchę na drugą połowę kadencji rządów koalicji 13 grudnia, ale sprawa stoi pod znakiem zapytania. Słyszeliśmy, że Zły Donald Z Sopotu zgodzi się na tę wymianę tylko pod warunkiem, że Włodek wycofa Magdę Biejat z wyborów prezydenckich.

Co ciekawe, wiewiórki twierdzą też, że taką samą ofertę nie do odrzucenia od Złego Donalda dostał Szymon Hołownia. Który może zostać marszałkiem do końca kadencji, jeśli tylko wycofa z wyborów Szymona Hołownię. Tak czy inaczej, ktoś ma się wycofać, by ułatwić Rafciowi Trzaskowskiemu bój w pierwszej turze. Zobaczmy, kto pierwszy pęknie.

Tymczasem wśród gwiazd. Rzecz niebywała: Maja Komorowska pokłóciła się z wdową po Andrzeju Wajdzie, czyli Krystyną Zachwatowicz. Obie artystki od lat wspierały kolejno ROAD, Unię Wolności, KLD i wreszcie PeŁo. Ale poróżnił je stosunek do Ostatniego Pokolenia. Otóż Komorowska złożyła podpis po apelem o ratowanie płonącej planety. To doprowadziło do szału Zachwatowicz. I nie chodzi bynajmniej o planetę. Otóż Zachwatowicz jest przekonana, że Ostatnie Pokolenie to sojusznicy PiS, a może są nawet przez PiS finansowani. Sami nie wiemy, komu w tym sporze mamy kibicować.



Info z portalu X, ale ponieważ nie przebiło się do opinii publicznej, podajemy je do wiadomości. Otóż niedoszły prezydent Krakowa Łukasz Gibała ustalił, że krakowski magistrat na catering wydał kilkaset tysięcy złotych. Gibałę zainteresowało, co też tyle kosztowało. Poprosił więc o pokazanie mu menu. Spotkał się z odmową ze względu na... ochronę praw autorskich. Tego jeszcze nie grali. Musimy pomyśleć, jak to wykorzystać. Swoją drogą, pomyślcie, ile na kulinarnych tantiemach mogli zarobić tacy ludzie jak Strogonow, Wellington czy Sandwich. O ruskich pierogach nawet boimy się myśleć.

Uradowała was wiadomość, że Mark Brzezinski, ambasador USA oraz LGBT w Polsce, opuszcza warszawską placówkę. No to mamy dla was złą wiadomość. Markowi tak się spodobała ojczyzna przodków, że zamierza w niej pozostać – wraz ze swoją polską wybranką serca. Jakby tego było mało, podobno chce wystąpić o uznanie polskiego obywatelstwa, które mu przysługuje jako synowi obywatela polskiego. Węszymy przyszedłgo posła Platformy Obywatelskiej.

Według naszych wiewiórek Mark Brzezinski rzutem na taśmę miał zabiegać w Waszyngtonie u zdychającej administracji Bidena, żeby nie wierzgąła przeciw planom wprowadzenia TVN na listę spółek strategicznych. Niewiele wskórał. Ale głęboko wierzymy, że jak Niemcy kupią firmę z Wiertniczej, to znajdzie się tam dobrze płatna posada dla Marka. Bo akurat takich jankesów to Niemcy bardzo lubią.

Przypomniała nam się jeszcze jedna anegdota. Co prawda, sprzed dwóch lat, ale wciąż świeża, bo nigdzie niepublikowana. Otóż Mark po inwazji na Ukrainę wpadł do Pałacu Prezydenckiego z awanturą, że nie został poinformowany, iż Polacy prześlą migi Ukraińcom. Miał pecha, bo wpadł na ówczesnego prezydenckiego ministra Jakuba Kumocha, który warknął: „Mark, nie zapominaj, proszę, że jesteś ambasadorem, nie gubernatorem”. Uznajemy tę anegdotę za wiarygodną. Znamy bowiem skłonność Kuby do rymowanek. ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dobry Wieczorek

Partia Razem postanowiła pokazać, że jeszcze istnieje. Adrian Zandberg z Marceliną Zawiszą chcieli więc skorzystać w tym celu z możliwości „kontroli poselskiej”. Za czasów PiS nieustannie szwendali się po różnych instytucjach posłowie PO, szczególnie duet Dariusz Joński i Michał Szczerba, ciągnąc za sobą ogony kamer różnych tefaleńców i ogłaszając im co chwila, że znaleźli „taaaakie dowody” PiS-owskich zbrodni. Coś takiego marzyło się przywódcom pozarządowej lewicy, gdy wybrali się do biur Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska z kontrolą programu „Czyste Powietrze” i zamiarem wskazania winnych niedawnego skandalu z „pompami ciepła”.

Zapomnieli o jednym – że teraz nie rządzi już PiS, który tak łatwo było zastraszyć i zaszantażować powoływaniem się na praworządność. „Uśmiechnięte” kierownictwo NFOŚ po prostu „kontroli poselskiej” nie wpuściło, wysyłając ich na bambus, skąd oboje wysłali pełen oburzenia i bezsilności i przez nikogo prawie nieodnotowany protest na ręce partyjnego przełożonego minister Pauliny Hennig-Kłoski, marszałka Szymona Hołowni, apelując do jego „przwiązania do zasad parlamentaryzmu”. Jak mawiał śp. Jan Tadeusz Stanisławski: „I to by było na tyle”.

Z pozoru historyjka ta zdaje się potwierdzać słuszność postawy pani Magdaleny Biejat, która opuszczenie partii Razem moty-

wowała jej „brakiem sprawczości”. Lewica rządowa doceniła to, czyniąc ją swą kandydatką w kampanii prezydenckiej. Tylko że to żadna łaska, bo w sytuacji, gdy kandyduje Rafał Trzaskowski, dzięki swym tęczowym akcjom, bardziej w elektoracie lewicy popularny niż którykolwiek z jej liderów, pomniejszy kandydat lewicowy skazany jest na upokarzającą klęskę.

Chyba że byłby nim – jest jeszcze czas to zrobić – minister nauki Dariusz Wieczorek. Człowiek, który i działkami umie zakręcić, i zarządzić stanowiskami, i nawet zorganizować „zamiętych” ze znajomym rektorem. Rozpoznawalny, zaradny – ikona lewicy prawdziwej, a nie teoretyzującej.

Taką mam koncepcję. ©©

OD POCZĄTKU

Kompromitacja Obywatelska



MAREK JUREK

W czasie prawyborów w 2010 r. uprawnionych do głosowania w samej Platformie Obywatelskiej było 44 tys. członków. W tym roku do głosowania w całej Koalicji Obywatelskiej uprawnionych było już tylko 25 tys. członków. Aktywność obywatelska zanika, przynajmniej w deklaracyjnie „obywatelskiej” Platformie i wspierającej ją Koalicji. Żeby dobrze interpretować dane, warto je odnosić nie do życzeń, ale do realnych analogii. W tegorocznych prawyborach Partii Demokratycznej w New Hampshire głosowało 123 tys. osób. I w samym tylko New Hampshire na kongresmena Deana Phillipsa głosowało więcej osób niż na Rafała

Trzaskowskiego w prawyborach w całej Polsce. New Hampshire liczy sobie 1,3 mln ludności, czyli 28 razy mniej niż nasz kraj. A Dean Phillips oczywiście z prezydentem Bidenem przegrał i bynajmniej z New Hampshire ani w ogóle z Nowej Anglii nie pochodzi. Jest kongresmenem z Minnesoty i tam się urodził. To daleko od New Hampshire niż Słubice od Warszawy.

Dewolucja prawyborów PO dobrze ilustruje zjawisko szersze – postępującą oligarchizację całego życia politycznego. Tym bardziej że zilustrowany tu zanik opinii publicznej ma miejsce w partii (a nawet w całej Koalicji) programowo „Obywatelskiej”, więc teoretycznie promującej Aktywność, Partycypa-

cję, Pluralizm, Prawo Protestu; listę tych frazesów można by ciągnąć bez końca.

Konstytucja (nie KonstytucJA, proszę nie mylić) pięknie, zgodnie z zasadami filozofii klasycznej czyni z partii ciała pośredniczące. „Partie polityczne zrzeszają [obywateli] w celu wpływania metodami demokratycznymi na kształtowanie polityki państwa”. Te konstytucyjne partie istnieją jednak głównie w teorii lub na marginesie życia publicznego. W praktyce zastępują je partyjne centrale, same stanowiące jedynie aparat wykonawczy autokratycznych liderów. No ale czy społeczeństwo się na to zgadza? A owszem, zgadza się, i tu jest właśnie największy problem. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Europa rozpada po upadku rządu w Niemczech



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

W obronie bezkarności

W największych włoskich miastach odbyły się demonstracje przeciwko nowemu dekretowi bezpieczeństwa, który zastrzaja kary za wiele przestępstw. Chodzi m.in. o okupację nieruchomości, ataki na policję, oszpekanie dzieł sztuki, fasad, wandalizm, zakłócanie ruchu, wysyłanie dzieci na żebrzy albo na kradzież zamiast do szkoły.

Oczywiście można dyskutować, czy zastrzanie kar rzeczywiście odstrasza. Niemniej jednak dekret dotyka największych plag włoskiego życia społecznego, które dotychczas – też dzięki zideologizowanym sędziom i lukom, a właściwie kretyństwu prawnym – najczęściej uchodziły bezkarnie.

Doszło do tego, że mieszkańcami komunalnymi w Rzy-

mie, Mediolanie czy Neapolu nie zarządzają władze miejskie, a gangi lub mafia.

Efekt? Emeryt wraca do swego komunalnego mieszkania, a tam już mieszka kto inny. Niemal zawsze kobieta w ciąży albo z małym dzieckiem, więc wyrzucić ich nie sposób. Podobnie z rodziną, która wynajęła mieszkanie B&B na trzy dni, ale zajmuje je, nie płacąc od kilku miesięcy. Uczniowie okupujący rzymskie liceum przez 12 dni w imię walki z faszyzmem spowodowali szkody na 2 mln euro. Dotychczas koszty ponosiło państwo. Teraz, przynajmniej po części, będą płacić za to rodzice rozbudzonej politycznie gówniarzerii.

Można odnieść wrażenie, że w licznych demonstracjach propalestyńskich czy antyrząd-

wych chodzi głównie o to, żeby prowokować i łąć się z policją. Nie darmo w ostatnich protestach młodzież zaatakowała policję pod hasłem: „Dobry policjant to martwy policjant”. Jeden z zatrzymanych miał 14 lat.

Protesty przeciw nowemu dekretowi bezpieczeństwa z udziałem polityków lewicy odbyły się w imię obrony demokracji i prawa do protestu. Oszalała po wielu porażkach politycznych włoska lewica alarmuje, że Italia zmierza ku faszystowskiemu rządowi autorytarnemu, czego dowodem ma być dekret. Szef największej centrali związkowej – lewicowej CGIL – Maurizio Landini wzywa otwarcie do rewolty społecznej, czyli agresywnej anarchii. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR



FOT. TYPHOTO/EAST NEWS

NIE WIEM I NIE CHCĘ WIEDZIEĆ

Celia Jaunat i Grzegorz Krychowiak udzielili wspólnego wywiadu, w którym nie udawali pary idealnej. Modelka wprost przyznała, że nie interesują jej ani sama piłka nożna, ani występy męża. – W przeciągu ostatnich dwóch–trzech lat to może była raz albo dwa na stadionie – powiedział piłkarz na antenie Canal+. Krychowiak dodał, że żona raczej nie byłaby w stanie wymienić klubów, w których grał. – Nie interesuje się piłką nożną. Nie ogląda meczów, nie oglądamy razem meczów, nie ogląda moich meczów – opowiada sportowiec. Celia dodała od siebie, że „bardzo podobala się jej gra Grzegorza w Sewilli”. – Zdobyli jakiś puchar, ale nie wiem jaki – powiedziała z uśmiechem. Jak stwierdziła, zupełnie nie zna zasad piłki nożnej i nie wie, co to spalony. – Dlatego się ze mną ożenił, bo nie gadam o piłce – przekonuje celebrytka. A z tą Sewillą to może nie gra się podobala, ale pogoda i architektura? Piękne miasto.

PERYPETIE MARIANKI

Marianna „Gaśnica” Schreiber to postać, obok której choćby się chciało, trudno przejść obojętnie. A to wparuje do siedziby utrudniaczy życia z Ostatniego Pokolenia z gaśnicą, a to wywoła skandalik obyczajowy. Kilka słów o tym drugim. Pod koniec listopada Schreiber potwierdziła, że jej nowym partnerem jest Przemysław Czarnecki, były poseł PiS. Zakochani

pokazali wspólne zdjęcie, nie zabrakło też publicznego wyznawania uczuć. Bardzo szybko jednak romantyczna fotografia zniknęła z profilu pani Schreiber. W rozmowie z Plejadą celebrytka przyznała, że żałuje ujawnienia nowej relacji. I podkreśliła, że najważniejszymi osobami w jej życiu są dla niej córka oraz mama. Pytana, czy jest obecnie szczęśliwa, zaprzeczyła. – Nie, nie jestem [...]. Jestem szczęśliwa, że mam córkę, to jest mój dar od Boga, że mam zdrowie, i to są dla mnie dwie najważniejsze rzeczy w życiu, ale nie uważam się za osobę szczęśliwą, po prostu – powiedziała. Z okazji świąt pozostaje życzyć, aby każdy znalazł w życiu to, czego tak naprawdę szuka. Marianna również.

SŁABY NJU JORK

Rubikowie, czyli muzyk Piotr oraz modelka Agata, stacjonują na co dzień w słonecznym Miami. Jednak na urodziny Agaty małżonkowie wybrali się do Nowego Jorku. Dzięki obszernej relacji na Instagramie wiemy wszystko. Najpierw polscy celebryci udali się do restauracji, ale było słabo, bo musieli czekać godzinę na „bardzo przeciętnego burgera”. Kolejnym punktem programu było słynne z filmów lodowisko w Rockefeller Center. – Dobry wieczór z Nowego Jorku. Obowiązkowy punkt programu, czyli lodowisko przy Rockefeller – witała się z fanami Rubik. I choć modelka pokazała urocze obrazki z zaręczyn pewnej pary na lodzie, to Agata szybko zatęskniła za ciepłym Miami. – Lodowisko i choinka zaliczone. Zimno jak cholera. Tęsknię za ciepłym Miami – podsumowała. My też, pani Agato, my też.

DO TROLLI Z KAMBODŻY

Ulubienica wszystkich Kinia Rusin przebywa aktualnie w Kambodży (gdy to piszę, przemieszcza się szybko, więc gdy ten numer tygodnika trafi do państwa rąk, nasza bohaterka może być po drugiej stronie globu). Co nie przeszkadza jej śledzić sytuacji w Polsce. Była prezenterka TVN w entuzjastycznym tonie komentowała zapowiedź premiera w sprawie wpisania tej stacji i Polsatu na listę podmiotów strategicznych. „Radość z kambodżańskiego piękna i radość z decyzji premiera rządu RP: najważniejsze telewizje, w tym TVN, będą pod ochroną państwa jako strategiczne aktywa. I trudno będzie koleżkom Orbána i Putina je kupić oraz wejść do Polski z butami” – wskazała w jednym z instagramowych wpisów. Problem w tym, że część komentujących miała czelność nie zgodzić się z opinią Kini, a więc ta poczyniła ruch ostateczny – wyłączyła komentarze. Oczywiście, jak to z przedstawicielami „wolnych mediów” bywa, jeśli ktoś się z nimi nie zgadza, to na pewno ruski agent albo co najmniej pisowiec. Rusin postawiła na opcję „pisowcy”. „Natura i dobro zwyciężą! PS Drodzy pracownicy PiS i pisowskich farm trolli! Wybaczam Wam i proszę o wybaczenie! W trosce o stan Waszego zdrowia psychicznego oraz ograniczony czas, którym w okresie przedświątecznym dysponujecie, postanowiłam w ostatnich dniach Wam ulżyć i wyłączyłam możliwość komentowania pod moimi postami” – ogłosiła. „Tu, w Kambodży, zainspirował mnie duch buddyjskiego umiłowania prawdy, nie mówiąc już o, jakże bliskim Wam, duchu chrześcijańskiego pojednania. Nie chcę, abyście marnowali godziny na produkowanie obszernych komentarzy, przepełnionych przekłamaniami i silnymi emocjami. Komentarzy, których i tak nikt wnikliwie nie czyta, przez co Wasza ciężka praca idzie na marne. Teraz, gdy nie możecie komentować moich ostatnich postów, macie wreszcie czas, by odpocząć, spędzić chwilę z rodziną, a Wasz pracodawca nie będzie miał powodu, by Wam cokolwiek zarzucać. Niech ten czas będzie dla Was momentem refleksji i wytchnienia” – dodała Kinia. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Winter Holidays, Winter Holidays i po Winter Holidays. Teraz natomiast przyszedł czas na postanowienia noworoczne.

Czy macie już jakieś i postowaliście o nich w social mediach? A może wręcz przeciwnie – dajecie światu znać, iż nie bawicie się w żadne postanowienia, iż na siłkę chodzicie cały rok, wege już jesteście, pis od władzy odsunięty, więc co tu niby postanawiać? W tej sytuacji mogło wam nic nie zostać.

My chcielibyśmy natomiast uspokoić tych z was, którzy do postanowień się jednak biorą, ale martwią się jednocześnie, iż nie dadzą rady, iż to nie dla nich, iż za dużo na głowie i się nie uda.

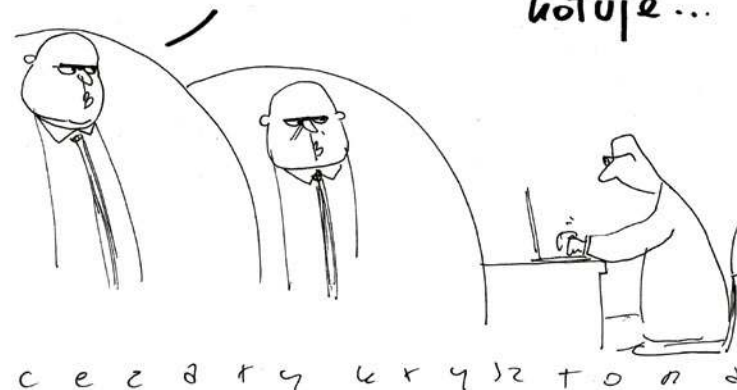
Kochani, pamiętajcie, postanowienia to takie jakby obietnice dane samemu sobie. A jak wiadomo, obietnice nie są od tego, iżby ich dotrzymywać. To taki chwyt mobilizujący elektorat, a do tego w sytuacji, gdy są to obietnice składane samemu sobie, to po to, iżby przed terminem rozpoczęcia ich realizacji nadal można było bez wyrzutów sumienia pić piwko ze sprajtem, zjeść cziperki czy odpuścić dzień nóg.

Żeby poszło wam lepiej, możecie zrobić sobie nawet listę 100 postanowień

na pierwsze 100 dni nowego roku, a potem konsekwentnie ich nie realizować, iżby na koniec stwierdzić, że no w sumie to przecież jest taki bardziej chwyt retoryczny, iżby nabrać do siebie więcej zaufania i lepiej wyglądać przed sobą

mieć ochoty robić niczego. A zatem – postanawiajcie, ale nie wymagajcie, nie nakładajcie na siebie stresu i oczekiwań, a wszystko będzie dobrze.

Patrz na tego patszywego pisowca ...
siedzi, kienawidzi i pewnie wszystko
knotuje ...



samym (ale of kors możecie wyglądać, jak chcecie, i nikomu nic do tego).

Dlatego też zachęcamy was, iżby postanowienia mieć, ale niekoniecznie je realizować. Bo to trochę jak w korpo – jak obiecacie, że coś zrobicie, i potem faktycznie to zrobicie, to będzie ochota, iżby zlecać wam więcej, dodawać kolejne obciążenia i obowiązki. A na co to komu? Grunt to wymagać od siebie tyle, ile ma się ochotę zrobić. A to jest totalnie normalne i OK, że możecie nie

Jest jeszcze jedna pułapka, o której warto wspomnieć na początku nowego roku – ta zgubna tendencja do spoglądania wstecz z takim żalem i niepokojem, że coś się nie udało albo że się udało. Widzieliśmy już, iż wielu naszych znajomych wrzuca na Insta albo, co gorsza, na LinkedIna jakieś podsumowania. Apelujemy – nie róbcie tego. Przecież to, co było, było – i elo.

Trzeba wyjść z tej narracji mówiącej, iż „muszę coś osiągnąć”. Otóśh niczego nie musicie. Nie dajcie sobie wmówić, iż musicie nauczyć się hiszpańskiego, zrobić formę życia, napisać

doktorat, założyć start-up albo przeczytać 52 książki w ciągu roku (LOOOL).

A co, jeśli wasze optimum to „scrolling” na kanapie z latte owsianym w rękę i mentalny wellness? I co? Od tego świat się zawali? Otóśh nie. I takiego spokoju życzymy wam w 2025 r. (of cors neutralnie, jeśli nie chcecie takich życzeń, to ich nie przyjmujcie). ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Między drzwiami a kanapą

Mateusz, orientuj się! Ale... Andrzej, co ty!

No i wpuściłeś gola. Tam bramka była, między drzwiami a kanapą.

Nie przyszedłem w piłkę z tobą grać, tylko o tym EKR pogadać.

A tam, ekaery jakieś. Co mnie to. Już niedługo będę mógł przestać udawać, że mnie to interesuje.

No ale jak to?

Tak to. Do MKOl idę i czniam tę całą politykę. Podaj!

Dlatego tak tu po gabinecie z tą piłką biegasz?

No wiesz, nie wypada, żeby były prezydent był drugim Kręciną. Sylwetka i panowanie nad piłką – to musi być. A resztę mam gdzieś. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Przychodzi obcy facet, robi wywiad, pyta o intymne rzeczy i moralizuje. Kołoda to synonim słowa inwigilacja”.

JUSTYNA KLIMASARA, działaczka Nowej Lewicy, na X o chodzeniu księży po kołędzie

W ROKU 2025 ZNÓW WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO RZYMU

Nawet 35 mln turystów może w ciągu najbliższych 12 miesięcy odwiedzić Wieczne Miasto. Papież Franciszek ogłosił bowiem rok 2025 Rokiem Jubileuszowym w Kościele katolickim.

Centralne wydarzenia tego jubileuszu będą miały miejsce w Rzymie. Uroczyste obchody rozpoczęło 24 grudnia otwarcie Drzwi Świętych bazyliki św. Piotra. Zaplanowano również otwarcie Drzwi Świętych w trzech innych głównych bazylikach Rzymu: św. Jana na Lateranie (29 grudnia), w bazylice Matki Bożej Większej (1 stycznia) i w bazylice św. Pawła za Murami (5 stycznia). Ich otwarcie symbolizuje przejście do nowego życia, odpuszczenie grzechów i pojednanie z Bogiem. W tym czasie wierni mogą otrzymać odpust zupełny.

Pierwszy Jubileusz – zwany także Rokiem Świętym – ogłosił w 1300 r. papież Bonifacy VIII. Początkowo jubileusz świętowano co 100 lat, następnie co 50, a od XV w. Drzwi Święte są otwierane co 25 lat. Obecny Rok Jubileuszowy zakończy się 6 stycznia 2026 r. Wówczas Drzwi Święte zostaną ponownie zamknięte na kolejnych 25 lat. (jap) ©

FOTO: FABIO RUSSACCI/EP/APP





Czy Trump zakończy wojnę na Ukrainie?



Wojciech Golonka

Zapewnienie wyborcze Donalda Trumpa, że będąc prezydentem, zakończy wojnę na Ukrainie w 24 godziny, było na tyle przedwczesne i abstrahujące od rozwoju realiów tej wojny, że branie go dosłownie nie wchodziło wówczas i nie wchodzi dziś w rachubę

Pierwsza taka jego wypowiedź padła jeszcze w maju 2023 r. – walczący o powrót do Białego Domu miliarder tłumaczył, że co do istoty chodzi mu o prosty mechanizm zmuszenia obu walczących stron do rozmów i zaprzestania działań wojennych – zmuszenia w oparciu o ich wzajemne słabe i mocne punkty. Półtora roku później sam Donald Trump jest już w innym położeniu, zbliżającym go do prób realizacji swych obietnic wyborczych, a zakończenia wojny na Ukrainie, przynajmniej zakończenia zaangażowania Amerykanów w tę wojnę, oczekuje od niego spora część jego elektoratu.

Jako prezydent elekt Trump zresztą nie próżnuje: w zasadzie skończył kompletować skład swojego rządu, wyznaczając także wielu prezydenckich doradców i pełnomocników, którzy pracują już nad możliwością wdrażania jego polityki, poczynając od 20 stycznia 2025 r., pamiętnego dnia prezydenckiego

zaprzysiężenia. Zatem to, co jeszcze nie tak dawno temu było przede wszystkim nośnym hasłem wyborczym – „natychmiast zakończę wojnę na Ukrainie” – nabiera teraz kształtu opracowywanego przez doradców politycznego planu, którego założenia przenikają raz po raz do mediów na zasadzie sondowania reakcji, zwłaszcza reakcji Moskwy i Kijowa. Co prawda, sam Trump nie ma do czasu swego zaprzysiężenia rzeczywistego wpływu na żadną z walczących stron, tak samo jak nie ma obecnie możliwości przyblokowania działań samej administracji Bidena, która na finiszu swej kadencji najwyraźniej robi, co może, aby przedłużyć swą politykę w czasie i być może pokomplikować, na ile to możliwe, działania mających przejąć stery państwa republikanów. Sami zresztą dziś nie wiemy, jak jeszcze wiele może się zmienić w światowej geopolitycznej układance do 20 stycznia: przypadek spektakularnego błyskawicznego upad-

ku rządów Baszara al-Asada, w zasadzie nieprzewidziany przez ekspertów, przypomina, że koło historii toczy się nieubłagannie, doznając czasem niespodziewanego przyspieszenia.

PRESTIŻ WŚRÓD MOŻNYCH

Zanim wejdziemy w szczegóły pokojowego planu Trumpa dla Ukrainy, trzeba zaznaczyć, że nie dzierżąc jeszcze realnej władzy 47. prezydenta Stanów Zjednoczonych, republikanin już cieszy się w polityce zagranicznej prestiżem proporcjonalnym do jego historycznego powrotu do Białego Domu, a także proporcjonalnym do pustki wytworzonej w ostatnich miesiącach przez brak wyraźnego przywództwa, delikatnie rzecz ujmując, ze strony Joe Bidena. Widać to było ewidentnie podczas inauguracji katedry Notre Dame w Paryżu, gdzie przybyli moiżni i mniej moiżni tego świata przymilali się do przyszłego prezydenta USA. Co dla naszego tematu najważniej-



mimo wszystko komunikaty ukraińskich władz dają również sygnały o gotowości negocjacji w oparciu o warunki, które jeszcze nie tak dawno były traktowane przez nie jako nieakceptowalne – dość powiedzieć, że dekretem prezydenckim z września 2022 r. Wołodymyr Zełenski zakazał w ogóle stronie ukraińskiej podejmowania jakichkolwiek negocjacji rozjemczych z Rosjanami.

UKRAINA POZA NATO

Przeglądając główne założenia planu rozjemczego Donalda Trumpa i jego zespołu, w pierwszym rządzie należy zwrócić uwagę, że nie zakładają one możliwości przystąpienia Ukrainy do NATO jako części porozumienia. Aspekt ten wybrzmiał silniej w komentarzach na Zachodzie niż w Polsce, gdzie nasze uwarunkowania mentalne skłaniają do wypierania tego typu wiadomości. Tymczasem jest to o tyle istotne, że był to jeden z głównych oficjalnych powodów tej niewypowiedzianej oficjalnie wojny: ze strony Federacji Rosyjskiej podkreślano, że Rosja nigdy nie zgodzi się na taką możliwość, co zresztą Stany Zjednoczone wiedziały bardzo dobrze od kilkunastu lat na podstawie raportów swego ówczesnego ambasadora w Moskwie, obecnie dyrektora CIA, Williama Burnsa, a mianowicie, że niezależnie od rządzącej ekipy na Kremlu perspektywa akcesu Ukrainy do NATO nigdy nie zostanie przez rosyjskie elity polityczne zaakceptowana i doprowadzi do wojny. Mimo to w grudniu 2021 r. Joe Biden nie zdecydował się zrezygnować z podnoszenia tej kwestii publicznie i o to właśnie, wedle narracji obu stron, toczyła się m.in. (głównie?) ta wojna.

Szczególnie Kijów motywował swoją populację mirażem bliskiego akcesu do NATO, a zachodnich partnerów – obroną całego sojuszu przed Rosjanami. W tym kontekście ta pigułka do przełknięcia pod naciskiem nowej amerykańskiej administracji może być dla strony ukraińskiej szczególnie gorzka, ponieważ jeśli można wytłumaczyć swemu narodowi, że np. tymczasowo (choć w sumie bezterminowo) część jej terytorium będzie okupowana, ale w zamian pozostała część przystępuje do NATO (a takie były w ostatnim czasie propozycja i narracja prezydenta Zełenskigo), to już o wiele

trudniej będzie zachować dobrą minę do złej gry, mroząc terytorialne status quo, ale bez przynależności w zamian do NATO dla reszty Ukrainy. Takie rozwiązanie ewidentnie będzie rodzić pytania u samych Ukraińców o to, jaki był sens stawiania dwuletniego oporu zamiast zawarcia rozejmu w pierwszych miesiącach wojny na mniej niekorzystnych warunkach, jak to miało miejsce podczas rokowań stambulskich.

KIJ I MARCHEWKA

Kijów może się jednak znaleźć pod dużą presją Waszyngtonu, obok już stałej presji realiów tej wojny, by tę swoistą klęskę jako wstępny warunek negocjacyjny przyjąć. Zaproponowany bowiem przez Donalda Trumpa mechanizm wywierania presji na obie strony konfliktu jest następujący: grozimy Ukrainie przykreceniem kurka dostaw, jeśli nie podejmie negocjacji, z kolei Rosji grozimy zwiększeniem tychże dostaw na Ukrainę, jeśli Moskwa byłaby oporna na zamrożenie konfliktu na dobre.

Jaka jest rzeczywista możliwość presji USA na Rosję, zobaczymy za chwilę, natomiast nie ma wątplenia, że administracja Trumpa będzie miała skuteczny lewar na władze ukraińskie. Wprawdzie obecna administracja Joe Bidena dwoi się i troi, aby zapewnić Ukrainie na przyszłość potrzebne rezerwy materialne i finansowe, ale nawet przy najbardziej pomyślnych rozwiązaniach będzie to siłą rzeczy pomoc nadal ograniczona – Izba Reprezentantów będąca we władaniu Republikanów nie zatwierdzi żadnego dodatkowego pakietu pomocy do czasu zaprzysiężenia Donalda Trumpa, a Ukraina i tak pozostanie stale zależna od Stanów Zjednoczonych na gruncie działań wojennych. Przejęcie ciężaru wspierania Ukrainy przez samą Unię Europejską, w której upadają kolejne rządy z powodu cięć budżetowych, jest naiwną mrzonką, a i tak jeszcze bardziej od kluczowych w tej wojnie pocisków artyleryjskich czy dostarczanych dronów jest rozpoznanie wywiadowcze, bez którego armia jest poniekąd ślepa, a tym właśnie byłoby odcięcie Kijowa od danych przekazywanych jej przez USA i NATO. A przecież nie ma wątpliwości, że taki drastyczny ruch byłby jak najbardziej w zasięgu naczelnego dowódcy amerykańskich sił zbrojnych. ■

sze, miało wówczas miejsce spotkanie Wołodymyra Zełenskigo z Donaldem Trumpem, w obecności Emmanuela Macrona, podczas którego, jeśli wierzyć doniesieniom, prezydent Ukrainy dostał jasno do zrozumienia, że wytyczony przez Trumpa cel – bezzwłoczne zakończenie rozlewu krwi – nie podlega dyskusji, łącznie z konsekwencjami dla Ukrainy w postaci jej ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji.

Innymi słowy, choć oficjalnie Donald Trump nie jest na tym przejściowym etapie stroną do rozmów dla Ukrainy, to prezydent Zełenski nie może, nie narażając się na sprowokowanie nieprzychylności przyszłego gospodarza Białego Domu, działać zupełnie tak, jak gdyby planowane przez niego rozwiązanie nie miało być w niedalekiej przyszłości implemmentowane, co widać zresztą w komunikacji Kijowa. Jeśli bowiem wciąż przebrzmiewa w niej wyraźny rozdźwięk względem stanowiska samego Donalda Trumpa, to

Na pocieszenie władz w Kijowie można dodać, że mechanizm presji planu Trumpa jest także nazywany kijem i marchewką, choć nie wiadomo, co dokładnie, poza zaprzestaniem rozlewu krwi, miałyby stanowić w takiej sytuacji benefity na otarcie łez. Znając pragmatyzm i doświadczenia Amerykanów, równie dobrze mogłoby chodzić o swego rodzaju szczodry plan Marshalla, mający odbudować i zmodernizować Ukrainę (ma się rozumieć: na kredyt lub w zamian za dostęp do surowców i rynku zbytu).

Znacznie mniej oczywiste są natomiast możliwości nacisku administracji Trumpa na Moskwę, który nawet wspominał, że korzystny będzie tu wpływ Chin. Wprawdzie toczenie wojny wiąże się z poważnym wyzywaniem dla rosyjskiej gospodarki i możliwości rekrutacyjnych do armii, jednakże Rosja jest tu bez wątpienia w o wiele lepszym położeniu niż Ukraina radykalnie uzależniona od zachodniej krowki. Czy Trump mógłby rzeczywiście zwiększyć pomoc dla Ukrainy, przymuszając tym samym Rosję do rokowań? Być może, ale to ten sam Trump ostrzegał świat przed eskalacją mogącą doprowadzić do trzeciej wojny światowej i konfrontacji nuklearnej, byłaby to więc raczej pomoc „konwencjonalna”, wyniszczająca zasoby rosyjskie w przyfrontowej walce, ale bez perspektywy przełomu.

Zamiast kija w przypadku Rosjan o wiele bardziej zachęcająca może okazać się jednak marchewka w postaci korzystnych dlań wstępnych warunków rokowań, a tym jest właśnie brak stawiania na stole kwestii przynależności Ukrainy do NATO, w jakiegokolwiek formie. Diabeł jednak tkwi w szczegółach, a deklarowane oczekiwania Rosji, wyrażone w czerwcu przez Władimira Putina i do dziś oficjalnie podtrzymywane, są znaczenie wyższe: brak obecności jakichkolwiek obcych wojsk na Ukrainie, co już koliduje z częścią amerykańskich pomysłów utworzenia strefy buforowej pod kontrolą zachodnich sił zbrojnych, oraz uznanie realiów tej wojny w postaci aneksji do Federacji Rosyjskiej czterech obwodów Ukrainy – donieckiego, ługańskiego, chersońskiego i zaporoskiego.

Ze swej strony tacy eksperci jak profesorowie John Mearsheimer czy Jeffrey Sachs szczerze powątpiewają,

Dynamika działań wojennych potwierdza, że obie strony konfliktu traktują perspektywę rozjemczą poważnie

czy „rusofobiczna” charakterystyka ludzi Trumpa oddelegowanych na odcinek ukraiński umożliwi w ogóle znalezienie porozumienia z Rosjanami – chodzi tu np. o gen. Keitha Kellogga, mianowanego pełnomocnikiem prezydenta Trumpa do spraw Rosji i Ukrainy, czy Sebastiana Gorkę, zastępcę doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego Michaela Walta. Niezależnie jednak od tego, jak „jastrzębie” akcenty wybrzmiewały – i być może będą jeszcze wybrzmiewać w otoczeniu Trumpa – trzeba pamiętać, że ludzie ci nie znaleźli się w tym zespole przez przypadek, a głównymi warunkami ich rekrutacji były, jak wspominało, lojalność wobec prezydenta i gotowość implementacji jego agendy. A skoro to właśnie w tym środowisku rodzi się pomysł zamrożenia konfliktu wzdłuż linii frontu, to w praktyce oznacza to po prostu uznanie de facto tego, co Rosja uznaje ze swej strony de iure. I choć Rosjanie nie mogą mieć pewności co do długofalowej stabilności amerykańskiej polityki, to ogólne przewidziane przez Trumpa rozjemcze ramy są dla nich okienkiem, którego później mieć nie będą, a dogranie skomplikowanych i wymagających szczegółów to już po prostu zmuszone sadzenie dla dyplomatów wszystkich stron.

KRWAWY ŻNIWO WALK

Dynamika działań wojennych potwierdza zresztą, że obie strony konfliktu traktują perspektywę rozjemczą poważnie. Rosjanie postępują w rekordowym tempie, nie licząc się obecnie z kosztami – jeśli wierzyć doniesieniom medialnym, to ich obecne straty przewyższają bieżące możliwości rekrutacyjne. Z kolei Ukraińcy kurczowo utrzymują swoją obecność w obwodzie kurskim, który ma być słono okupioną kartą przetargową, na odcinku Donbasu za wszelką cenę bronią frontu przed pęknięciem i nie

można wykluczyć, że spróbują kolejnych operacji dywersyjnych w innych kierunkach, na wzór Kurska. W każdym razie obie strony ewidentnie zacięte walczą teraz o każdy skrawek terytorium i na tym potencjalnym finiszu działań zbrojnych wojna za naszą granicą zbiera obecnie swe najkrwawsze żniwo.

Mimo pozostających sporych niewiadomych plan Trumpa na wygaszenie wojny na Ukrainie ma szanse się powieść nie dlatego, że jest sam w sobie skuteczny, lecz dlatego, że jest znakiem i narzędziem czegoś nadrzędnego – wyrażonej woli politycznej nowych władz USA do wygaszenia konfliktu, którego są oczywistą stroną w ramach tzw. wojny zastępczej.

Aby implementować tę wolę, Amerykanie wykażą się właściwym sobie pragmatyzmem, bez skrupułów poświęcając cudze interesy. Pierwsza pływająca z tego dla nas lekcja będzie wówczas głównie symboliczna, ale niezmiernie ważna: wszelkie hasła, którymi karmiono nasze społeczeństwo, o wspieraniu Ukrainy aż do wyzwolenia Krymu okazały się wtedy romantyczną mrzonką, dzieciadą, tępą propagandą, a w ostateczności nieodpowiedzialnością. Ten ostatni aspekt jest niestety nie tyle symboliczny, ile realnie odczuwalny: ktoś kiedyś dokonał całościowego podliczenia kosztów naszego zaangażowania w tę wojnę, ale już teraz rekordowo niespinający się budżet polskiego państwa, jakkolwiek obwiniać za to obecnie rządzących, jedynie potwierdza, że była to wojna bez możliwych celów do osiągnięcia, na którą stać nas po prostu nie było. Niemniej z konieczności, czyli stanu zastanego, trzeba teraz uczynić cnotę.

Jeśli Donald Trump przypieczętuje nowe warunki egzystencji dla Ukrainy, na co się zapowiada, to rozpocznie się faza jej odbudowy, a zatem zachodnich inwestycji, w których to Waszyngton będzie głównym rozdającym karty. Dosadnie rzecz ujmując, w tym rozdaniu trzeba zadbać o to, aby nie dopłacać dalej do tego bankrutującego interesu, a spróbować się nieco odkuć z naszej hojnej rozrzutności. Wspominam o tym jednak tylko dla zasady, wątpiąc, aby nasze polityczne elity z lewa i z prawa przejmowały się czymś takim jak rentowność i pragmatyzm.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polska w świecie Trumpa



Łukasz Warzecha

Opowieści o tym, że Polska zaczyna być jednym z głównych rozgrywających w świecie, są mocno przesadzone. Niesamodzielność polskiej roli podkreśla kontrast ze znacznie mniejszymi Węgry. Podczas gdy Polska rozmawia z USA za pośrednictwem Francji, Viktor Orbán spotkał się już z prezydentem elektem Donaldem Trumpem, Elonem Muskem, jednym z najpotężniejszych ludzi nowej administracji, oraz Michaelem Waltzem, nominowanym na głównego doradcę do spraw bezpieczeństwa

Gdyby w Polsce rządziło nadal Prawo i Sprawiedliwość, dość łatwo byłoby przewidywać, jak zachowamy się w świecie, gdzie Ameryką rządzić będzie Donald Trump. Mielśmy już z taką sytuacją do czynienia, choć w spokojniejszych okolicznościach, bo nie trwała wtedy pełnoskalowa wojna na Ukrainie. Tamten okres jedni podsumowałyby stwierdzeniem, że Polska odnajdowała się jako lojalny partner Stanów Zjednoczonych, inni – posłuszny wasal. Prawda w tym wypadku leży zapewne pośrodku. W żadnym jednak wypadku nie można powiedzieć, że relacje między USA a Polską były partnerskie. Były to relacje podległości, momentami wręcz żenującej. Symbolem tego był sposób działania ambasador Georgette Mosbacher, która przy świadkach potrafiła jasno sygnalizować co krnąbrniejszym urzędnikom poprzedniej władzy, kto tu jest namiestnikiem, a kto ma wypełniać polecenia.

Znacznie trudniej przewidywać, jakie miejsce Polska znajdzie dla siebie w układzie, który powstanie od stycznia, z Donaldem Trumpem w Białym Domu i Donaldem Tuskiem przy Al. Ujazdowskich. Oraz kimś nowym od połowy roku w „dużym pałacu”.

Po pierwsze, inaczej kształtują się międzynarodowe lojalności obecnej władzy, a inaczej kształtowały się lojalności poprzedniej. Dla PiS jasne było, że najważniejszy sojusznik jest za oceanem. Pod tym względem Polska prowadziła politykę momentami wręcz nierozsądnie jednobiegunową, całkiem niepotrzebnie drażniąc i lekceważąc europejskich partnerów. Nie można jednak powiedzieć, że polityka rządu koalicji KO-Trzecia Droga-Nowa Lewica jest także jednobiegunowa, tyle że w odwrotną stronę. Chociaż od powstania gabinetu Tuska minął rok, to kurs w polityce zagranicznej pozostaje niedookreślony. Uproszczeniem byłoby stwierdzić, że jest to po prostu lojalność wobec Berlina, bo wektorów jest więcej.

Spójrzmy choćby na sprawę umowy UE z państwami grupy Mercosur (Argentyna, Boliwia, Paragwaj, Urugwaj, Brazylia i zawieszona Wenezuela). Umowa została niedawno podpisana przez Ursulę von der Leyen podczas jej pobytu na szczycie Mercosur w Montevideo,



FOU ADRIEN STOCK

■ musi jednak zostać jeszcze ratyfikowana przez Parlament Europejski i Radę.

Komisja Europejska prawdopodobnie sięgnie po trik formalny, który znacznie utrudni odrzucenie porozumienia: wydzieli z niego część handlową, która będzie podlegać innej, odrębnej procedurze ratyfikacji. Nie będzie zatem potrzebna zgoda każdego z krajów, a jedynie większość kwalifikowana w Radzie. Taką większość dla odrzucenia umowy stara się zbudować Francja, gdzie sprzeciw wobec porozumienia przekracza partyjne linie i ciągnie się od Marine Le Pen do Jeana-Luca Mélenchona.

Polski rząd zasygnalizował oficjalnie sprzeciw wobec układu, zanim jeszcze został on podpisany przez przewodniczącą Komisji Europejskiej. Ale czy podtrzyma go teraz, gdy trzeba by przeciwko niemu zagłosować w Radzie, najpewniej wspólnie z Francją, Irlandią, Austrią, być może także Holandią i Włochami? Największym beneficjentem porozumienia byłyby Niemcy i to ewidentnie w ich imieniu działa von der Leyen. Niemcy mają z krajami Mercosur dużą nadwyżkę handlową, sięgającą 10 mld euro (Polska ma deficyt na ok. 1,7 mld euro).

Lojalność wobec Berlina nakazywała by nie dołączać do grupy krajów starających się zablokować porozumienie – podpisane zresztą w skandalicznym trybie, bo praktycznie po kryjomu. Ponadto są względy wewnętrzne, a sprawa umowy z Mercosurem należy do tych najdrażniejszych wśród polskich rolników. Warszawa, jak się wydaje, w wielu sprawach faktycznie chce grać bardziej z Paryżem niż z Berlinem.

BITWY HANDLOWE

Akurat nie jest to kwestia kluczowa dla relacji z USA, ale generalnie sprawy międzynarodowego handlu będą w drugiej kadencji Donalda Trumpa bardzo ważne. Jedna wojna lub przynajmniej bitwa handlowa jest w zasadzie pewna – ta z Chinami – druga zaś jest możliwa – ta z Unią Europejską. Stany Zjednoczone mają z Chinami problem, który nie sprowadza się tylko do kwestii handlowych. Niedawno w USA wybuchła np. psychoza wokół elektronicznych komponentów dźwigów portowych chińskiej produkcji. Okazało się bowiem, że te zaawansowane technicznie urządzenia są wyposażone

w możliwości szpiegowania i wysyłania informacji do producenta.

Jednak amerykański problem z Pekinem niekoniecznie jest w tym samym natężeniu problemem Polski. A pamiętać trzeba, że na Europejskim Zielonym Ładzie najmocniej korzystają jak dotąd właśnie Chiny, nie Europa. Bruksela w swojej sklerotyczności chce załatwić ten problem barierami handlowymi, takimi jak cła na samochody elektryczne oraz mechanizm CBAM (cło węglowe), a nie uwolnieniem europejskiego potencjału przemysłowego z oków zielonej polityki. Polska nie może oczywiście stawiać przed Chinami własnych barier celnych, jako że UE jest jedną strefą wolnego handlu. Może natomiast współdecydować o tym, w jaki sposób traktować Chiny

**Warszawa, jak się wydaje,
w wielu sprawach
chce grać bardziej
z Paryżem niż z Berlinem**

na poziomie UE. Czy w pełni włączać się w wojnę z nimi po stronie USA, ryzykując odwet oraz drastyczny wzrost cen dużej części towarów, do których zakupu po umiarkowanych cenach przywykli Polacy, czy też iść własnym kursem? Tu trzeba przypomnieć, że w głosowaniu w Radzie na temat ceł na samochody elektryczne z Chin Polska zajęła pozytywne stanowisko – wbrew stanowisku Niemiec, co jest kolejnym potwierdzeniem tezy, że nie da się o strategii tego rządu powiedzieć wprost, że jest proniemiecka.

Waszyngton pod przywództwem Trumpa będzie chciał mieć Unię po swojej stronie – być może oferując w zamian rezygnację z wzajemnego konfliktu handlowego. Jednak z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski ważniejsze jest, jak nowy prezydent USA będzie chciał zakończyć konflikt na Ukrainie, który ewidentnie się wypala.

13 grudnia „The Wall Street Journal” opublikował tekst zatytułowany „Trump to Europe: Overseeing a Ukraine Cease-Fire Would Be Your Job” („Trump do Europy: nadzorowanie ukraińskiego zawieszenia broni będzie waszym zada-

niem”). „WSJ” przypomina, że podczas spotkania w Paryżu 7 grudnia prezydent elekt zapowiedział prezydentowi Wołodymyrowi Zełenskiemu, że nie chce co prawda członkostwa jego kraju w NATO (byłoby to najpewniej niemożliwe do zrealizowania ze względu na sprzeciw Węgier, Słowacji, a być może również Turcji), ale pragnie, aby z konfliktu Ukraina wyszła wzmocniona i dobrze uzbrojona. Trump miał również proponować, by wymusić na Pekinie wywarcie presji na Moskwę w celu rozpoczęcia rozmów pokojowych. W razie potrzeby ta presja miała zostać osiągnięta poprzez szantaż wprowadzeniem kolejnych barier celnych wobec ChRL. Dziennik twierdzi również – na podstawie relacji z kręgów bliskich nowemu prezydentowi – że nie ma on na razie gotowych, precyzyjnych planów działania wobec wojny na Ukrainie. Te mają się skonkretyzować, dopiero gdy zacznie pracować administracja. Jedno jest jasne: nowy prezydent USA nie zamierza angażować w utrzymanie zawieszenia broni amerykańskich sił – albo wcale, albo w większej liczbie. Na razie nie jest to do końca jasne, bo wszystko jest płynne.

POLSCY ŻOŁNIERZE NA UKRAINIE?

Z pewnością Trump chętnie sięgnąłby po pomoc swojego wiernego sojusznika – Polski. Gdyby w Warszawie rządził wciąż Mateusz Morawiecki, raczej trudno się spodziewać, żeby taka pomoc nie nadeszła, nawet jeśli dopiero po wyborach prezydenckich. Perspektywa wysłania na Ukrainę nie tylko polskich, lecz także w ogóle zachodnich żołnierzy nie budzi bowiem nad Wisłą, mówiąc najdelikatniej, wielkiego entuzjazmu. W sondażu z marca przeciwko takiemu rozwiązaniu opowiedziało się blisko 75 proc. respondentów, a poparło je tylko ok. 10 proc.

Czy Polska jest w tej sprawie podmiotem czy przedmiotem? Raczej tym drugim. W rolę podmiotu w grze z USA stara się za wszelką cenę wejść Francja, której prezydent ma nie od wczoraj ogromne ambicje i stara się pokazywać, wobec niemieckiego kunktatorstwa, jako animator siły Europy wobec rosyjskiej agresji. Podczas spotkania z Trumpem i Zełenskim w Paryżu 7 grudnia Macron miał zapewniać prezydenta elekta, że

Europa jest gotowa ponieść ciężar strzeżenia pokoju na Ukrainie. Według Eliego Tenenbauma z Francuskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych mowa była konkretnie o misji liczącej aż 40 tys. żołnierzy. Prezydent Macron z pewnością widział w tej liczbie również Polaków.

O tym niewątpliwie była mowa podczas wizyty Emmanuela Macrona w Warszawie (skrótowej z powodu kryzysu politycznego nad Sekwaną). Po spotkaniu z gościami premier Donald Tusk wygłosił na konferencji prasowej słowa, które – niesłusznie – zostały zinterpretowane jako „przecięcie spekulacji” na temat polskiej obecności na Ukrainie. Powiedział: „Decyzje dotyczące polskich działań będą zapadały w Warszawie i tylko w Warszawie. Na razie nie planujemy takich działań [podkr. – Ł.W.]. Będziemy współpracowali z Francją – nie tylko, ale z Francją – nad rozwiązaniami, które przede wszystkim zabezpieczą Europę, a także Ukrainę przed wznowieniem konfliktu, jeśli uda się osiągnąć porozumienie co do rozejmu i ewentualnie pokoju”. Kluczowe jest sformułowanie „na razie”, które sprawia, że właściwie cała reszta wypowiedzi staje się bezwartościowa jako zapewnienie czegokolwiek. „Na razie” nie planujemy, a za miesiąc, a raczej po wyborach prezydenckich – będziemy planować.

PODWYKONAWCY

Kluczowe jest, że Polska występuje w tym układzie nie jako samodzielny gracz, ale jako podwykonawca francuskich ambicji. Niesamodzielność naszej roli podkreśla kontrast ze znacznie mniejszymi Węgrami. Podczas gdy Polska rozmawia z Waszyngtonem za pośrednictwem Paryża, Viktor Orbán spotkał się 9 grudnia z nowo wybranym prezydentem USA oraz Elonem Muskem, jednym z najpotężniejszych ludzi nowej administracji, oraz Michaeliem Waltzem, nominowanym na głównego doradcę do spraw bezpieczeństwa w nowej administracji, w rezydencji Trumpa w Mar-a-Lago. Według informacji, które przedostały się do mediów, zakończenie wojny na Ukrainie było jednym z głównych tematów.

Jest w tym paradoks. Rezultat końcowy w przypadku rządów KO może być tak samo groźny dla naszego kraju, jak byłby, gdyby rządził PiS: Polska może wejść na

Polska może wejść na Ukrainę jako jeden z gwarantów zawieszenia broni, narażona na bezpośrednie starcie z Rosją

Ukrainę jako jeden z gwarantów zawieszenia broni, potencjalnie narażony na bezpośrednie starcie z Rosją. Tyle że o ile przy rządach PiS wchodziłaby jako zleceniobiorca administracji Trumpa, o tyle przy rządach Donalda Tuska wejdzie jako pomagier Emmanuela Macrona, podczas gdy ten będzie się starał wystąpić wobec Waszyngtonu jako przedstawiciel Europy, w tym jej mniej ważnych z francuskiej perspektywy krajów, takich jak Polska.

Czy trafne są szacunki obozu PiS, że wygrana Trumpa będzie dla niego stanowiła atut i w jakiś sposób pomoże mu w odzyskaniu władzy? Niemal na pewno są to oczekiwania mocno przesadzone, tak samo jak mocno przesadzone były fantazje o tym, że TVN, o ile zostałby kupiony przez węgierskie konsorcjum, stałby się kopią dawnej TVP, a „Fakty” prowadziłiby na zmianę Danuta Holecia i Michał Rachoń. Nic takiego by nie nastąpiło, bo gdyby nawet kupcowi ideowo było bliżej do konserwatystów, to przede wszystkim kupowałby telewizję za grube miliardy nie po to, żeby robić z niej prezent dla formacji Kaczyńskiego, ale po to, żeby zarabiała. A to oznacza, że nie mógłby zarządzić zwrotu o 180 stopni, bo w ten sposób zgubiłby szybko ogromną część widzów. Dokładnie tak, jak zgubiła ją TVP po radykalnej zmianie profilu ideowego.

Podobnie jest z oddziaływaniem nowej administracji na polski system polityczny. Owszem, jakieś zmiany zapewne nastąpią. Będą może retoryczne sygnały sympatii, kierowane od czasu do czasu wobec obozu konserwatywnego; po jakimś czasie z placówki zjedzie zapewne skumpłowany szczególnie mocno z obozem lewicowo-postępowym ambasador Brzezinski. Lecz Trump jest przede wszystkim pragmatykiem, a najbardziej obchodzi go, żeby spełnić obietnice wyborcze i w ten sposób utorować drogę swojemu republikańskiemu następcy, bardzo możliwe, że J.D. Vance’owi, a nie

mieszać się w skomplikowaną i egzotyczną polską politykę – chyba że miałoby to coś zmienić z punktu widzenia interesu USA. O ile zatem Donald Tusk da swojemu imiennikowi to, czego ten potrzebuje – obecność na Ukrainie, zakupy w amerykańskich koncernach zbrojeniowych, względnie wsparcie w wojnie handlowej z Chinami – o tyle Waszyngton nie będzie miał powodu, żeby szczególnie mocno wspierać opozycję. A wszystko to Tusk Trumpowi dać jak najbardziej może, szczególnie jeśli w wyniku lutowych wyborów w Niemczech pojawi się władza, która będzie dla Waszyngtonu dogodnym partnerem. Wówczas obecnie rządzący będą mogli wypełniać amerykańskie oczekiwania, nie wchodząc w konflikt ze swoimi europejskimi partnerami.

Jest to możliwe. Jeszcze w listopadzie Friedrich Merz, lider chadeków i prawdopodobny następca Olafa Scholza na stanowisku kanclerza federalnego, krytykował stosunek niemieckiego rządu do kandydatów w amerykańskich wyborach, zarzucając mu faworyzowanie Kamali Harris i tym samym zniechęcanie Trumpa do Niemiec. W grudniu Merz opowiadał się za utworzeniem specjalnej grupy kontaktowej, złożonej z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji i Polski, która miałaby się zająć opracowaniem koncepcji planu pokojowego dla Ukrainy i jego realizacji „niezależnie od USA”. W praktyce jednak jasne jest, że bez udziału Waszyngtonu czy poza nim niczego zrealizować się nie uda, a plon działania grupy w postaci jakiegś formy obecności wojskowej na Ukrainie byłby Stanem Zjednoczonym na rękę. Dlatego plany Merza można uznać za uzupełnienie, a nie alternatywę dla działań nowej amerykańskiej administracji. Wszystko się zgadza, rząd Tuska da najpewniej radę dobrze żyć i z Paryżem, i z Berlinem, i z Waszyngtonem.

Podsumowując, opowieści o tym, że Polska zaczyna być jednym z głównych rozgrywających w perspektywie nowego ładu, który układać będzie Donald Trump, a z niemieckiej strony najpewniej Friedrich Merz, są, najdelikatniej mówiąc, mocno przesadzone. Nic nie wskazuje na to, żebyśmy mieli zająć w tym nowym układzie szczególnie poczesne miejsce ani też abyśmy mieli jakiś rewolucyjny pomysł na siebie samych.

Do utraty tchu



Piotr Semka

Postawienie na Nawrockiego na nowo wzmocniło determinację elektoratu PiS, który wreszcie dostał kogoś nowego, z kim może się utożsamiać. Dla Platformy wybory prezydenckie to być albo nie być. Walka będzie zażarta i musimy przygotować się na różne scenariusze



Tydzień po ogłoszeniu startu w wyborach prezydenckich poparcie dla Karola Nawrockiego (po lewej) gwałtownie podskoczyło i zbliżyło się do notowań Rafała Trzaskowskiego. FOT. PIOTR HUKALO/EAST NEWS, ŁUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS

Ta rozgrywka wypełni nam wszystkie chwile aż do maja. Liczyć się będą w niej każdy dzień kampanii, każde spotkanie i każdy wychwycony błąd rywala. A w tle będzie Donald Tusk, który każdego dnia demonstruje, że jest gotowy kopnąć w wyborczy stół tak, aby wszystkie figury na szachownicy się wywróciły. Ciężko jest prowadzić kampanię w warunkach absolutnego braku zaufania do respektowania zasad praworządności przez ekipę 13 grudnia. Ale nie powstrzyma to nikogo od wkładania w elekcję wszystkich pomysłów i wszystkich sił. Rozpatrzmy, jakimi atutami dysponuje kandydat Platformy, jakimi obywatelski kandydat PiS, a jaką rolę w tym pojedynku mogą odegrać pozostali uczestnicy.

TRZASKOWSKI W NOWEJ ROLI

Aleksander Kwaśniewski rzadko zabiera głos na temat bieżącej polityki. Jednak niedawno przestrzegł, że Karol Nawrocki ma szansę wygrać z kandydatem Koalicji Obywatelskiej.

„Rafał Trzaskowski będzie, inaczej niż w poprzednich wyborach, kandydatem większości rządowej. Będzie odpowiadał za wszystkie decyzje rządu, także te, które nie będą się podobały”. Uwaga Kwaśniewskiego to przypomnienie, że wszelkie porównania z wyborami prezydenckimi w 2020 r. są mało adekwatne. Wtedy Trzaskowski miał na kampanię pięć tygodni, ale miało to jedną zaletę – trudno było się nim znudzić. Teraz Trzaskowski już nie ma statusu politycznej nowalijki. Co więcej, to, co było wówczas jego atutem – czyli nadzieja na przyciągnięcie jego osobą elektoratu kobiecego, świeżo wtedy zmobilizowanego strajkiem kobiet – tym razem zdaje się w opinii sztabu kandydata PO raczej kulą u nogi.

Do tego wciąż młody chłopak ze stolicy gwałtownie zmienia agendę swojej prekampanii wyborczej. Nawołuje do wyrównywania szans między prowincją a metropolią, puka do drzwi małomiasteczkowych remiz strażackich czy nagle odkrywa w sobie szacunek do religii. Parę dni temu w Hrubieszowie złożył kwiaty pod pomnikiem 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, a na kolejnych punktach swojej kampanii nadstawia ucho, słuchając tego, co mają do powiedzenia mali przedsiębiorcy.

Sztab kandydata Platformy chce w ten sposób pomieszać szczy rywalom z PiS,

którzy według platformersów mieli się przygotować do walki z Trzaskowskim w roli warszawskiego pieska salonowego. Odpowiedzią na to ma być Trzaskowski – przyjaciel prowincji i kandydat udający, że najlepiej się czuje w towarzystwie pań z kół gospodyń wiejskich.

Nie wszyscy w obozie III RP przyjmują tę nagłą zmianę ze spokojem. Piotr Pacewicz na portalu OKO.press martwi się tak ryzykowną i gwałtowną zmianą wizerunku. „Trzaskowski sformatowany według prawicowego ducha czasu ryzykuje demobilizacją swoich entuzjastek”. Uczestnicy sondaży dla „Rzeczpospolitej” pytani o to, z jakimi poglądami utożsamiają prezydenta Warszawy, odpowiadają następująco: 26,1 proc. uczestników ankiety uważa, że Trzaskowski ma poglądy liberalne, 22,8 proc. sądzi, że jest lewicowcem, 14,4 proc. określa poglądy kandydata jako centrolewicowe, 6,3 proc. uznaje je za centroprawicowe, a tylko 6 proc. ankietowanych definiuje je jako poglądy prawicowe.

Aleksander Kwaśniewski rzadko zabiera głos na temat bieżącej polityki. Jednak niedawno przestrzegł, że Karol Nawrocki ma szansę wygrać z kandydatem Koalicji Obywatelskiej

Na domiar złego dla Trzaskowskiego jeden z sondaży wskazuje, że wymarzona – wydawało się – grupa wyborczyń, czyli kobiety między 18. a 30. rokiem życia, nie jest jeszcze w dużym stopniu zdecydowana, czy poprzeć kandydata PO czy Konfederację.

STARE NAWYKI

Jednak pewne cechy u kandydata PO się nie zmieniają. Co prawda, nauczył się już, by wypowiadać się o Nawrockim w dość oględny sposób, ale „stary Trzaskowski”, grożący dziennikarzom TVP, by „śpieszyli się z zadawaniem pytań”, zamienił się teraz w Trzaskowskiego, który wybucha irytacją na pytania reporterów prawicowych telewizji. Swojego stylu nie zmienili też polityczni i medial-

ni sojusznicy Trzaskowskiego. Katarzyna Lubnauer, wiceministra oświaty, ogłasza, że „siłka, pralka i chomik” są tym, z czym jej się kojarzy „Obywatel PiS Nawrocki”. Tomasz Lis z kolei w niepowtarzalnym stylu dworuje: „Ostatni etap kampanii to będzie Kaczyński w bluzie z kapturem robiący pompki z Obywatелеm Alfonsiem”. Cezary Tomczyk z PO ogłasza, że „Nawrocki idzie po to, aby ułaskawić kolegów”, a Kuba Wojewódzki martwi się, czy to, że Nawrocki „dostawał liczne ciosy w głowę, może wpłynąć na jego decyzje polityczne”.

Sztabowcy Koalicji Obywatelskiej chcą powielić plan Andrzeja Dudy sprzed pięciu lat i planują odwiedzenie wszystkich powiatów w Polsce. Jak wskazują, ich kandydat musi dotrzeć do ludzi, którzy go nie znają albo nie mają na jego temat zdania. Duże miasta odpuszczają, bo zakładają, że i tak poprą one obecnego prezydenta stolicy.

Ważnym pytaniem jest to, jaki procent głosów zabierze Trzaskowskiemu kolejnych dwóch kandydatów z ramienia koalicji – Szymon Hołownia i Magdalena Biejat, którą wystawia Lewica. Do tych dwojga może rychło dołączyć jeszcze Adrian Zandberg, który czuje się na tyle niepewnie na czele swej osłabionej partii Razem, że będzie chciał wzmocnić swoją pozycję startem w prezydenckim wyścigu. Na pewno Biejat i Zandberg będą próbowali wykorzystać zwrot Trzaskowskiego w prawo i zaprezentują się jako najlepsi gwarantcy walki o aborcję na życzenie. Hołownia skazany jest na wymianę ciosów z Trzaskowskim, choć zapewne będzie się starał jakoś wyważyć wymogi rywalizacji z pięknym Rafałem z obawą, że Tusk może sięgnąć po jakiegokolwiek kolejnego haka mogącego zdezerwować obecnego marszałka Sejmu.

I znów publicystyczny klub kibica Trzaskowskiego martwi się, że emocje rozpętane przy okazji rywalizacji w pierwszej turze utrudnią ich skuteczne wezwanie do wsparcia kandydata KO w drugiej turze. Jak pisze jedna z publicystek naTemat.pl: „Do konfrontacji z kandydatem popieranym przez PiS stanie wyłącznie prezydent Warszawy, a pozostała dwójka (Hołownia i Biejat) podgryzać będzie nie Nawrockiego, a Trzaskowskiego. A także własny rząd, co jest o tyle niebezpieczne, że wybory prezydenckie mogą mieć właśnie taki

■ plebiscytalny charakter: czy jesteś za tym rządem czy przeciwko niemu”.

ZGRYZOTY NAWROCKIEGO

Obecny szef IPN ma powody do satysfakcji. Jak wykazują sondaże, w ciągu dwóch tygodni od inauguracji jego kampanii w Hali Sokoła w Krakowie odnotował skok poparcia. O ile tuż po ogłoszeniu jego startu typowano, że w drugiej turze Trzaskowski będzie miał 50 proc. poparcia, a Nawrocki tylko 24 proc., o tyle nowy sondaż w drugiej turze daje duetowi Trzaskowski – Nawrocki wyniki odpowiednio: 50,3 proc. do 41,2 proc.

Nawrocki najwyraźniej uczy się szybko kampanijnych zachowań, a na jego wiecie przychodzi w bardzo zdyscyplinowany sposób „lud pisowski”. Nie jest jasne, na ile zmieniają się obecne wyniki sondaży, które wskazują, że połowa elektoratu Konfederacji poprze w drugiej turze Nawrockiego, a druga połowa zostanie w domach. Były pięściarz ma teraz pięć miesięcy na to, by przekonać do siebie wyborców Sławomira Mentzena z pierwszej tury. Na razie Nawrocki nie popełnia większych

niejszych problemów Polski. Nie udało się jak dotąd przyklejenie mu gęby postaci z półświatka, choć oczywiście nie można wykluczyć mniejszych i większych petard, które obóz Platformy rozłożył już na jego szlaku kampanijnym.

PONURE ZNAKI ZAPYTANIA

Wszystko to jednak błędnie wobec coraz bardziej niepokojącego znaczenia modelu rumuńskiego, w którym to kraju unieważniono wyniki pierwszej tury wyborów pod pretekstem rzekomych wpływów rosyjskich. Donald Tusk najwyraźniej także chce zagrać kartą oskarżeń o wpływy rosyjskie, którymi można będzie uderzyć w Karola Nawrockiego w razie jego zwycięstwa.

Jednocześnie zawieszenie przez PKW decyzji o dotacjach dla PiS do czasu ustawowego ustalenia statusu Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego to niezwykle groźny precdens. Ta sama izba decyduje o ważności wyborów prezydenckich. Co będzie, gdy do momentu wyborów jej status w opinii ekipy Tuska się „ustawowo nie ustali”? Kto wtedy potwierdzi wynik głosowania?

Wszystko to łączy się z próbami oskarżania PiS o rzekome korzystanie ze wsparcia Rosji. Nietrudno wyobrazić sobie coś w rodzaju brudnego sojuszu Putina z Tuskiem. Putin może uznać, że wygrana Nawrockiego jest dla niego nie do zaakceptowania i w tej kwestii jego interesy są zbieżne z interesami Tuska. Dlatego propaganda Moskwy może udać wspieranie Nawrockiego tylko po to, aby platformersi mieli paliwo do oskarżania Rosji o wywieranie wpływu na wynik polskich wyborów.

Oczywiście w wypadku Karola Nawrockiego – który jest obiektem rosyjskich ataków, którego Rosja oskarża o obrażanie narodu rosyjskiego i fałszowanie historii drugiej wojny światowej – każdy rozsądny człowiek powinien uznać to za mistyfikację. Ale chęć do zachowania pełni władzy lub zablokowania uznania wygranej Nawrockiego pod szczytnym hasłem walki z ingerencją Moskwy w polskie wybory może być bardzo kuszącą wizją. Wtedy pojawi się pytanie, czy Ameryka wesprze polską opozycję i da znać ekipie Tuska, że taka mistyfikacja mogłaby być dla niej kłopotliwa w relacjach z Waszyngtonem. Ten lęk przed wprowadzeniem narracji o rzekomym wpływie Moskwy na wynik

wyborów jest mocniejszy, jeżeli ma się w pamięci unieważnienie pierwszej tury wyborów w Rumunii. Inny możliwy scenariusz zablokowania przejęcia władzy przez PiS w razie wygranej Nawrockiego to wspomniana już przez Ryszarda Kalisza możliwość odmowy odebrania przysięgi prezydenckiej przez marszałka Sejmu. Pytanie: Dlaczego politycy i adwokaci związani z obozem władzy rozpoczynają tego typu zaczepki tak wcześnie? Czy chcą przekonać część elektoratu prawicy, że wybory tak czy inaczej zostaną jakoś „skręcone” przez Tuska i nie ma co przesadnie się nimi przejmować? A może premier z Gdańska chce rozhuścić nastroje tak, aby doszło do jakichś gwałtownych protestów, i ustawić rząd koalicji 13 grudnia w roli jedynych obrońców porządku publicznego?

Wszystko to pokazuje, że obóz Platformy przegraną w wyborach prezydenckich traktuje niezwykle serio. Jeszcze nie wiemy, czy będzie to skutkowało np. zamianą Trzaskowskiego na Tuska czy też chodzi jedynie o sprowokowanie prawicy do jakichś nieprzemyślanych działań. Na przykład przez próbę zatrzymania Nawrockiego w oparciu o zeznanie kogoś, kto zetknął się z nim ileś lat temu, ale teraz chętnie „przypomni sobie” jakieś obciążające Nawrockiego zeznania.

I wreszcie ostatnia możliwość, która wciąż nie może przyoblec się w bardziej realne kształty. To wciąż możliwy start „kandydata zaskoczenia”. Typowany do tej roli twórca Kanału Zero Krzysztof Stanowski balansuje między ironicznymi kpinkami na temat swojego startu a wypowiedziami sugerującymi, że taką próbę może jednak podjąć.

Jedno jest pewne. Prawica musi organizować własny ruch kontroli wyborów i bardzo ostro zapowiadać protesty w razie próby odkładania wyborów lub ich zanegowania w razie wygranej Karola Nawrockiego. Jeśli Tusk nie będzie miał świadomości, że wszelkie majstrowanie przy wyborach wywoła masowy opór społeczny, to może przygotować rozmaite, nawet bardzo niepokojące scenariusze „rozhuśnięcia łódki”. Dla Platformy wybory prezydenckie to być albo nie być, a myślenie w kategoriach „przejściowego stanu wyjątkowego” niepokojąco często zaczyna się w wypowiedziach polityków i publicystów obozu III RP. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Obóz Platformy przegraną w wyborach prezydenckich traktuje niezwykle serio

błędów poza być może zbyt nachalnym kopiowaniem wzorców z amerykańskiego szlagieru „Rocky”. Jego apel do Rafała Trzaskowskiego o podpisanie konstytucji bezpieczeństwa RP i wyłączenie spraw obronności z bieżącego sporu politycznego był zgrabnym posunięciem.

Postawienie na Nawrockiego na nowo wzmocniło determinację elektoratu PiS, który wreszcie dostał kogoś nowego, z kim może się utożsamiać. Jarosław Kaczyński rozpiął nad Nawrockim i szefem jego sztabu Pawłem Szefernakerem parasol ochronny, izolując kandydata od prób mieszania się w jego decyzje rozmaitych tuzów z czołówki PiS, wiecznych mentorów, narzucających się ze swoimi radami i sugestiami.

Od nowego roku sztab Nawrockiego zapowiada całą sekwencję programowych minikonwencji, na których kandydat odnosić się będzie do wszystkich najważ-



Rafał A. Ziemkiewicz

Tym razem, w przeciwieństwie do roku 2007, Polacy potrzebują wizji, a nie zapewnienia im spokoju w radosnej konsumpcji. Konsumpcja się skończyła, spokoju nie będzie. Jest wojna, jest strach, że zostaniemy w nią wplątani, jest kumulacja trapiących świat zachodni kryzysów, jest załamanie się wielkich narracji

Wracając do tytułowego pytania: Czy rząd Donalda Tuska przetrwa do końca roku 2025? Odpowiedź krótka brzmi: Nie.

Dłuższa: Tak się często zdarza, zarówno w ogóle w życiu, jak i w polityce, że czekamy na spełnienie marzeń tak długo, aż – gdy się wreszcie spełnią – nie ma to znaczenia, bo świat zupełnie się już zmienił. Monumentalnym przykładem takiej sytuacji było ziszczenie wielkiego snu Adama Michnika o „sojuszu sił reformatorskich z obu stron historycznego podziału” – w chwili, kiedy zarówno jego formacja, jak i postkomuniści tracili już w społeczeństwie resztki popularności i stworzona wreszcie po kilkunastu latach jego starań koalicja Lewica i Demokraci musiała pozostać bytem marginalnym.

Sądzę, że podobnie „przesunięcie w czasie” jest udziałem koalicji rządzącej dziś Polską, jakkolwiek obecnie ma ono nieco inny charakter. U podstaw tej próby restauracji „złotych czasów” 2007–2013 leży szczególnie przekonanie, że mniej więcej w owej epoce czas się zatrzymał i ani polskie społeczeństwo, ani sytuacja międzynarodowa nie ulegają już zasadniczym zmianom. Fakt, że PiS wygrał wybory w roku 2015, a potem w latach 2019 i 2020, należy tłumaczyć w pierwszym wypadku fatalnym zbiegiem okoliczności (mityczna ingerencja amerykańskich służb w wybory prezydenckie, rozbiście głosów lewicy w parlamentarnych), a w dwóch następnych – przejściem przez PiS narzędzi manipulowania społeczeń-

stwem, na czele z telewizją. Wystarczą mobilizacja i pomoc zagraniczna – szantaż wstrzymania pieniędzy z KPO, zasypianie Polaków potępiającymi rezolucjami etc. – aby odzyskać władzę. A jak się ją już odzyska, odbierze się PiS telewizję i pieniądze, dalej wszystko pójdzie samo. Nawet gdyby pojawił się jakiś problem, Unia podpowie, jak go rozwiązać albo wręcz sama rozwiąże go za nas.

Używane często przeze mnie porównanie lewicowo-liberalnej koalicji do filmowego „gangu Olsena” nie jest, jak może się niektórym zdawać, tylko złośliwością. Przyczyną niepowodzenia wszystkich genialnych planów Egon Olsena było to, że zawsze kończyły się one na samym „skoku”. Gangsterzy nieudacznicy mieli starannie przemyślane, jak dostać się do kolejnego sejfu firmy Franz Jaeger i go otworzyć. Ale dalej plan sprowadzał się do: weźmiemy forszę i będziemy milionerami. Tymczasem decydujące okazywało się właśnie owo „po”, kiedy to Egon, Benny

wskazaniu Romana Dmowskiego, by zawsze starać się zrozumieć motywację i cele przeciwnika oraz wczuć się w jego sposób myślenia, poświęciłem wiele czasu i uwagi na lekturę tekstów Adama Michnika, wywiadów Bronisława Geremka i Donalda Tuska, publikacji rozmaitych „autorytetów” ich środowiska; włożyłem naprawdę wiele wysiłku w to, by zrozumieć, do czego dążą. I niestety nie znalazłem w tym wszystkim żadnego politycznego planu, żadnego powodu sięgania po władzę nad Polską oprócz „nam się należy panować, bo jesteśmy lepsi”.

Dla środowisk, umownie mówiąc, „intelektualnych”, stojących za koalicją 13 grudnia, sprawowanie władzy nad Polską wydaje się niczym więcej niż realizacją dziejowej sprawiedliwości, która wymaga, aby plebs podziwiał swoje elity i się ich słuchał. Dla polityków rządzącej koalicji, tych, którzy pociągają za sznurki, polityka wydaje się czystą pragmatyką, sztuką zdobywania i utrzymywania

Czy rząd Tuska przetrwa do końca roku 2025?

i Kjeld, zupełnie niemający pomysłu, jak się przed tym obronić, byli pozbawiani łupów przez sprytniejszych konkurentów i „wystawiani” policji.

BEZ POLITYCZNEGO PLANU

Wykonuję zawód (a może wręcz, śmiem czasem myśleć, pełnię służbę) komentatora politycznego od pierwszej stycznia tygodnia roku 1991, nieodmiennie tkwiąc na pozycjach krytycznych wobec michnikowszczyzny, lewicowo-liberalnych elit i ich kolejnych politycznych emanacji. Posłuszny

władzy oraz czerpania z niej korzyści. Jeśli pojawiają się w kręgach rządzącej koalicji, głównie wśród mniej liczących się „przystawek”, jakieś wizje, to są bardzo cząstkowe, a i tam podejrzewać można, że nie chodzi o zmienianie świata nawet w tak wycinkowym obszarze jak „prawa kobiet” czy „zmiany klimatyczne”, a o scementowanie wokół siebie jakiegoś lobby, jakiejś grupy dającej pozycję w koalicyjnych targach i pozwalającej w nich, jak to ujął poeta, „swoje ucapić”.

Słowem: bon mot premiera Tuska z początków poprzedniej kadencji –

„jeśli któryś z ministrów powie mi, że ma jakieś wizje, odeślę go do lekarza” – rządzi nadal.

A czasy zmieniły się diametralnie. Oczekiwanie „pragmatyzmu”, sformułowane w dyskursie lat 90., kiedy to powszechnie przeciwstawiano go jako pozytywną alternatywę dla „ideologii”, rzeczywiście niosło Donalda Tuska za jego pierwszych rządów. Hasło „nie róbmy polityki, budujmy autostrady” (lub inne oczekiwane inwestycje) trafiało w oczekiwania zdecydowanej większości Polaków, którym wydawało się, że wszystkie cele „reform” zostały w zasadzie osiągnięte, przyśłaliśmy się

Jak może więc przetrwać rząd, którego główną opowieścią jest wciąż Europa, a głównym tytułem do imponowania Polakom – bycie przez nią klepanym po plecach?

do unijnego rogu obfitości i nie pozostaje nic, tylko dostosowywać się, konsumować i cieszyć się świętym spokojem.

Samo marzenie o świętym spokoju i konsumowaniu owoców awansu (zarówno indywidualnego, jak i zbiorowego) nie uległo zmianie – ale rzeczywistość sprawiła, że stało się ono nierealizowalne. Różne badania wskazują, że oczekiwanie społeczne wobec nowej władzy dawało się ująć w formułę: żeby było jak za PiS, tylko bez PiS (osobny temat, czym PiS zasłużył sobie w oczach wyborców, żeby być postrzegany jako najsłabszy element swoich własnych rządów). Innymi słowy, bez Sasinów i Terleckich i bez Kaczyńskiego, ale z CPK, rosnącym dobrobytem i powodami do zadowolenia z życia Polakiem.

Wszystkie rocznicowe podsumowania rządu Tuska (zabawny, ale znaczący drobniaczek: upierającego się w swej propagandzie, że 13 grudnia wypada rocznica 15 października, bo to z tą drugą datą chce się kojarzyć) pokazały, że po prostu nie jest on w stanie tego oczekiwania spełnić. Cały aparat pojęciowy, którym posługuje

się obecna władza, całe jej wyobrażenie o uprawianiu polityki i, co za tym idzie, cała praktyka rządzenia i urabiania opinii publicznej, wypracowane zostały w czasach, kiedy przez cztery lata swej pierwszej kadencji premier Tusk dostał do rozporządzenia piąty, dodatkowy PKB z dotacji unijnych, wziętych pod nie kredytów, napływu kapitału giełdowego i zarobków przysyłanych rodzinom z zachodniej Europy przez Polaków wpuszczonych po wejściu do UE na tamtejsze rynki pracy.

POMRUK ZWIASTUJĄCY BURZĘ

W dokumentującej stan umysłów „postsolidarnościowej” władzy w pierwszej dekadzie jej rządów książce „My” Teresy Torańskiej Jan Rulewski mówi, że cała polska polityka to tylko „mecz o miejsce w historii”. „Reformy” są oczywiste, jedyne, trudne w okresie przejściowym, ale nie ma dla nich alternatywy – ktokolwiek rządzi, musi robić to, co robili poprzednicy, i pozostaje tylko, kto ostatecznie zostanie skojarzony z historycznym sukcesem owych „reform”. Tak właśnie myśli do dziś „klasa polityczna”. Przy czym w jej części „pisowskiej”, dzięki zderzeniu się z ekspansją UE i roszczeniami budowanego pozatraktatowo „państwa europejskiego”, pojawiła się jakaś szczątkowa refleksja nad rzekomo bezalternatywną drogą „modernizacji przez kserokopiarkę” (jak nazwał „wdrażanie standardów europejskich” Ryszard Legutko). Nie na tyle silna, by od niej odejść, gdy formacja ta rządziła, ale wystarczająca, by teraz, w opozycji, formułować niekiedy celne krytyki rządu Tuska. Natomiast elity rządzące, lewicowo-liberalne, wciąż żyją snem „wystarczy być” (w UE).

Do ogółu społeczeństwa świadomość, że coś się zmieniło, dociera wolno. Jeśli jednak tylko kilkanaście procent ankietowanych stwierdza, że w ostatnim roku ich sytuacja się poprawiła, a niemal 40 proc., że wręcz przeciwnie, to można to uznać za przysłowiowy pomruk zwiastujący burzę. Nie dlatego, że ludzie „myślą portfelem” – ta powszechnie powtarzana teza upraszcza mechanizm społeczny aż do granic jego sfałszowania. To się dzieje dlatego, że oni tracą poczucie zrozumienia swojej sytuacji, a wraz z nim poczucie bezpieczeństwa.

Tym razem, w przeciwieństwie do roku 2007, Polacy potrzebują wizji, a nie



zapewnienia im spokoju w radosnej konsumpcji. Konsumpcja się skończyła, spokoju nie będzie. Jest wojna, jest strach, że zostaniemy w nią wplątani, jest kumulacja trapiących świat zachodni kryzysów, jest załamanie się wielkich narracji. Dominująca w pierwszym ćwierćwieczu opowieść o Europie, o Zachodzie, na którego łono wrócimy i który nam wszystko da z dobrego serca i wszystko za nas zrobi, upadła na wielu poziomach. Po pierwsze, Zachód sam sobie przestał radzić. W dodatku uległ rozszepieniu – Ameryka odrzuciła linię uchodzącą w Europie za jedynie słuszną i bezalternatywną, Europa zaczyna kreować Amerykę na wroga i sojusznika Rosji, co Polaków wprowadza w pojęciowy kociokwik. We Francji i w Niemczech spią się rządy, pikuje gospodarka, na głównych ulicach stolic zalegają kolorowi włóczędzy w spiworach – a w Polsce pojawiają się, rzecz kiedyś niewyobrażalna, reemigranci, zdumieni, że na zachodzie kontynentu Internet działa gorzej niż u nas i nie ma blików ani nawet aplikacji bankowych.

Po drugie, Niemcy i inne państwa unijne okazują się kierować swoimi własnymi, egoistycznymi interesami, zamiast opiekować się nami – np. niszczyć konkurencyjność polskiej gospodarki, by ratować niemiecką, albo zalewając nas swoimi migrantami. To też dla wielu Polaków, karmionych propagandą Agory i Ringiera Axela Springera, szok. Podobnie jak niewdzięczność Ukraińców, którzy powinni być nam dożgonnie zobowiązani, a okazuje się, że wcale nie są. I nawet jeśli w badaniach pod stwier-



FOT. TOMASZ JASTRZEBSKI/REPORTER

dzeniem, że Unia Europejska więcej nam szkodzi, niż pomaga, podpisuje się na razie tylko jedna piąta ankietowanych, to znak, że tama już pękła i ten pogląd będzie się upowszechniał (zresztą charakterystyczne były komentarze tego badania w tzw. wiodących mediach: wszystkie skupione na pełnym oburzeniu udowadnianiu, ile nam członkostwo w UE przyniosło korzyści KIEDYŚ; bieżących jej działań wobec Polski nawet najwięksi euroentuzjaści bronić nie są w stanie).

Jak może więc w tej sytuacji przetrwać rząd, którego główną opowieścią jest wciąż Europa, a głównym tytułem do imponowania Polakom – bycie przez nią klepanym po plecach?

Parafrazując cytaty z filmu Stanisława Barei: rządy Tuska charakteryzuje ogólny brak koncepcji. Po co Tusk rządzi? Na ten moment: z rozpędu, bo objął władzę stosunkowo niedawno i wciąż korzysta z kredytu zaufania. Ale też traci popularność szybciej niż ktokolwiek przed nim. Dwa filary jego władzy, jak definiował je Jan Rokita – „odwet na prawicy, który ma dać satysfakcję gawiedzi, oraz wojna kulturowa, która w obronie władzy ma nieustannie mobilizować krajowe i zagraniczne siły postępu” – okazały się kruche. Wobec ubożenia i utraty poczucia bezpieczeństwa likwidacja religii w szkołach i aborcja na życzenie przestają być „topic” nawet dla Miasteczka Wilanów.

Rocznicowy sondaż United Surveys, w którym dezaprobatą dla „rozliczeń z PiS” przeważa nad aprobatą 55 do 33 proc.,

jest niejasny, bo w pierwszej grupie mogli znaleźć się np. rozczarowani liderzy Lustitii, dla których tych rozliczeń jest za mało, ale wskazuje, że nie jest to paliwo dla rządów, zwłaszcza rządów quasi-dyktatorskich, które marzyły się Tuskwowi. Skupienie się na groteskowej pogoni za Marcinem Romanowskim, oskarżanym o nikt już nie pamięta co, jest raczej wyrazem desperacji – szczególnie po kompromitacji z ministrem Dariuszem

Tylko słabość PiS i jego decyzja, by nic w sobie nie zmieniać, działają na rzecz trwania Tuska u władzy. Do końca roku zbyt wiele się wydarzy, by tego paliwa wystarczyło

Wieczorkiem. W dodatku czerwone światło zapalone przez Komisję Wenecką otwartemu bezprawiu każe podejrzewać, że i w mającej swoje problemy Unii wyczerpuje się gotowość do wspierania Tuska za wszelką cenę – czego innym znakiem jest bezwzględne egzekwowanie zobowiązań związanych z wypłatą KPO (np. oskładkowania umów-zleceń). Ich spełnienie jeszcze bardziej zmniejszy popularność Tuska. Jednocześnie w kręgu władzy wierzone, że uda się namówić UE na odroczenie tych zobowiązań do „po wyborach”.

NADZIEJA TYLKO W SŁABOŚCI PIŚ

Wobec generalnego problemu z opowieścią, narracją, ideą uzasadniającą istnienie rządu, który powstał, tylko żeby

„było znowu, jak było”, choć to „jak było” stanowiło dobre wspomnienie jedynie wąskiej części jego wyborców, mniejszym problemem stają się sprawy, które same z siebie wystarczałyby do upadku. Można tu wymienić np. generalną niesprawność rekordowo spuchniętego rządu (prawie 150 ministrów i wiceministrów) obsadzanego z koalicyjnego parytetu i pełnego osób w oczywisty sposób niedorastających intelektualnie do dyktowania w szanującym się PGR. Najusilniejsza praca agitacyjno-propagandowa TVN i Ringiera Axela Springera nie jest w stanie tego na dłuższą metę osłonić, nawet jeśli uda się zachować Tuskwowi pełną kontrolę nad tą pierwszą, „strategiczną” stacją.

Sam Tusk chyba zresztą zdaje sobie z tego sprawę, skoro w rocznicę utworzenia koalicyjnego rządu pojawił się przeciek o zamiarze generalnego „odchudzenia” i zrekonstruowania rządu. Można jednak się domyślić, że na zamiarze się skończy – koalicjanci mogą być całkowicie potulni w każdej innej sprawie, ale tam, gdzie chodzi o ministerialne stołki, mogą sobie przypomnieć, że Tusk rządzi wyłącznie dzięki ich głosom.

Rok temu Tusk postanowił dokonać rewolucji, która miała poparcie tylko mniejszej części jego wyborców. Ta grupa i tak jest niezadowolona, że rewolucja ugrzęzła i grzęźnie coraz bardziej. A większość nie słyszy od rządu żadnej odpowiedzi na coraz bardziej nurtujące ją pytania, nie dostaje od niego żadnej nadziei na rozwiązanie jej problemów, nie wie, dokąd właściwie chce ją ta ekipa zaprowadzić.

Tylko słabość PiS i jego decyzja, by nic w sobie nie zmieniać, za nic nie przeproszą, przeciwnie – wymusić poczucie winy i przeprosiny na wyborcach, że źle zagłosowali, działają na rzecz trwania Tuska u władzy. Do końca roku zbyt wiele się wydarzy, by tego paliwa wystarczyło.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Eurodekompozycja?



Tomasz Cukiernik

Przed dalszą eurointegracją i budową niekonkurencyjnego superpaństwa może nas uratować tylko dekompozycja całej Unii Europejskiej

Różnego typu prognozy i przewidywania rzadko się sprawdzają. Mniej i bardziej prestiżowi analitycy finansowi mylą się regularnie w kwestii przyszłych notowań giełdowych czy cen surowców na światowych rynkach. Gdyby potrafili przewidzieć przyszłość w tym zakresie, dawno przestaliby być analitykami, bo byłiby milionerami. Kompletnie nie sprawdzili się prognozy z raportu Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej z 2003 r. dotyczące tego, co Polskę czeka jako kraj członkowski Unii Europejskiej. Na przykład przewidywano, że „nie należy się jednak spodziewać, że w wyniku członkostwa Polski w Unii liczba pracowników polskich poszukujących zatrudnienia za granicą znacząco wzrośnie. Możemy mieć do czynienia ze zwiększeniem migracji maksymalnie o ok. 100 tys. osób rocznie”.

W rzeczywistości, zgodnie z danymi GUS, średniorocznie było to... 21 razy więcej! Bardziej zgodne z rzeczywistością okazały się przewidywania związane z członkostwem w UE zaserwowane Polakom w 2003 r. na ulotkach Unii Polityki Realnej (np. te dotyczące utraty suwerenności czy budowy zdominowanego przez Niemcy etatystycznego superpaństwa) czy Ligi Polskich Rodzin (np. te dotyczące dyskryminacji polskich rolników czy przejęcia polskiego handlu przez zagraniczne sieci).

Wróźby dotyczące innych obszarów też się nie sprawdzają. Po dwóch tygodniach od rozpoczęcia wojny na Ukrainie gen. Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych, stwierdził w Radiu Zet, że „w ciągu dwóch-trzech dni, maksymalnie pięciu, wojna na Ukrainie się rozstrzygnie”. Tymczasem mijają niemal trzy lata, a wojna trwa w najlepsze.

Natomiast przewidywania alarmistów klimatycznych tak bardzo się nie sprawdzają, że stały się przedmiotem memów. W 2018 r. aktywistka Greta Thunberg, powołując się na artykuł streszczający wystąpienie profesora chemii atmosferycznej z Uniwersytetu Harvarda, napisała na Twitterze, że ludzkość ulegnie zagładzie, jeśli nie odejdzie od paliw kopalnych do 2023 r. W rzeczywistości wykorzystanie paliw kopalnych z roku na rok rośnie, a świat nadal trwa. Kompletnie nie sprawdziły się katastrofalne przepowiednie klimatyczne wiceprezidenta USA Ala Gore'a, który twierdził m.in., że jeśli nie zmniejszy się emisji dwutlenku węgla, to już w 2014 r. Arktyka będzie wolna od lodów. Tymczasem objętość lodu arktycznego się zwiększa. Nieprawdziwa okazała się także przepowiednia Gore'a z jego filmu z 2007 r., w którym stwierdził, że



FOT. ANDRZEJ STOK

nastąpi załamanie populacji niedźwiedzi polarnych w Arktyce. Przewidywania ONZ również się nie sprawdzają. Jak pisze prof. Piotr Kowalczak w książce „Zmiany klimatu. Polityka. Ideologia. Nauka. Fakty”, w 1989 r. organizacja ta twierdziła, że „wzrost poziomu mórz w wyniku globalnego ocieplenia zniszczy całe narody już w 2000 r. W 2005 r. sądzono, że nastąpi to w 2010 r. W 2010 r. katastrofę przesunięto na 2020 r. Obecnie mamy 2024 rok... i brakuje nowego terminu katastrofy”.

TRAFNE PROGNOZY

Jednak nie wszystkie prognozy i przewidywania są błędne. Miał rację dr hab. Jerzy Chodorowski, który w swojej książce z 2001 r. pt. „Przynęty i pułapki w europejskich traktatach integracyjnych” przewidywał, że w ramach budowy europejskiego superpaństwa kraje

członkowskie będą traciły suwerenność, narody będą rozmywane, a ludzie będą wychowywani (indoktrynowani) według wskazówek ideologów (swoją drogą, istnienie tej książki w tamtym okresie jest dowodem, że przed referendum akcesyjnym były materiały, z których można się było dowiedzieć, czym naprawdę jest UE, i nie można się zaśłaniać, że „głosowałem za Unią, bo nie było informacji, tylko rządowa propaganda”).

Sprawdziły się też moje prognozy. Na przykład ta sprzed dwóch dekad dotycząca szkodliwości dotacji unijnych. Powoli zaczyna do ludzi docierać, że dotacje nie są darmową manną z nieba. Miałem też rację (co w gruncie rzeczy nie było trudne do przewidzenia), że nowy rząd uśmiechniętej koalicji przyspieszy szkodliwą dla Polski eurointegrację i wdrażaną pod unijnym rozkazem unijną zieloną politykę. Tak też się stało: zaraz po utworzeniu rządu Donalda Tuska Polska zgłosiła się do Prokuratury Europejskiej, już po wyborach zapowiedziano wycofanie skarg złożonych przez rząd PiS do Trybunału Sprawiedliwości UE przeciwko pakietowi „Fit for 55”, w tym w kwestii zakazu samochodów spalinowych, przyspieszono plany zamykania kopalni węgla i elektrowni węglowych. Z kolei zaraz po tegorocznych wyborach europarlamentarnych powiedziałem w jednym z programów internetowych, że europoseł Grzegorz Braun będzie karany finansowo za swoje wypowiedzi w Parlamencie Europejskim. Za wypowiedź posła Brauna z końca listopada br. o istnieniu dwóch płci mają być już wyciągnięte konsekwencje przez przewodniczącą PE. Mimo to nie lubię bawić się we wróżbitę.

EUROKRYZYS

Co czeka Unię Europejską w najbliższym czasie? Czy kryzys się pogłębi? Czy eurokraci w końcu się opamiętają i będą próbowali wycofywać się z samobójczej zielonej polityki, która niszczy europejskie gospodarki? Czy jednak będą brnąć jeszcze dalej w bagno Zielonego Ładu? Jaki będzie skutek takiej polityki? Czy w rezultacie dojdzie do upadku całej Unii Europejskiej, bo każdy kraj członkowski, bez oglądania się na Brukselę, zacznie prowadzić politykę korzystną wyłącznie dla siebie? Mamy wiele niewiadomych. Jedno jest pewne: zielona polityka już

Wszystko wskazuje na to, że Unia Europejska się nie zdeformuje, nawet jeśli prezydent elekt Donald Trump zrealizuje zapowiedziane kroki dotyczące wycofania Stanów Zjednoczonych z międzynarodowej współpracy klimatycznej i uwolnienia wydobywania oraz wykorzystania paliw kopalnych

doprowadziła do kryzysu gospodarczego i jeśli Unia nie zawróci z tej drogi, to będzie się on pogłębiał. Działające w UE firmy będą coraz bardziej traciły konkurencyjność wobec firm spoza Unii.

Niestety, wszystko wskazuje na to, że Unia Europejska się nie zdeformuje, nawet jeśli prezydent elekt Donald Trump zrealizuje zapowiedziane kroki dotyczące wycofania Stanów Zjednoczonych z międzynarodowej współpracy klimatycznej i uwolnienia wydobywania oraz wykorzystania paliw kopalnych. – Chcę jasno powiedzieć: musimy i będziemy trzymać się celów Europejskiego Zielonego Ładu – powiedziała w listopadzie br. Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej. To tylko pogłębi przepaść ekonomiczną pomiędzy UE a USA. Otrzęźwienie nie przyszło nawet po tym, jak we wrześniu 2024 r. został opublikowany raport ekonomisty Maria Draghiego, byłego prezesa Europejskiego Banku Centralnego, zlecony przez von der Leyen, z którego wynika, że gospodarka Unii Europejskiej nie tylko przestaje być konkurencyjna wobec gospodarki USA i Chin, lecz także czeka ją powolna agonia. Jako receptę Draghi nie proponuje rezygnacji ze wszystkich interwencyonistycznych polityk i unijnych strategii oraz europodatków, a kontynuowanie polityki klimatycznej, zwiększanie zadłużania, centralizację i jeszcze więcej interwencjonizmu: nowe strategie i kolejne regulacje oraz jeszcze większe wydatki. Czyli Draghi prawidłowo zdiagnozował chorobę, ale

■ zamiast sprawdzonego lekarstwa w postaci deregulacji i liberalizacji proponuje podawać pacjentowi jeszcze więcej trujących grzybów. Można z tego wyciągnąć jeden wniosek: prowadzący w otchłań Unię zdominowani przez lewacką ideologię politycy nigdy się nie przebudzą.

Tymczasem sytuacja gospodarcza Unii staje się coraz mniej ciekawa. Eurokratom marzy się będące światowym liderem superpaństwo, ale fakty pokazują jednoznacznie, że kolejne pobożne życzenia eurokratów, takie jak strategia lizbońska, się nie sprawdziły. Unia oddala się od USA. Europejskie firmy stają się coraz mniej konkurencyjne na światowym rynku, a inwestorzy wycofują się na rynki pozaunijne. A to dlatego, że ręczne sterowanie nie jest lekarstwem, a jedynie pogarsza sytuację. Unia nie potrzebuje kolejnych strategii, planów i regulacji, takich jak Zielony i Niebieski Ład czy tzw. Fundusz Odbudowy, a odczepienia się biurokratów od gospodarki. Niestety, w Brukseli rządzą socjaliści i dla nich taki kierunek jest nie do pomyślenia. Efektem jest szybko rosnąca luka dobrobytu pomiędzy UE a USA. Według danych MFW w 2004 r. PKB w USA był o 7 proc. wyższy niż w UE, a w 2023 r. – już o 49 proc.

Zielona europolityka w szczególności mocno uderza w Polskę. Już teraz mamy do czynienia z masową likwidacją firm. Według danych opublikowanych przez CEIDG w 2022 r. ponad 192 tys. przedsiębiorców zakończyło prowadzenie działalności, a w 2023 r. było to prawie 196 tys. Z kolei z danych Ministerstwa Rozwoju i Technologii wynika, że w trzech pierwszych kwartałach 2024 r. do rejestru CEIDG wpłynęło prawie 142 tys. wniosków dotyczących zakończenia prowadzenia jednoosobowej działalności gospodarczej. Ci więksi inwestorzy przenoszą się z Polski poza UE: do Indii (np. PepsiCo, Infosys, NatWest), Chin (ABB), Maroka (np. TE Connectivity Industrial), Tunezji (np. Lear Corporation) czy Brazylii (np. Stellantis).

ROZPAD UNII

Skoro nie ma szans na opamiętanie się i zawrócenie z tej błędnej drogi, to nadzieją może być dekompozycja Unii Europejskiej. W 1988 r. niewiele osób przewidywało, że wkrótce rozpadnie się ZSRS. Znam tylko jednego takiego czło-

wieka: działacza opozycji antykomunistycznej Adama Wojciechowskiego, lidera Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Otóż w 1980 r. w podziemnym kwartalniku „Aspekt” opublikowano jego artykuł pt. „Rosja w Europie i Azji”, w którym prognozował właśnie rozpad ZSRS. Pesymista powie, że siłą rozpędu Unia Europejska może jeszcze długo trwać, ale optymista może liczyć na cud dekompozycji Unii z powodów gospodarczych. Jedno jest pewne: UE to doskonały mechanizm korupcyjny, który wciąga polityków (łapownictwo, nepotyzm, poplecznictwo, wygodne życie eurokratów) i państwa. To nie pozwala niektórym rządóm zachowywać się w sposób racjonalny i bronić interesów oraz racji stanu własnego kraju.

Przykre jest to, że nawet za PRL politycy w swoich działaniach bardziej brali pod uwagę interes narodowy niż teraz

Przykre jest to, że nawet za PRL politycy w swoich działaniach bardziej brali pod uwagę interes narodowy niż teraz. Oczywiście musieli się słuchać Moskwy i musieli budować socjalizm, ale w ramach autonomii nie myśleli w kategoriach interesu sowieckiego, tylko polskiego. Wdzieli odrębność interesu Polski od ZSRS. Nie mówili o sobie, że są sowieciarzami, i nie byli z tego dumni.

Teraz politycy są dumnymi Europejczykami, a polskiej narodowości się wstydzą. Niemal wszyscy politycy, poza wyjątkami z Konfederacji, nie myślą o interesie Polski, tylko Unii Europejskiej, potulnie wdrażając do naszego systemu prawnego najbardziej szkodliwe dyrektywy. I robią to nie ci, którzy pojechali do Brukseli, tylko ci, którzy rządzą w Polsce. Myślenie w kategoriach narodowych jest tym ludziom całkowicie obce. – Wychowano nam pokolenie, całe plemię kosmopolitów, Europejczyków, globalistów, którzy brzydzą się pojęciem polskiego interesu narodowego. Polskość właściwe dla nich nie istnieje [...]. To zaczyna budzić nawet zdziwienie, zaskoczenie i swojego rodzaju przerażenie u Czechów, Węgrów, nawet

u Niemców [...]. Nasze elity polityczne zostały zaprogramowane tak, że dla nich Polska nie istnieje – ocenił w telewizji internetowej PSTV prof. Adam Wielomski. To wielka zmiana, która jest bardzo szkodliwa i niekorzystna dla Polaków. Działając w ten sposób, politycy kłamią, kradną i szkodzą swojemu suwerenowi, czyli polskiemu społeczeństwu.

Warto zaznaczyć, że niektórzy politycy z innych krajów członkowskich potrafią wznieść się ponad partykularne interesy i zadbać o interes własnych obywateli wbrew oczekiwaniom eurokratów. Mam na myśli nie tylko premiera Viktora Orbána. Władze Słowacji sprzeciwiły się unijnemu paktowi migracyjnemu i zagwarantowały w konstytucji możliwość płatności gotówką. Odrzuciły także unijny system ETS2 oraz wezwały Komisję Europejską do ponownego rozważenia dyrektywy w tym zakresie. Z kolei minister kultury Słowacji zdecydowała, że resort nie będzie przekazywał środków na organizacje pozarządowe propagujące lewicowych treści. Słowacki rząd uchylił również grzywny nałożone w czasie pandemii COVID-19, a ukarani otrzymają zwrot pieniędzy. – I tego chcę w Polsce! Ochrony płatności gotówką i prawa do prywatności, obrony rodziny i tradycyjnych wartości przed lewicową propagandą, sprzeciwu wobec masowej i niekontrolowanej migracji oraz dbania o bezpieczeństwo i portfele obywateli – skomentowała europosłanka Konfederacji Ewa Zajączkowska-Hernik. Czyli jednak się da. Trzeba tylko chcieć.

Niektórzy analitycy uważają, że rozpadu Unii Europejskiej nie da się już powstrzymać. Że to tylko kwestia czasu. W miarę narastania problemów jeszcze w ramach Unii każdy kraj członkowski będzie coraz bardziej dbał wyłącznie o własne interesy, co będzie sprzeczne z interesem innych krajów i całej wspólnoty. Pandemia covidowa pokazała, że niektóre kraje, np. Niemcy, podejmowały działania, które bezpośrednio uderzały w interesy innych państw. Każdy kraj członkowski będzie prowadził coraz bardziej protekcyjną politykę, ale z drugiej strony plusem będzie to, że po dekompozycji Bruksela przestanie nas w końcu ciemnić regulacjami, podatkami, dotacjami i zadłużaniem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dla każdego obserwatora z zewnątrz jest jasne, że – z perspektywy biskupów – najpoważniejszym wyzwaniem w nowym roku będzie sprawa religii w szkole. Rozmowy na ten temat toczą się między rządem a Episkopatem już od miesięcy; bez wyraźnych efektów. Resort Barbary Nowackiej prze do możliwie szybkiego zmniejszenia tygodniowej liczby tych lekcji oraz do ich głębokiej reorganizacji (jak choćby łączenia klas), powołując się na rzekomą wolę narodów ujawnianą w „badaniach społecznych”.

RELIGIA W SZKOLE

Strona kościelna zasadniczo zgadza się ze zmniejszeniem liczby lekcji, ale chce rozłożyć zmiany na kilka lat oraz doprowadzić do sytuacji, w których uczenie się religii albo etyki będzie dla uczniów obligatoryjne. Z perspektywy katolickiej sprawa ma w oczywisty sposób znaczenie ideowe i formacyjne, ale – nie ma co ukrywać – jedną z głównych motywacji są też finanse. Dwie lekcje religii w tygodniu zapewniają stały dochód nie tylko kilkunastu tysiącom świeckich katechetów, lecz także grupie blisko 10 tys. księży.

Stawiam tę sprawę dość brutalnie, bo w całej dyskusji po stronie Kościoła bardzo brakuje refleksji nad tym, jaki jest właściwy charakter szkolnej nauki lekcji religii. Biskupi – czyni to m.in. biskup Łowicza Wojciech Osiał, przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego – mówią o konieczności „etycznej” formacji polskich uczniów, co ma być normą w wielu krajach europejskiego Zachodu. Sprowadzanie lekcji religii do kwestii etyki jest jednak głębokim nieporozumieniem, a skutki tego są właśnie w tamtych krajach dobrze widoczne. Obligatoryjne lekcje religii albo etyki prowadzą w świeckich demokracjach wyłącznie do tego, że uczniom prezentuje się liberalną propagandę, która ogołaca religię katolicką z jej zbawczej wyjątkowości. Powoli tracę nadzieję, że w ferworze walki o utrzymanie religii w szkołach ktokolwiek zdecyduje się poważnie dotknąć również tego wątku.

Tym bardziej że wyzwania edukacyjne stojące przed Kościołem na lekcjach religii bynajmniej się nie kończą. Ministerstwo Edukacji Narodowej jest zdeterminowane do tego, by wprowadzić do polskich szkół tzw. edukację zdrowotną; jedyną istotną

Rok kościelnych rewolucji



Paweł Chmielewski

Rok 2025 przyniesie Kościołowi w Polsce dużą liczbę poważnych wyzwań. Codziennosc zdominują organizacja masowych pielgrzymek do Rzymu na Rok Jubileuszowy i walka o religię w szkole. W tle są jednak o wiele bardziej fundamentalne zagadnienia, jak decentralizacja Kościoła, którą przeprowadza Franciszek

nowością tego niby-przedmiotu są elementy permissywnej edukacji seksualnej. Konferencja Episkopatu Polski zajęła w tej kwestii zdecydowanie krytyczne stanowisko, ściągając na siebie niechęć tzw. progresywnych katolików. Biskupi nie mają praktycznych możliwości, by wpłynąć w tej sprawie na rząd. Można jednak oczekiwać, że utrzymają swoją negatywną postawę wobec planowanych przez Barbarę Nowacką zmian i będą dawać temu wyraz w kolejnych komunikatach. Dla wielu świeckich jasne stanowisko episkopatu pozostaje drogowskazem, który zachęca do zaangażowania w walkę ze skandalicznymi planami Nowackiej. Dotyczy to zresztą nie tylko samej edukacji zdrowotnej, lecz także usuwania z programu nauki w szkole treści chrześcijańskich i patriotycznych.

ZWIĄZKI PARTNERSKIE

Głos biskupów będzie bardzo istotny także w sprawie innych zmian rozważanych przez rząd Tuska, jak choćby rejestrowanie związków partnerskie. W październiku 2024 r. zaskakujące stanowisko zajął kard. Kazimierz Nycz, przekonując, że Kościół w Polsce mógłby takie decyzje prawne politycznie tolerować. Jego słowa

odkręcał wprowadzie rzecznik prasowy, ale rzecz wywołała bardzo poważne zamieszanie. Można sądzić, że był to jednorazowy wyskok; kompromisowa postawa wobec rewolucyjnej redefinicji sensu małżeństwa byłaby źródłem głębokiej demobilizacji organizacji społecznych i tych polityków, którzy odwołują się w swojej działalności do nauki Kościoła. Tymczasem potrzebna jest właśnie wielka mobilizacja, zwłaszcza w obliczu możliwości przejęcia Pałacu Prezydenckiego przez Koalicję Obywatelską.

Pytanie, czy episkopat zdoła wypracować wspólne stanowisko. Nie będą temu sprzyjać rozszady, które zaczęły się w polskim Kościele w roku 2024, a które potrwają również w kolejnych miesiącach. Najpierw przyszły zmiany we władzach episkopatu, później – nowa obsada ważnego metropolity Warszawy, abp. Adriana Galbasa, przeniesionego do stolicy z Katowic. Najbliższy rok będzie wielkim testem dla tego relatywnie młodego hierarchy; z wielu przyczyn 56-letni arcybiskup ma w oczach dużych mediów o wiele większy autorytet niż przewodniczący KEP, abp Tadeusz Wojda z Gdańska.

■ To sprawia, że będzie – siłą rzeczy – traktowany jako jeden z faktycznych kierowników Kościoła w całym kraju. Niezależnie od oceny duszpasterskiej wizji, której hołduje abp Galbas, nie ulega wątpliwości, że brakuje mu doświadczenia w tak trudnej roli politycznej – trudnej zwłaszcza dziś, kiedy z racji na charakter rządu konieczna jest często otwarcie konfrontacyjna postawa Kościoła. A przecież wkrótce dojdzie do zmian również w dwóch innych kluczowych stolicach, w Poznaniu i Krakowie. Wraz z Galbasem nowi metropolici tych dwóch stolic będą odpowiadać za ukształtowanie profilu polskiego katolicyzmu na długie lata. Biorąc pod uwagę naciski Stolicy Apostolskiej na bardziej progresywny model, może to wiązać się z początkiem zaprowadzania głębokich zmian w charakterze naszej religijności, a to miałyby przełożenie również na życie społeczne i polityczne. Dużą pokusą dla Kościoła w Polsce będzie przyjęcie znanego z Niemiec albo Włoch modelu dostosowania do liberalnej rzeczywistości. Mam nadzieję, że wystarczy biskupom siły, by temu nie ulec.

MODEL RÓŻNORODNOŚCIOWY

Z natury rzeczy najbardziej interesują nas sprawy czysto polskie, ale dla katolicyzmu w naszym kraju najistotniejsze będzie w roku 2025 to, co się dzieje w Kościele powszechnym. W pierwszej mierze idzie o tzw. synodalność. 25 listopada Stolica Apostolska opublikowała „Notę” papieża Franciszka dotyczącą autorytetu nauczycielskiego Dokumentu Finalnego, którą przyjął miesiąc wcześniej synod obradujący w Rzymie. Papież podkreślił w nim konieczność wprowadzania w każdym kraju „synodalnych zmian”. Poleciał biskupom przygotowywanie raportów z tego, co udało im się zrobić (oraz czego się nie udało) i przedstawianie ich podczas cyklicznych wizyt „ad limina” w Watykanie. To oznacza, że również polscy biskupi będą musieli – chcąc nie chcąc – wdrożyć w życie jakieś reformy. Nie wiadomo jeszcze, jakie dokładnie, bo papież Franciszek w swojej „Nocie” nie napisał niemal nic konkretnego. Wskazał jednak, że nadzorować implementację „synodalności” mają niektóre instytucje Kurii Rzymskiej. To z nimi biskupi będą musieli negocjować szczegóły. Z dotychczasowych wypowiedzi polskich hierarchów, takich



Dla katolicyzmu w Polsce najistotniejsze będzie w roku 2025 to, co się dzieje w Kościele powszechnym

jak abp Józef Górzyński z Olsztyna czy bp Jacek Grzybowski z Warszawy, wynika, że może chodzić m.in. o dwie kwestie. Pierwszą jest budowanie w Polsce sieci szkół dla „katechistów”, czyli ludzi świeckich – mężczyzn i kobiet – którzy otrzymują od biskupa specjalne uprawnienie do oficjalnej ewangelizacji, np. w przygotowaniu do sakramentów. Druga to ożywienie roli różnorodnych rad – w diecezjach i parafiach; zwłaszcza parafialnych rad duszpasterskich i ekonomicznych. Takie zmiany same w sobie nie są szczególnie rewolucyjne ani groźne, ale nie wiadomo, czy watykańskim nadzorcom to wystarczy. Być może pojawi się z ich strony oczekiwanie, by „synodalność” w polskim wydaniu wyglądała inaczej, bardziej na sposób „zachodni”, czyli – progresywny.

Stawka jest niebagatelna. Synod o synodalności przedłożył Kościołowi propozycję oparcia się na modelu różnorodnościowym. W poszczególnych krajach czy regionach świata wiara katolicka miałaby wyglądać w przyszłości inaczej, zależnie od lokalnych uwarunkowań. W dużej mierze tak już jest: katolicy w Niemczech rzadko chodzą do spowiedzi, a mimo wszystko przyjmują Komunię Świętą; mają bardzo liberalne podejście do moralności seksualnej, w tym homoseksualizmu; akceptują uczestnictwo protestantów w Eucharystii itd. To samo dotyczy innych krajów. Atomizacja doktrynalna i moralna, która dotąd uchodziła za patologię, została przez Synod o synodalności znormalizowana w zgodzie z Franciszkową wizją Kościoła „zdecentralizowanego”. Po zakończeniu rzymskiego



jeden Kościół. Decentralizacja Kościoła na modłę właściwą wspólnotom anglikańskim od jesieni 2024 r. nie jest już tylko jakąś odległą wizją albo możliwością, lecz także wprowadzonym przez Franciszka faktem. Polscy biskupi muszą się do tego odnieść, starając się zachować tradycyjny kształt polskiego katolicyzmu w tym nowym globalnym kontekście.

Niestety, poważnemu zaangażowaniu w ten proces sprzyja niewiele. To nie tylko opisywane wcześniej problemy z polityką rządu oraz roszady personalne. Uwaga polskiej opinii publicznej w przypadku Kościoła nieustannie skupia się na wielkich skandalach moralnych. Nie chodzi tu tylko o problem wykorzystywania seksualnego nieletnich, lecz także – być może nawet w pierwszej kolejności – o afery homoseksualne. W 2024 r. polska prasa szeroko opisywała skandaliczną sytuację w diecezji Sosnowca po wielu latach rządów bp. Grzegorza Kaszaka. Jest jednak tajemnicą poliszynela, że homoseksualna sieć klerykalna w Sosnowcu trafiła na czołówki w mediach nie tyle ze względu na swoją szczególną niefrasobliwość, ile raczej z powodu zwykłego pecha.

Podobne dramaty są stałym elementem życia również w niektórych innych diecezjach. Przypomniała o tym choćby analogiczna sprawa z Drobina w diecezji płockiej, gdzie – tak jak w Sosnowcu – doszło do śmierci młodego mężczyzny w mieszkaniu księdza, gdzie odbywała się gejowska impreza. Niestety, sprawy tego rodzaju są wprawdzie medialnie nagłaśniane, ale jak dotąd nie wyciągnięto prawie żadnych konsekwencji. Przykłady na spokojne kariery znanych homoseksualnych księży można byłoby wymieniać długo. Skalę problemu i jego głębokie związki z polityką pokazała zresztą wielka afera Collegium Humanum, pełna nie tylko skandali związanych z fikcyjnymi dyplomami, lecz także wątków homoseksualnych i klerykalnych. Nie widać w Polsce żadnego podmiotu, który chciałby podjąć choćby jakąś próbę uporządkowania tej stajni Augiasza.

Dodatkową trudnością jest charakter roku 2025 jako tzw. Roku Jubileuszowego. Ogłaszanie takich lat to bardzo stara i piękna tradycja Kościoła. W praktyce wiąże się jednak również ze znaczącym rozgardiaszem. We wszystkich polskich diecezjach będą w najbliższym czasie organizowane

liczne wyprawy do Rzymu. Uwaga biskupów, księży i świeckich zostanie w dużej mierze zaabsorbowana przez te wyjazdy. To zrozumiałe, ale całe to wielkie zamieszanie odciągnie uwagę od wielu palących spraw, o których pisałem wyżej. Spodziewam się, że biskupom starczy czasu na to, by angażować się w dialog z rządem w kwestii lekcji religii w szkole, bo tu chodzi o żywotne interesy; z racji konieczności uwaga będzie przekierowywana też na jakieś „synodalne” ruchy związane choćby z próbą aktywizacji rad duszpasterskich i ekonomicznych w diecezjach i parafiach.

Nie można jednak dopuścić do tego, by zabrakło przestrzeni na pogłębioną refleksję nad sytuacją Kościoła powszechnego i miejsca Polski w globalnym systemie katolickim. Musimy odpowiedzieć na pytanie o to, czego oczekujemy od charakteru wiary w naszym kraju. Czy możemy pogodzić się z rzeczywistością postsekularną, w której religia albo etyka w szkole będą oferować tylko ogólne rozważania malejącej garstce tych, których interesuje jeszcze pytanie o Boga, a ogół wierzących będzie biernie akceptować liberalne posunięcia polityków? Co zrobimy wobec decentralizacji doktrynalnej

**Dodatkową trudnością
jest charakter roku 2025
jako tzw. Roku
Jubileuszowego**

synodu wielu bardziej konserwatywnych biskupów – w tym polskich – przekonywało, że nie ma się czego obawiać i do żadnej decentralizacji Kościoła nie dojdzie.

Problem w tym, że we wspomnianej „Nocie” na temat dokumentu finalnego synodu Franciszek odniósł się wprost tylko do jednego wątku – właśnie do „różnorodności”, zachęcając do opierania kształtu katolicyzmu w różnych miejscach na kontekście lokalnym. Cytując jeden ze swoich własnych dokumentów sprzed lat, napisał, że nie wszystkie dyskusje doktrynalne i moralne muszą być rozstrzygane przez interwencję Watykanu. Innymi słowy, według papieża możemy się w Kościele nie zgadzać nawet w ważnych zagadnieniach (takich jak to, kto przystępuje do Komunii Świętej), a mimo to dalej funkcjonować jak

i błyskawicznie pogłębiających się różnic między rozumieniem najważniejszych zagadnień moralnych w różnych krajach Europy i świata?

Jeżeli w ferworze spraw bieżących nie będzie próby zmierzania się z tymi wielkimi wyzwaniem, to skończy się w sposób łatwy do przewidzenia: długoterminowym zepchnięciem Polski na pozycję biernego ucznia w „synodalnej” szkole, w której nauczycielami będą kardynałowie, biskupi i teologowie z innych państw. Obyśmy nie stracili z oczu szerszej panoramy wyzwań i potrafili sami zatroszczyć się o przyszłość. Tego nam wszystkim w Kościele serdecznie życzę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

Dopaść Romanowskiego



FOT. WŁODZIMIECH OLSZAK/WISNIEWSKI



Karol Gac

13 grudnia minął rok od zaprzysiężenia rządu Donalda Tuska. Jednym z jego głównych politycznych celów jest wyeliminowanie obozu Prawa i Sprawiedliwości z życia publicznego. Szczególnie mocno zaatakowano środowisko dawnej Suwerennej Polski. Najlepszym tego przykładem jest sprawa Marcina Romanowskiego, byłego wiceministra sprawiedliwości. Żądanie, aby zamknąć go w areszcie, przybrało wręcz rozmiar obsesji

Sprawa Marcina Romanowskiego miała już tyle zwrotów akcji, że trudno je zliczyć. Przypomnijmy jednak, że chodzi w niej o lata 2018–2023, gdy obecny poseł PiS najpierw był pełnomocnikiem do spraw Funduszu Sprawiedliwości, a następnie wiceministrem odpowiadającym za Fun-

dusz. Jego bezpośrednim przełożonym był ówczesny minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Prokuratura twierdzi, że miało wówczas dojść do wyprowadzania pieniędzy z FS, który służył ofiarom przestępstw, w wyniku czego Skarb Państwa stracił 111 mln zł.

Sprawą Funduszu Sprawiedliwości zajmuje się powołany w tym celu przez ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Adama Bodnara specjalny Zespół Śledczy nr 2 Prokuratury Krajowej. Była to zresztą jedna z jego pierwszych decyzji, co samo w sobie jest już znamienne. Na czele zespołu stanęła w styczniu Marzena Kowalska, prokurator Prokuratury Krajowej, o której było głośno w styczniu 2011 r. w związku ze sprawą przekazania przez polskich śledczych stronie białoruskiej danych dotyczących opozycjonisty Alesia Bialackiego, którego niedługo później zatrzymano.

Co ciekawe, Marzenę Kowalską zdegradował w 2016 r. Zbigniew Ziobro, ówczesny minister sprawiedliwości, a na mocy jego decyzji stała się szeregowym śledczym. W zespole znalazło się również miejsce dla prokuratora Piotra Woźniaka. W przeszłości nadzorował on sprawę Piotra Staruchowicza ps. Staruch, kibica Legii Warszawa, który zasłynął z organizacji akcji protestacyjnej kibiców przeciwko rządowi Donalda Tuska i był określany mianem jego osobistego więźnia.

– W skład zespołu wchodzi w większości prokuratorzy, którzy byli zdegradowani za czasów ministra Zbigniewa Ziobry i którzy mogą mieć również motyw osobistej zemsty. A zatem zgodnie z procedurą karną powinni podlegać wyłączeniu. Ponadto np. kierowniczką zespołu była „awansowana” przez ministra Bodnara na wniosek Jacka Bilewicza, który nie mógł o to wnosić, ponieważ nie było i nie ma urzędu „p.o. prokuratora krajowego” – tłumaczył w czerwcu „Do Rzeczy” Marcin Romanowski. Skład Zespołu Śledczego nr 2 i jego „dokonania” przeanalizowała już bowiem Zuzanna Dąbrowska-Pieczczyńska w wydaniu „DRz” 27/2024, więc zainteresowanych odsyłam do jej tekstu (warto!).

KOMPROMITACJA PROKURATURY

Wróćmy jednak do sprawy Marcina Romanowskiego. W czerwcu prokurator generalny Adam Bodnar przekazał do Sejmu wnioski o wyrażenie zgody na pociągnięcie go do odpowiedzialności karnej oraz jego zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie. Zdaniem śledczych obecny poseł PiS popełnił 11 przestępstw, za co grozi do 15 lat więzienia. Chodziło przede wszystkim o udział w zorganizowanej grupie „mającej na celu popełnianie przestępstw przeciwko mieniu, w szczególności poprzez przekraczanie uprawnień i niedopełnianie obowiązków oraz poświadczanie

nieprawdy w dokumentach, wyrządzanie szkody w wielkich rozmiarach w mieniu Skarbu Państwa”. Według prokuratury Marcin Romanowski miał tworzyć zorganizowaną grupę z urzędnikami Ministerstwa Sprawiedliwości, którzy także mają w śledztwie status podejrzanych. Pozostałe zarzuty dotyczyły „przekroczenia uprawnień lub niedopełniania obowiązków w związku z konkretnymi decyzjami lub zachowaniami podejrzanego związanymi z działalnością Funduszu Sprawiedliwości oraz z wydatkowaniem środków ze szkodą dla interesu publicznego”.

Kilka z nich dotyczyło również „wyrządzania szkody majątkowej w wielkich rozmiarach w mieniu Skarbu Państwa”.

12 lipca Sejm przychylił się do wniosku Adama Bodnara i uchylił immunitet Marciniowi Romanowskiemu. 15 lipca doszło do zatrzymania Romanowskiego przez ABW na polecenie prokuratury. Problem w tym, że doszło do niego bezprawnie, ponieważ poseł PiS miał jeszcze drugi immunitet przysługujący mu z racji tego, że jest członkiem Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Prokuratura uznała jednak, że nie musiała wnioskować do ZPRE, by zatrzymać i aresztować Romanowskiego, jednak szef ZPRE miał na ten temat odmienne zdanie. Zdaniem Theodorosa Rousopoulou wszystkie postępowania sądowe w sprawie Romanowskiego powinny zostać wstrzymane do czasu, aż zgodę na uchylenie immunitetu wyrazi ZPRE, o czym poinformował w liście do marszałka Sejmu Szymona Hołowni, powołując się przy tym na regulację Rady Europy.

Działania prokuratury oraz reakcja ZPRE wywołały w Polsce prawdziwą burzę. Tym bardziej że – jak się szybko okazało – już w czerwcu Rada Europy miała ostrzegać władze polskie, że Romanowski jest objęty immunitetem. 16 lipca, a więc dzień po zatrzymaniu, na nocnym posiedzeniu Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa postanowił uwolnić byłego wiceministra, przychylając się do argumentacji obrony Marcina Romanowskiego.

„Bezpośrednio po zgodzie Sejmu na zatrzymanie i postawienie zarzutów udałem się z moim pełnomocnikiem mec. Bartoszem Lewandowskim do Prokuratury Krajowej, aby odnieść się do zarzutów prokuratury. Jednak żaden z prokuratorów nie był tym zainteresowany. Mój pełno-

mocnik złożył pismo informujące o gotowości stawienia się na każde wezwanie prokuratury, pozostawiając wszelkie niezbędne dane kontaktowe. Tymczasem Tusk rękoma bodnarowców i ABW zorganizował medialno-polityczną akcję zatrzymania i przymusowego doprowadzenia [...]. Za bezprawne pozbawienie wolności i nadużycie władzy grozi do 10 lat więzienia. Tusk, Bodnar, Myrcha, prokuratorzy z Zespołu nr 2 i autorzy dwóch »opinií«, które miały być podkładką do mojego aresztowania, będą musieli prędzej czy później za to odpowiedzieć” – mówił mi tuż po zatrzymaniu Marcin Romanowski, który w obszernym wywiadzie dla „Do Rzeczy” (nr 30/2024) odniósł się m.in. do sprawy Funduszu Sprawiedliwości. Co ciekawe, niedługo po tej kompromitacji prokuratury wniosek o przejście w stan spoczynku złożyła Marzena Kowalska, szefowa Zespołu Śledczego nr 2, motywując to względami „osobisto-rodzinnymi”. Na czele zespołu stanął prokurator Piotr Woźniak.

DO DWÓCH RAZY SZTUKA

2 października ZP Rady Europy zgodziło się na pociągnięcie Marcina Romanowskiego do odpowiedzialności karnej, a także na jego zatrzymanie i areszt, choć poseł PiS wskazywał na naruszenie regulaminu ZPRE. „Bez dostarczenia mi treści zarzutów dostałem kilka godzin na zebranie dokumentów i przygotowanie mojego stanowiska w sytuacji, kiedy byłem w delegacji na posiedzenie ZPRE i nie miałem fizycznego dostępu do niezbędnych materiałów. To naruszenie art. 73 regulaminu ZPRE i prawa do obrony” – napisał na portalu X.

W połowie miesiąca prokurator z Zespołu Śledczego nr 2 ogłosił Romanowskiemu 11 zarzutów w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości, a poseł PiS został przesłuchany w charakterze podejrzanego. „Podejrzany nie przyznał się do popełnienia stawianych mu zarzutów. W złożonych wyjaśnieniach wskazywał na przeszkody natury formalnej, które w jego ocenie miały uniemożliwić prowadzenie niniejszego postępowania, a nadto częściowo odniósł się merytorycznie do treści niektórych zarzutów” – poinformował w komunikacie prokurator Przemysław Nowak, rzecznik prasowy Prokuratury Krajowej.

Niedługo później śledczy skierowali do sądu wniosek o trzymiesięczny areszt. Prokuratura tłumaczyła to „uzasadnioną obawą bezprawnego utrudniania postępowania”, a także „realną groźbą wymierzenia surowej kary” w związku ze sprawą nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości.

„Marcin Romanowski jest jedyną osobą z tej grupy, wobec której stosuje się środek zapobiegawczy w postaci aresztowania tymczasowego. Tydzień wcześniej premier i prokurator generalny tłumaczą się na konferencji, że pracują, by rozliczać PiS [...]. Wyraźnie widać polityczny wpływ na to śledztwo. Minister sprawiedliwości podejmował decyzje procesowe w tej sprawie. Wszystkie działania prokuratury są motywowane kalendarzem wyborczym [...]. To są rzeczy kompletnie nie do pomyślenia. Jeśli dołożymy do tego aktywność części środowiska sędziowskiego, która wypowiada się w tej sprawie, a do tego próbę zmian składów sędziowskich, to mamy do czynienia z jakąś nieprawdopodobną sytuacją. Jak można liczyć w takich okolicznościach na sprawiedliwy proces?” – komentuje mecenas Bartosz Lewandowski, obrońca Romanowskiego w rozmowie z „Do Rzeczy”.

LICZĄ NA WSPÓŁPRACĘ

9 grudnia Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa rozpatrzył wniosek Prokuratury Krajowej i zdecydował, że Marcin Romanowski trafi na trzy miesiące do aresztu. W postanowieniu sąd wskazał, że przedstawione przez prokuratora dowody wskazują na duże prawdopodobieństwo, że Romanowski popełnił 10 zarzucanych mu przestępstw. Jego obrońca już zapowiedział odwołanie od tej decyzji. Co ważne, sąd nie zastosował aresztu warunkowego. To zaś oznacza, że polityk nie będzie mógł opuścić aresztu za kaucją.

Marcin Romanowski nie pojawił się tego dnia w sądzie, ale szybko okazało się, że przeszedł poważną operację i miał zwolnienie lekarskie do 23 grudnia. „Sąd zaznaczył, że jeżeli pan poseł zostanie zatrzymany, to powinien odbywać ewentualnie ten okres tymczasowego aresztowania w jednostce, która zapewni mu odpowiednie warunki medyczne do tego, żeby jego stan zdrowia uległ poprawie” – powiedział mecenas Lewandowski dziennikarzom, dodając, że postanowienie sądu „jest niesłuszne i niezrozumiałe”.

■ Z kolei prokurator Piotr Woźniak powiedział mediom, że sąd uznał zgodnie z wnioskiem prokuratury, iż „podstawami do stosowania tymczasowego aresztowania w tej sprawie jest z jednej strony obawa tzw. matactwa procesowego i to, że podejrzany będzie w sposób bezprawny utrudniał przebieg postępowania karnego, a jako drugą przesłankę również kwestię związaną z realną groźbą wymierzenia surowej kary podejrzanemu”.

9 grudnia wieczorem poseł PiS Janusz Kowalski opublikował na platformie X zdjęcie Romanowskiego, który leży na łóżku szpitalnym. „Poseł Marcin Romanowski. Po ciężkiej operacji. Z krwotokiem. Tusk i Bodnar ponoszą pełną odpowiedzialność za życie posła Romanowskiego, który będzie ich kolejnym więźniem politycznym” – napisał Kowalski.

Po decyzji sądu działania nabrały niesłuchanego tempa. Funkcjonariusze policji od 10 grudnia próbowali zatrzymać Romanowskiego, by doprowadzić go do aresztu śledczego. W tym celu funkcjonariusze dokonali m.in. kontroli wszystkich adresów, gdzie mógł przebywać Romanowski. Jednak już trzy dni później do Prokuratury Krajowej wpłynął wniosek z Komendy Stołecznej Policji o wszczęcie poszukiwań listem gończym, co ma umożliwić „zintensyfikowanie czynności zmierzających do ustalenia aktualnego miejsca pobytu i zatrzymania podejrzanego”, a prokurator Piotr Woźniak podjął decyzję o wydaniu postanowienia o poszukiwaniu Marcina Romanowskiego listem gończym. Jeszcze tego samego dnia stołeczna policja opublikowała wizerunek byłego wiceministra sprawiedliwości oraz jego dane, przypominając jednocześnie, że za ukrywanie poszukiwanego lub pomaganie mu w ucieczce grozi kara pozbawienia wolności do lat pięciu.

Znamienne, że do zgłoszeń podano, co jest ewenementem, adres e-mailowy naczelnika Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób, o czym za chwilę. Prokuratura poinformowała też, że poseł PiS się ukrywa. „Ustalono, że po zabiegu opuścił on placówkę medyczną na własne życzenie w dniu 6 grudnia. Na chwilę obecną nie jest znane jego miejsce pobytu. Nie przebywa pod żadnym znanym adresem. Od 6 grudnia telefony użytkowane przez podejrzanego (znane organom ścigania) nie logują się do sieci i nie są używane [...]”.

Ludzie służb oceniają, że choć formalnie status poszukiwań Marcina Romanowskiego jest zwyczajny, to sięgnięto po środki nadzwyczajne

Jest to chyba pierwszy przypadek w Polsce, że poszukiwany listem gończym jest poseł bieżącej kadencji Sejmu, były wiceminister sprawiedliwości – tłumaczył rzecznik PK.

13 grudnia „Rzeczpospolita” ujawniła, że w sprawie Romanowskiego sięgnięto po funkcjonariuszy z Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób KSP, a więc elitarnej, wyspecjalizowanej grupy do ścigania osób, za którymi wystawiono listy gończe, Europejski Nakaz Aresztowania czy tzw. czerwone noty Interpolu, czyli listy najbardziej niebezpiecznych przestępców. Dość powiedzieć, że policjanci z tego wydziału wytropili np. niedawno w Turcji Dawida M., podejrzanego o głośne zabójstwo na Nowym Świecie w Warszawie. To pokazuje kaliber spraw.

Według nieoficjalnych informacji poszukiwaniom byłego wiceministra sprawiedliwości nadano też priorytet. „Choć formalnie status poszukiwań tej osoby jest zwyczajny, to sięgnięto po nadzwyczajne środki” – stwierdzają w rozmowie z „Rzeczpospolitą” ludzie służb. I oceniają: „Zaangażowanie do tej sprawy »poszukiwaczy« to jak strzelanie z armaty do wróbla”. Z tego, co pisze „Rzeczpospolita”, wynika, że sprawdzany jest również trop „turystyki zdrowotnej” i wyjazdu Romanowskiego za granicę. Tu ma być typowany jeden z krajów europejskich, z którego ekstradycje uważa się za trudne.

14 grudnia minister sprawiedliwości ocenił, że policja „wyczerpuje teraz swoje możliwości na terenie kraju, za tym pójdą konkretne działania międzynarodowe”. 19 grudnia Sąd Okręgowy w Warszawie zdecydował właśnie o wystawieniu europejskiego nakazu aresztowania byłego wiceministra sprawiedliwości. Tego samego dnia obrońca Romanowskiego, mecenas Lewandowski, nieoczekiwanie poinformował, że rząd Węgier przychylił się do wniosku byłego wiceministra sprawiedliwości i udzielił mu ochrony międzynarodowej na podstawie ustawy o prawie

azylu. To pierwszy przypadek przyznania polskiemu politykowi ochrony międzynarodowej w innym kraju po 1989 r.

„To nie była łatwa decyzja. Na pewno prościej byłoby robić to, co do tej pory, czyli pozwalać na bezprawie w stosunku do mnie. Sądzę jednak, że nie o to chodzi. Mamy w Polsce do czynienia z sytuacją ekstrema, a azyl, który przyznała mi Republika Węgierska, jest czerwoną kartką pokazaną reżimowi Donalda Tuska przez europejskie państwo. To jasny sygnał do wspólnoty międzynarodowej, że źle się w Polsce dzieje. Mamy państwo bezprawia” – tłumaczy „Do Rzeczy” powody swojej decyzji Marcin Romanowski.

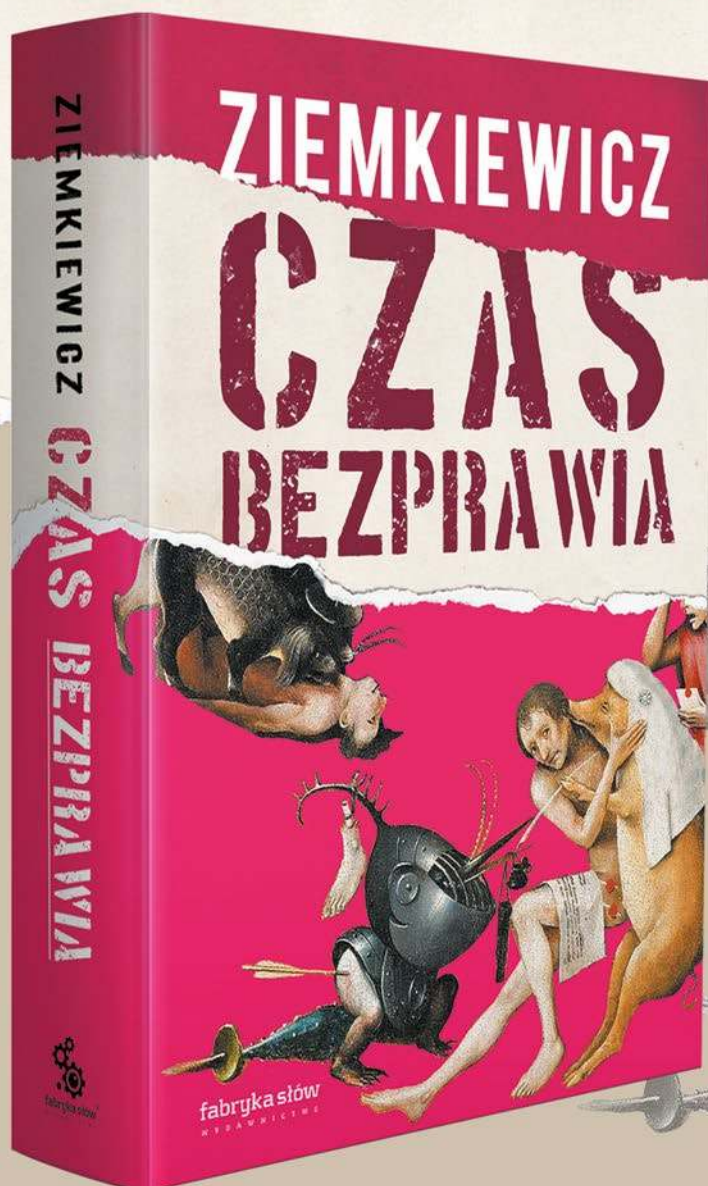
Gergely Gulyas, szef kancelarii premiera Węgier Viktora Orbána i wiceprzewodniczący Fideszu, wyjaśnił, że „istnieją konkretne dowody na brak sprawiedliwego procesu”. „Mówimy o prawie do azylu politycznego, które może zostać udzielone w przypadku, gdy w jego kraju nie została zapewniona ponad wszelką wątpliwość bezstronna ocena sprawy danej osoby, wolna od wpływów politycznych. Ryzyko to istnieje dzisiaj w ogóle, a sądząc po dotychczasowym postępowaniu, w szczególności w Polsce” – stwierdził.

W reakcji na tę decyzję Ministerstwo Spraw Zagranicznych wezwało ambasadora Węgier w Polsce, aby wręczyć mu formalny protest, ponieważ uznało to za „akt nieprzyjazny wobec Rzeczypospolitej Polskiej i sprzeczny z elementarnymi zasadami obowiązującymi państwa członkowskie Unii Europejskiej”. Radosław Sikorski wezwał też do Warszawy na konsultacje ambasadora RP na Węgrzech, Sebastiana Kęcieka. Informacja o azylu dla Marcina Romanowskiego wywołała w Polsce prawdziwą burzę i różne reakcje. Przykładowo: legendarny opozycjonista z czasów PRL Krzysztof Wyszkowski zapalił pod ambasadą Węgier w Warszawie świecę pokoju.

Jak wcześniej można było przeczytać w „Rzeczpospolitej”, prokuratura liczyła, że po aresztowaniu Marcina Romanowskiego może pójść na współpracę, a od tego będzie już prosta droga do zatrzymania Zbigniewa Ziobry. „Nie mam wątpliwości, że chodziło o uderzenie w Zbigniewa Ziobrę, który działa jak czerwona płachta na Donalda Tuska, Romana Giertycha i całą tę zgraję” – dodaje Romanowski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Gorące tematy, jeszcze gorętsze opinie.
Najnowsze felietony **RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA!**



Polska i świat oczami
ZIEMKIEWICZA.
Bez owijania w bawełnę
Satyra, ironia, polityka.
ZIEMKIEWICZ
w najlepszej formie



fabryka słów
WYDAWNICTWO

PREMIERA 27.11.2024

patronat medialny

DO
RZECZY

R
REPUBLIKA



– Nie sądzę, żeby Trybunał był podzielony, kiedy prezesem będę ja
– mówi Bogdan Święczkowski (na zdjęciu) FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER



Z Bogdanem Święczkowskim, prezesem Trybunału Konstytucyjnego rozmawia Cezary Gmyz

Trybunał Konstytucyjny będzie działał

CEZARY GMYZ: Pan prezes w przeszłości trenował judo, jest też strzelcem. Która z tych umiejętności bardziej się przyda prezesowi Trybunału Konstytucyjnego?

BOGDAN ŚWIĘCZKOWSKI: Tak naprawdę profesjonalnie trenowałem pchnięcie kulą,

czyli lekkoatletykę w wydaniu ciężkim. Uważam, że każda aktywność fizyczna pomaga w rozwoju. Zgodnie z grecką maksymą mówiącą o równowadze umysłu i ciała warto jest ćwiczyć i uprawiać sport. Myślę, że każda z tych moich aktywności

fizycznych pomogła mi w życiu i dalej będzie mi pomagać. W dalszym ciągu próbuję uprawiać już bardziej stacjonarne sporty, aby dbać o tężyznę fizyczną. Może nie widać tego po mojej posturze, ale staram się skutecznie trenować cardio.

A chodzi pan jeszcze na strzelnicę?

Od czasu do czasu zaglądam na strzelnicę, ale nie jestem dobrym strzelcem.

Objął pan stanowisko, w sumie dość gorący fotel, prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Przypomnijmy – bo o tym już dzisiaj prawie nikt nie pamięta – od czego się zaczął spór o Trybunał Konstytucyjny i jak pan wówczas, nie będąc jeszcze sędzią Trybunału Konstytucyjnego, odbierał mianowanie nadliczbowych sędziów przez obecnie rządzących.

Nie chcę wchodzić w meandry przeszłości. Trybunał Konstytucyjny na ten temat wypowiedział się w różnych swoich orzeczeniach. Dla mnie przeszłość, jeżeli chodzi o obecny skład Trybunału Konstytucyjnego, nie ma znaczenia. W chwili obecnej w Trybunale Konstytucyjnym są tylko sędziowie, którzy objęli urzędy po 2015 r. Dwóch sędziów, co do których pojawiają się różne zarzuty, objęło urzędy w latach 2017 i 2018, więc kilka lat po tzw. kryzysie konstytucyjnym. Orzecznictwo Trybunału jest jasne, ale warto też podkreślić, że w chwili obecnej w Trybunale są wyłącznie legalni sędziowie, którzy zostali wybrani na sędziów przez Sejm, następnie złożyli ślubowanie przed prezydentem. To ślubowanie jest drugim warunkiem koniecznym. Trzecim warunkiem koniecznym jest objęcie urzędu, czyli stawienie się w Trybunale, złożenie oświadczenia majątkowego i rozpoczęcie orzekania. To są trzy warunki niezbędne i konieczne, żeby ktoś został sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Czym innym jest wybór na sędziego, czym innym objęcie urzędu sędziego. W historii bywały przypadki, że osoby odbierające u prezydenta powołanie na sędziego i składające ślubowanie sędziowskie następnie nie stawały się w sądzie i nie obejmowały urzędu sędziego i ten akt powołania prezydenta stawał się bezwartościowym papierem. Każdy, kto tego nie rozumie albo udaje, że tego nie rozumie, kompromituje się jako prawnik.

Dobrze, ale mimo wszystko wspomnieliśmy, że w Trybunale jest dwóch sędziów określanych przez media jako dublerzy i obecność tych dwóch sędziów sprawia, że takie osoby jak Adam Bodnar czy Marek Safjan w wywiadach podważają legalność wyboru Bogdana Świączkowskiego na prezesa najważniejszego sądu w Polsce.

Dziwię się, dlatego że wybory na prezesa Trybunału są wyborami tajnymi, niejawnymi i nikt z sędziów nie wie, kto

na niego głosował, albo przynajmniej nie powinien wiedzieć, kto na niego głosował. Pan Bodnar jest politykiem, więc trudno mi się wypowiadać na temat jego kompetencji w tym zakresie. Natomiast jeżeli chodzi o pana Safjana, to przykro mi bardzo, że pan Safjan będąc i prezesem Trybunału, i później sędzią TSUE, opowiada takie rzeczy, które w moim przekonaniu źle świadczą o jego obecnych możliwościach percepcyjnych.

Przypomnijmy, że Marek Safjan jest też poniekąd nadliczbowym sędzią, ponieważ spędził w TSUE znacznie więcej czasu, niż wynikałoby to z jego kadencji, ponieważ za czasów PiS blokowano wybór nowego sędziego.

Ja jestem człowiekiem dobrze wychowanym i nie będę komentował działań i osobowości pana Safjana, a także wskazane by było, żeby on nie komentował i nie odnosił się do działania obecnego prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Warto być dobrym człowiekiem i warto pamiętać o tym, jaką się rolę w danym momencie odgrywa. Pan Safjan musi zapomnieć, że był prezesem. A teraz niech wypoczywa.

Po objęciu funkcji prezesa Trybunału Konstytucyjnego wysłał pan gołąbka pokoju z gałązką oliwną w dziobku w stronę rządzących. Czy gołąbek już wrócił?

Pisma dopiero co zostały wysłane. Proszę pamiętać, że jestem prezesem tak naprawdę siódmy dzień, więc uważam te działania za bardzo szybkie i sprawne. Liczę na to, że wiele osób pełniących funkcje publiczne zapomni o swoich politycznych konotacjach i będzie chciało rozmawiać. A co przyniesie przyszłość? Trzeba myśleć kilka kroków naprzód, zobaczymy. Nie chcę w tej chwili przesądzać. Są już jakieś publiczne wypowiedzi, ale nie proponuję publicznych rozmów, tylko próbuję doprowadzić do tego, żebyśmy rozmawiali ze sobą w warunkach pewnej dyskrecji, bo wtedy można próbować osiągnąć jakieś porozumienie.

Media często piszą, że sam Trybunał wewnętrznie nie jest podzielony.

Ja nie dostrzegałem nigdy podzielonego Trybunału. Oczywiście część sędziów miała różne poglądy, np. na kadencję pani prezes Julii Przyłębskiej. Ja byłem w tej grupie, która uznawała, że jej kadencja jako prezesa była sześćioletnia i później

zajmowała się sprawami Trybunału jako osoba kierująca pracami. To jednak nie znaczy, że Trybunał był podzielony. Sędziowie przecież wspólnie orzekali, wydawali wyroki i postanowienia – w tym roku już ponad 100. Nie sądzę, żeby Trybunał był podzielony, kiedy prezesem będę ja. Oczywiście wiadomo, że nie pojawiło się trzech nowych sędziów, którzy powinni być już wybrani, powinni objąć urzędy sędziowskie i zacząć orzekać wspólnie z pozostałymi 12 sędziami. Mam nadzieję, że to się stanie w niedługim czasie. Tym właśnie wyróżnia się Trybunał Konstytucyjny, że sędziowie mają różną wrażliwość prawną, różne poglądy na rzeczywistość. Część sędziów ma poglądy konserwatywne, część ma poglądy liberalne. To jest dobro Trybunału, że ścierają się stanowiska sędziów o różnych poglądach. Wypracowywany jest też pewien kompromis. Nie mogę mówić o tajemnicy narad sędziowskich, ale to często są długie i ciekawe dyskusje dotyczące wypracowania wspólnego stanowiska, które później przekłada się na wyrok Trybunału Konstytucyjnego czy np. na postanowienie o umorzeniu postępowania. Orzeczenia nie są podejmowane jednoosobowo, szybko i sprawnie. To jest proces, który trwa. A z uwagi na to, że Trybunał podejmuje decyzje dotyczące tysięcy, milionów Polaków w wielu sytuacjach, musi być to przemyślane pod różnymi względami. Nie tylko pod względem takiej literalnej zgodności z prawem, lecz także pod względem różnego rodzaju innych funkcji prawa.

Dobrze. W takim razie to, że te orzeczenia nie są publikowane, w jaki sposób wpływa na życie normalnego obywatela?

Wobec wprowadzonego w Polsce w ostatnim czasie chaosu prawnego to od konkretnego sądu orzekającego w indywidualnej sprawie zależy, czy dane orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego będzie wykonywane i zwykły obywatel na tym skorzysta. To jest np. kwestia jednego z tych orzeczeń dotyczących dodatkowych świadczeń z tytułu emerytury. Niestety, to orzeczenie nie zostało opublikowane w „Dzienniku Ustaw”. W związku z tym to konkretny sędzia w konkretnym sądzie, konkretny urzędnik w konkretnym urzędzie będzie decydował, czy to orzeczenie Trybunału, jego zdaniem, jest obowiązujące czy nie jest obowiązujące.

■ To jest kolejny element chaosu prawnego, który w moim przekonaniu pogłębia się z tygodnia na tydzień.

Jak zamierza pan sobie z tym poradzić? Mamy do czynienia z taktyką znaną z filmów Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza. I co pan nam zrobi?”

Problem polega na tym, że prezes Trybunału Konstytucyjnego działa w systemie władzy publicznej, w której obowiązuje odrębność władz publicznych – władzy sądowniczej, wykonawczej i ustawodawczej. Oczywiście jest też zasada współpracy tych władz, ale mimo wszystko prezes Trybunału może podejmować tylko decyzje zgodne z konstytucją i obowiązującym systemem prawnym. Dlatego też wystąpiłem z inicjatywą podjęcia próby osiągnięcia kompromisu. Jeżeli ta inicjatywa nie przyniesie rezultatu, to będę podejmował inne dopuszczalne prawem działania, żeby tę sytuację zmienić. Proszę mi wybaczyć, ale nie będę wcześniej ujawniał swoich planów i zdradzał, jakie to będą działania. Wiem, że wielu by chciało się dowiedzieć, myślę, że nie tylko czytelnicy „Do Rzeczy”, lecz także osoby pełniące funkcje publiczne, natomiast zakładam, że to będzie pewien cykl działań, jeżeli ten kompromis nie zostanie osiągnięty.

A ma pan nadzieję, że kompromis zostanie osiągnięty, skoro kwestionowano pańskie powołanie na prezesa, jeszcze zanim wysłał pan listy?

To nie jest kwestia nadziei, tylko propaństwowego podejścia do rzeczywistości. Wyrażam oczekiwanie, że wszystkie osoby pełniące funkcje publiczne chcą, żeby to państwo było demokratyczne, było państwem prawa, a normy konstytucyjne były przestrzegane. Jest to zatem proces rozsądnego myślenia i każda osoba pełniąca funkcję publiczną powinna wiedzieć, że pewnych granic się nie przekracza, gdyż rodzi to później konsekwencje. Wyrażam oczekiwanie, że to nigdy nie przekroczy poziomu skrajnego, bo może wtedy dojść do naprawdy bardzo nieprzyjemnych sytuacji w Rzeczypospolitej. Nie chciałbym nigdy, żeby to miało miejsce.

Jednak duża część obozu politycznego prawicy mówi o czymś, co chyba i pan, i ja widzimy gołym okiem. To znaczy w Polsce mamy do czynienia z destrukcją systemu wymiaru sprawiedliwości, a Trybunał Konstytucyjny w tym systemie wymiaru sprawiedliwości odgrywa bardzo ważną rolę.

Wyrażam wiarę, że Polska będzie demokratycznym państwem prawa, więc każda osoba naruszająca normy prawne w konsekwencji wcześniej czy później powinna ponieść odpowiedzialność

Nie mnie oceniać sytuację polityczną w naszym kraju i poglądy zwolenników polskiej prawicy, polskiej lewicy czy polskiego centrum. Trybunał Konstytucyjny wypowiada swoją opinię w orzeczeniach. Na niektóre tematy już się wypowiedział, na niektóre tematy się wypowie. Warto przypomnieć, że Trybunał Konstytucyjny już bardzo jasno wypowiedział się w swoich orzeczeniach, że obecna Krajowa Rada Sądownictwa jest legalnie wybraną Krajową Radą Sądownictwa, a wszystkie powołania prezydenta na podstawie wniosku Krajowej Rady Sądownictwa są całkowicie zgodne z konstytucją i przepisami prawa. Z orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego w sprawie skargi konstytucyjnej Dariusza Barskiego wynika pośrednio, że dalej pełni on funkcję prokuratora krajowego. Nie chcemy jako Trybunał wypowiadać się na tematy polityczne. Moim zdaniem nawet nie mamy do tego prawa, żeby takie poglądy polityczne wypowiadać. Do kognicji Trybunału Konstytucyjnego należy m.in. badanie zgodności norm prawnych z konstytucją. A to, że przy okazji ogłoszenia orzeczeń pojawiają się różne inne kwestie, które mogą być oceniane pod kątem politycznym, to już jest rzecz wtórna.

Muszę jednak zapytać pana o ocenę – nie ocenę polityczną, ale ocenę prawnika – tego, co się stało po 13 grudnia ubiegłego roku w Polsce, bo jednak odnoszę wrażenie, że gdyby rządy Zjednoczonej Prawicy zrobiły choć 10 proc. tego, co zrobiły rządy Platformy Obywatelskiej i jej koalicjantów, to wszelkie organy i trybunały unijne, które teraz milczą, podniosłyby krzyk.

13 grudnia zmienił się w Polsce rząd i za to, co dzieje się w Rzeczypospolitej, ponoszą odpowiedzialność prezes Rady Ministrów i Rada Ministrów oraz

większość parlamentarna. Za swoje działania, które pewnie w przyszłości będą oceniane, ponoszą lub nie ponoszą konsekwencji prawnych. Natomiast ja politycznie nie będę się wypowiadał na ten temat. Myślę, że każdy polityk, każdy działacz publiczny powinien pamiętać, że władze się zmieniają, kadencje się kończą. Później na pewno będzie próba ustalenia, czy doszło do popełnienia przestępstw przeciwko wymiarowi sprawiedliwości, przeciwko Rzeczypospolitej, podejmowania prób zamachów na konstytucyjne organy państwa. To są już bardzo poważne przestępstwa zakrawające na zdradę stanu. Ale mam nadzieję, wyrażam tę wiarę, że Polska będzie demokratycznym państwem prawa, więc każda osoba naruszająca normy prawne w konsekwencji wcześniej czy później tę odpowiedzialność powinna ponieść.

Jak pan odbiera projekt nowego budżetu pozbawiający was wynagrodzeń od nowego roku? Jako zamach na konstytucyjny organ państwa?

Trybunał Konstytucyjny z tymi pieniędzmi lub bez tych pieniędzy będzie funkcjonował w sposób prawidłowy i będzie podejmował orzeczenia, które będą utrwały w Polsce demokratyczne państwo prawa. Na pewno nie przestaniemy działać.

Jak w takim razie będziecie działać?

Szachista nie ujawnia zaplanowanych ruchów. Proszę pamiętać, że wynagrodzenia sędziów Trybunału Konstytucyjnego unormowane są w konstytucji, a ich wysokość wskazuje ustawa. Oczywiście ustawodawca może dokonywać różnego rodzaju zmian, zmieniając ustawę. Proszę jednak pamiętać, że ustawodawca, czyli Sejm i Senat, uchwalił nowe ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, które będą zresztą podlegały ocenie Trybunału Konstytucyjnego, ale jednej kwestii nie zmienił. Nie zmienił w żadnym zakresie wysokości i sposobu obliczania wynagrodzeń sędziów Trybunału Konstytucyjnego, więc sam ustawodawca uznaje, że te wynagrodzenia są prawidłowo skonstruowane i powinny być wypłacane. Jest to jednak kwestia wtórna, nie najważniejsza. Trybunał musi w sposób prawidłowy funkcjonować i tak się będzie działać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Adam Hlebowicz

Jak wytłumaczyć bierność kolejnych polskich rządów wobec Polaków ze Wschodu?

Szef MSZ Radosław Sikorski zapowiedział, że do końca roku resort zaprezentuje rządowy program współpracy z Polakami za granicą. Mają być zmiany dotyczące organizacji i finansowania wsparcia dla Polonii oraz zachęty do powrotu rodaków do kraju, studiów w Polsce i podejmowania tu pracy. Ponadto Sikorski zapowiedział zmiany dotyczące przepisów o repatriacji i w Ustawie o Karcie Polaka. Obecnie państwo polskie corocznie przeznaczają na cele polonijne kwotę bliską 600 mln zł. Środki te są rozproszone pomiędzy różne resorty i polityki sektorowe państwa. Kwota jest spora, ale efektywność działań pozostawia wiele do życzenia.

Mimo szumnych deklaracji polityków wszystkich opcji wsparcie dla naszych rodaków mieszkających za wschodnią granicą Polski od lat właściwie się nie zmienia. To znaczy, deklaracje są, a efekty tych działań okazują się więcej niż mizerne. Co ciekawe, kiedy przyjrzymy się polityce polskiej od chwili odzyskania niepodległości w 1918 r. do dziś, to w tym zakresie, bez względu na to, czy rządili piłsudczycy, endecy, powojenni komuniści, przedstawiciele Solidarności, postkomuniści, liberałowie bądź konserwatyści, jest ona zaskakująco konsekwentna. W największym skrócie polega na tym, że brak w niej działań długofalowych, obowiązują cele krótkoterminowe, podporządkowane polityce wewnętrznej, skupiające się dodatkowo głównie na PR, a nie konkretach. Polacy na Wschodzie nie są podmiotem, a jedynie przedmiotem tej polityki.

W MIĘDZYWOJNIU

Traktat podpisany 18 marca 1921 r. w Rydze pomiędzy, co ciekawe, trzema stronami: sowiecką Rosją, sowiecką Ukrainą i odrodzoną Rzeczpospolitą, zapewniał mniejszości polskiej mieszkającej na terenie kraju bolszewickiego,

zgodnie z artykułem VII dokumentu, swobodny rozwój kultury i języka oraz wolność praktyk religijnych. Był to jednak tylko pusty paragraf, z którego w praktyce niewiele wynikało. Ważniejszy był artykuł VI traktatu, gdzie zapisano, że ogromna większość polskiej ludności nie ma prawa do repatriacji. Prawo do niej miały tylko osoby z terenów zaboru rosyjskiego, które weszły w skład II RP. Inni musieli wykazać się więzami rodzinnymi z uczestnikami walk o niepodległość Polski z lat 1830–1865, co było sprawą czysto uznaniową. Automatycznie zatem Nadberezynicy, Mińszczanie, mieszkańcy wschodniego Wołynia i Podola – nie wspominając o rzeszy Polaków z Petersburga, Kijowa, Odessy

ogólnego bilansu strat trzeba dodać ofiary przymusowej kolektywizacji wsi, wysiedleń z pasa przygranicznego z Polską oraz wielkiego głodu na Ukrainie z lat 1932–1933. Jak pisał Florian Czarnyszewicz: „Nie ma już, braciszku, ni naszych zaścianków, ni wieczorynek, ni festów, ni całego dawniejszego życia. Grusze w polu wycięli, miedze zaorali, krzyże i kapliczki przydrożne spalili, a święta doroczne skasowali”.

Rozczarowania nie krył też inny pisarz, Sergiusz Piasecki: „Właściwie nie miałem dokąd jechać, bo rodzina moja została za granicą, po stronie sowieckiej. Pokój zawarty z bolszewikami był początkiem mojej klęski. Przez cały czas służby w wojsku miałem nadzieję, że zaj-

Poświecić Polaków

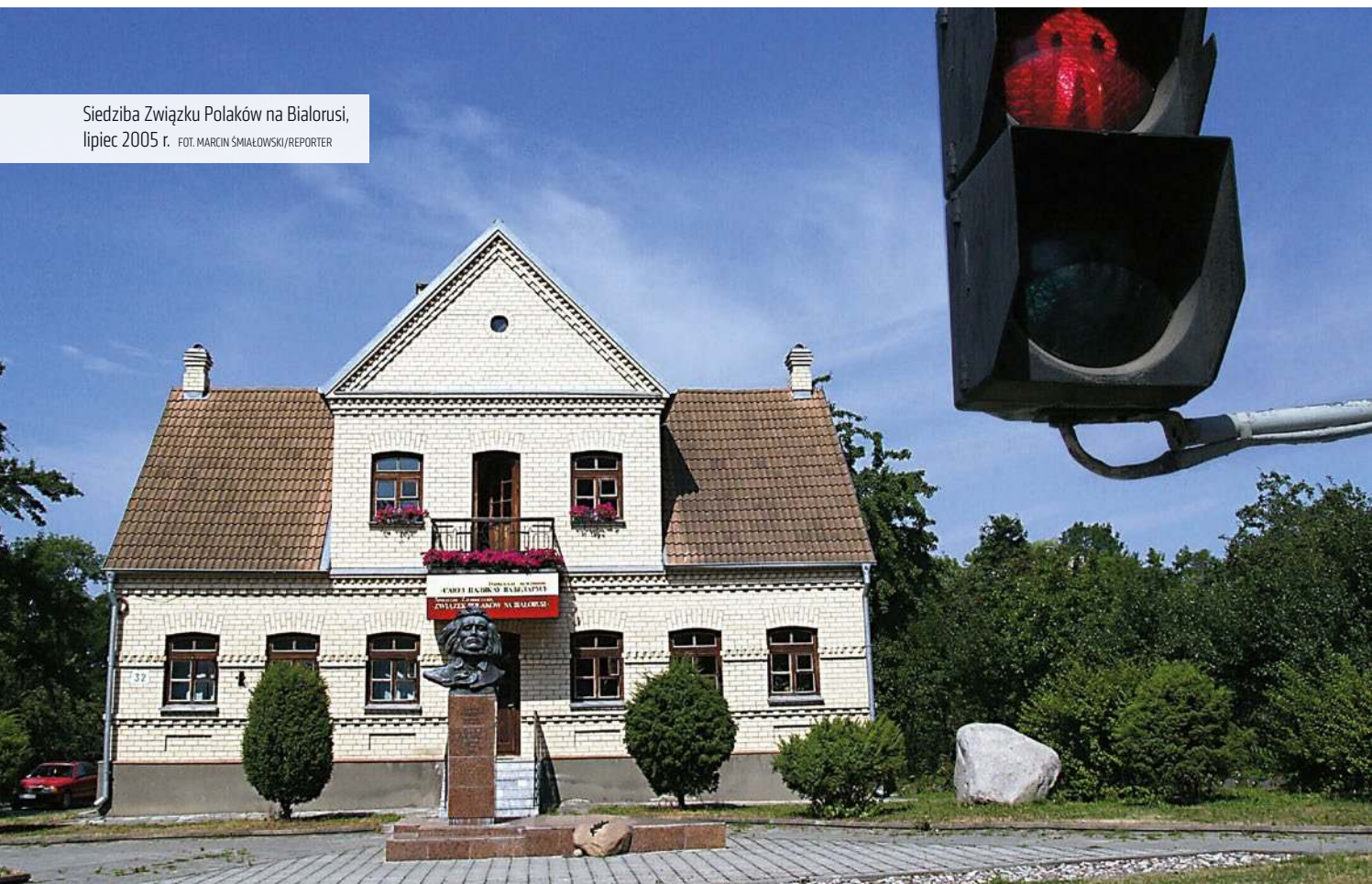
– musieli pozostać w granicach państwa bolszewików. Mogę sobie wyobrazić, co by się stało z moją rodziną, gdyby nie jej szczęśliwa repatriacja z Syberii w 1921 r.

Ludność polska, która pozostała w granicach ZSRS – szacowana na 1–1,5 mln osób – od początku rządów bolszewickich była poddawana represjom. Zrazu pozbawiono ich własności prywatnej, potem wolności osobistej. Po masowych deportacjach Polaków z Białorusi i głównie z Ukrainy sowieckiej do Kazachstanu na początku lat 30. na mocy rozkazu nr 00485 z 11 sierpnia 1937 r. rozpoczęła się operacja antypolska NKWD. Podczas jej trwania aresztowano – według danych Stowarzyszenia Memoriał – ponad 143 tys. ludzi, osądzono prawie 140 tys. z nich, w tym na śmierć skazano ponad 111 tys. Należy pamiętać, że są to liczby minimalne. Do

miemy znów Mińszczyznę; bo przecież na nas czekają tam setki tysięcy Polaków. Była nawet ku temu dobra sposobność, lecz nie wykorzystano jej. Czuję, że jestem oszukany. Miałem żal do tych, którym pomogłem wywalczyć niepodległość ich stron rodzinnych, lecz którzy nam – żołnierzom ochotnikom – w tym samym nie dopomogli”.

Co wiedziały i co robiły w przeciągu dwudziestolecia międzywojennego dla naszych rodaków władze niepodległej Polski? Pochodząca z 1936 r., a opracowana przez polskie MSZ „Instrukcja prawno-konsularna dla urzędów konsularnych RP w ZSRS” określała Polaków jako „element bezrobotny i zdemoralizowany warunkami życia w państwie wojującego komunizmu”. I dalej – „przyjazd na stałe do Polski obywateli sowieckich, nawet narodowości polskiej, jest niepożądany”. ■

Siedziba Związku Polaków na Białorusi,
lipiec 2005 r. FOT. MARCIN ŚMIAŁOWSKI/REPORTER



■ Działo się to po masowych deportacjach Polaków na Wschód i w ich czasie oraz niedługo przed rozpoczęciem wielkiego terroru. Zdarzały się wyjątki, jak działalność dyplomaty Jana Karszo-Siedlewskiego (pracował w Sowietach w latach 1931–1937), który podejmował interwencje u swoich zwierzchników w Warszawie, a także próbował prowadzić rozmowy z władzami sowieckimi odnośnie do losu rodaków w ZSRS. „Polacy, którzy żyli w Sowietach w latach 30., a więc w czasie, gdy byli prześladowani na masową skalę, byli przekonani, że państwo polskie o nich zapomniało, nie interesowało się nimi, a ich los nikogo nie obchodził” – stwierdził znawca tej tematyki, sowietolog dr hab. Robert Kuśnierz.

W OKRESIE PRL

Poza dwoma falami ekspatriacji w latach 1944–1948 i 1955–1958, w wyniku których wyjechało do Polski ok. 1,8 mln ludzi, władze PRL nie prowadziły żadnej aktywnej polityki wobec

rodaków zamieszkujących na Wschodzie. Po przeprowadzeniu akcji przesiedleńczej polskie władze komunistyczne uznały, że za wschodnią granicą nie ma już Polaków. Nasi rodacy byli więc pozostawieni sami sobie: sowietyzowani, ograniczani i odcinani od źródeł polskich tradycji, oświaty i Kościoła katolickiego. Zgodnie z postanowieniami ustawy z 8 stycznia 1951 r. Polacy z ZSRS tracili prawo do posiadane-go przed wojną obywatelstwa polskiego. Jako obywatele innego państwa dla władz Polski Ludowej nie istnieli. Potwierdza to raport ambasady polskiej w Moskwie z 1949 r., w którym napisano m.in.: „Wydział Konsularny Ambasady Polskiej w Moskwie wyjaśnia, że w ZSRS nie ma Polonii w tym rozumieniu, jak to istnieje w innych państwach, i w konsekwencji tutejsza placówka nie może rozwijać działalności na odcinku polonijnym ani prowadzić sprawozdawczości o potrzebach Polonii w ZSRS”. Jedyną formą kontaktów z Polską dla naszych rodaków ze Wschodu, zwłaszcza po 1956 r., były

relacje rodzinne, wzajemne odwiedziny, prowadzona korespondencja, notabene ściśle kontrolowana przez służby specjalne po obu stronach granicy.

Jeśli w prasie, co było bardzo rzadkie, pojawiały się jakieś wzmianki o Polakach ze Wschodu, to wówczas nazywano ich „obywatelami radzieckimi polskiego pochodzenia”. Dopiero rodząca się opozycja wobec systemu komunistycznego głośno upomniwała się o prawa Polaków w ZSRS. W 1974 r. 15 intelektualistów, wśród nich Zbigniew Herbert i Antoni Słonimski, skierowało do ówczesnego komunistycznego ministra kultury list. „Pragniemy, aby nasi rodacy ze Związku Radzieckiego mieli możliwość nieskrępowanego wypowiadania się na temat swoich potrzeb, zwłaszcza w dziedzinie kultury, oświaty i religii. Niech zostanie im udzielona we wszystkich tych dziedzinach niezbędna i zorganizowana opieka” – czytamy w tym dokumencie.

Dopiero w 1988 r., u schyłku PRL, reżimowe, działające w ścisłej współpra-

cy ze Służbą Bezpieczeństwa Towarzystwo „Polonia” po raz pierwszy otwarcie napisało o potrzebach naszych rodaków za wschodnią granicą. Dodać należy, że znaczna część kresowych expatriantów, np. żołnierze tamtejszych okręgów AK, była inwigilowana przez struktury MSW do 1989 r.

W III RP

Po odzyskaniu niepodległości w 1989 r. wydawało się, że jednym z priorytetów polityki zagranicznej odrodzonej Rzeczypospolitej będzie problematyka rodaków ze Wschodu. W istocie w latach 1992–1994 podpisano traktaty międzynarodowe z niepodległymi państwami, powstałymi po upadku ZSRS. Zawarto je z Ukrainą, Federacją Rosyjską, Republiką Białoruś i Republiką Litewską. Wszystkie zawierały fragment dotyczący praw mniejszości narodowych. Najważniejszym kierunkiem wsparcia Polaków za linią Bugu i Sanu były inicjatywy dotyczące oświaty. To zrozumiałe, bez znajomości języka i kultury polskiej żadna z tych mniejszości nie miała szans na dłuższe przetrwanie. W pierwszych latach odrodzonej Polski, gdy prezesem Stowarzyszenia Wspólnota Polska był Andrzej Stelmachowski, uczyniono w tym zakresie najwięcej. Największym sukcesem do dziś było wybudowanie Domu Kultury Polskiej w Wilnie. Na drugim biegunie pozostaje analogiczny Dom Polski we Lwowie, którego budowa od kilkunastu lat nie jest ukończona. Kolejne rządy III RP deklarowały wolę partnerstwa i podmiotowości wobec rodaków na Wschodzie, nie wykazując przy tym zazwyczaj orientacji w rzeczywistych potrzebach i oczekiwaniach ludzi tam żyjących.

W połowie lat 90. na czoło spraw związanych z Polakami ze Wschodu wysunęła się sprawa repatriacji. O ile w stosunku do rodaków Mickiewicza zamieszkujących dawne tereny Rzeczypospolitej polityka powinna polegać na umacnianiu ich tożsamości w miejscu zamieszkania, o tyle repatriacja powinna odnosić się do Rosji, Kaukazu i krajów Azji Środkowej. Tymczasem rozpatrywano ją jedynie w odniesieniu do rodaków mieszkających w Kazachstanie, pomijając pozostałych. Pierwszym krokiem w stronę rozpoczęcia repatriacji było postanowienie Rady



Tak według sowieckiej propagandy wyglądali Polacy deportowani do Kazachstanu. _FOT.IP.N

Ministrów z 14 maja 1996 r. Przyjęto w nim założenie o przyjmowaniu rocznie 100 polskich rodzin z Kazachstanu, przy czym rolę głównego wykonawcy wyznaczono społecznościom lokalnym. Do 2017 r. powróciło do Polski ok. 7 tys. Polaków, obecnie jest to niecałe 10 tys. Dla porównania: prowadzone przez Niemców repatriacje objęły aż 20 tys. Polaków, którzy stwierdzili, że jedynym sposobem wyjazdu do Europy jest pomoc państwa niemieckiego. Analogicznie szacowana na kilkadziesiąt tysięcy naszych rodaków grupa z krajów Azji Środkowej znalazła się w putinowskiej Rosji. A zatem w zestawieniu z tymi dwoma krajami Polska uczyniła najmniejszy wysiłek w kierunku odzyskania swoich rodaków.

Ważnym przełomem w polityce wobec Polaków ze Wschodu miała być Karta Polaka. Prace nad tym dokumentem trwały kilka lat. Ostatecznie ustawa o KP została uchwalona w 2007 r., w 2016 r. była znówelizowana. Jest to dokument potwierdzający przynależność do narodu polskiego, który może być przyznany osobie nieposiadającej obywatelstwa polskiego albo zezwolenia na osiedlenie się na terytorium RP. W latach 2008–2021 o Kartę Polaka ubiegało się 350 tys. osób. Z tej liczby 87 proc. wniosków złożono na Białorusi (162 tys.) oraz Ukrainie (147 tys.). W 2024 r. legitymowało się nią 206 tys. osób. Według badań przeprowadzonych w 2015 r. pod kierunkiem prof. Mariusza Kowalskiego wśród posiadaczy Karty ponad 10 proc.

oficjalnie deklarowało inną narodowość niż polska. Sam autor badań zaznaczał, że takich osób jest prawdopodobnie znacznie więcej. W niektórych okręgach konsularnych liczba osób wykazujących niepolską narodowość, niezwiązanie z Kościołem rzymskokatolickim oraz brak polskich przodków sięgał połowy ankietowanych. Według dr. hab. Roberta Wyszynskiego, znawcy tej problematyki, Karta Polaka nie posiada w zasadzie żadnych rozwiązań umacniających na dawnych Kresach Wschodnich polskość – kulturowo czy edukacyjnie.

Karta Polaka daje nieporównanie mniejsze uprawnienia niż analogiczna Karta Węgra. Nade wszystko węgierskie środki publiczne są kierowane do krajów ościennych, gdzie żyje ponaddwumilionowa mniejszość tego narodu, po to, żeby na miejscu budować i podtrzymywać ich narodową tożsamość. Partnerem do rozmów w tych krajach jest jedna organizacja – Światowa Federacja Węgrów (MVSZ), która w ten sposób może skutecznie wpływać na politykę poszczególnych państw.

Jak wytłumaczyć bierność kolejnych polskich rządów wobec Polaków ze Wschodu? I to w obliczu coraz poważniejszej zapaści demograficznej, ze ściąganiem z zagranicy rosnącej liczby obcokrajowców jako siły pracowniczej? W skłóconej i dramatycznie podzielonej polskiej polityce ta jedna bulwersująca sprawa łączy zwaśnione strony.

(Nie)Superniania



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyska

Czy dziecko ma prawo do prywatności? Choć dziś większość, także w mainstreamie, twierdzi, że tak, to jeszcze nieco ponad dekadę temu stacja TVN emitowała kontrowersyjny program z udziałem dzieci. Po latach jedna z uczestniczek opowiedziała, jaki wpływ na jej życie miał udział w „Superniani”

Już za chwilę »superniania« kontra słynne urwisy z Działoszyna. Dwaj chłopcy wpędzają mamę w czarną rozpacz. Czy »superniania« po- wstrzyma koszmar z Działoszyna?; „Jeden, drugi i trzeci krzykacz. Czy będzie potrzebna pomoc egzorcysty?” – takimi komentarzami lektora opatrzone był show „Superniania”, emitowany przez TVN w latach 2006–2008. Format zaczerpnięto z Wielkiej Brytanii, gdzie w rolę wychowawczyni niegrzecznych dzieci wcielała się Jo Frost. W polskiej wersji zadanie powierzono Dorocie Zawadzkiej. Sześćdziesięciodwuletnia dziś Zawadzka jest psychologiem rozwojowym z dyplomem psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Wykładała zarówno na UW, jak i w Wyższej Szkole Psychologii Społecznej. Angażowała się w liczne projekty walczące z przemocą wobec dzieci, także w kontekście kar cielesnych. Karierę w telewizji zaczęła od TVP, gdzie pojawiła się jako ekspert w programie „Akademia IQ”, promującym zdolne dzieci. Prawdziwą rozpoznawalność przyniósł jej jednak udział w show stacji z Wiertniczej.

Schemat był prosty – Zawadzka jako „superniania” przyjeżdżała na wezwanie zrozpaczonych rodziców, którzy nie dawali sobie rady z własnym dzieckiem (lub dziećmi). Widzowie oglądali maluchy w przeróżnych, trudnych sytuacjach – płaczące i zasmarkane, wyzywające swoje mamy, kopiące w bezsilności czy rzucające – ich zdaniem niesmacznym – obiadem na podłogę. Pierwsza część programu polegała na obserwacji. Zawadzka spędzała z ro-

dziną pewien czas, aby poznać jej sytuację. W części drugiej „niania” wdrażała własne metody wychowawcze. Najbardziej znaną było wysłanie niegrzecznego kilkulatka na tzw. karnego języka, czyli w odosobnione miejsce, w którym dziecko miało się uspokoić i zastanowić nad zachowaniem. Psycholog promowała też system nagród i kar. I tak np. zalecała zbieranie koralików za dobre zachowanie – jeśli maluch zebrał całą szklankę, to dostawał nagrodę. Były „punkty ujemne” za niesubordynację. Następnie rodzice mieli za zadanie utrzymać nowe zasady, po czym Zawadzka wracała do rodziny sprawdzić, jak się jej wiedzie. Według wizji przedstawianej przez TVN niemal zawsze, mimo niewielkich trudności, misja kończyła się sukcesem „superniani”.

PO „SUPERNIANI” – PSYCHIATRA

Jednak okazuje się, że rzeczywistość jest inna. Bohaterką jednego z odcinków była Róża, w czasie nagrań dwuipółletnia dziewczynka. Przedstawiono ją jako dziecko „terroryzujące” rodziców krzykiem. Po latach udzieliła wywiadu, w którym przedstawiła swoją perspektywę. – Program sprawił, że moje dzieciństwo było ciężkie. Bycie przedstawionym jako największy wróg rodziny na pewno nie jest czymś, z czym chciałabym zacząć dzieciństwo – wspomina dziewczyna. Róża przyznaje, że było to dla niej doświadczenie na tyle traumatyczne, że miała później myśli samobójcze. – Powiedziałam to mojemu tacie. Nie panikował, wiedział, co powiedzieć. Rodzice zapewni-

li mi dobrą opiekę psychiatryczną, z której korzystam do tej pory [...]. Na pewno pomogła mi rozmowa z ludźmi, którzy też byli prześladowani. Otrzymałam odpowiednią pomoc. Byli ludzie, którzy motywowali mnie do ruchu i pracy nad sobą” – wspomina w rozmowie na kanale „Nie wiem, ale się dowiem”.

Róża mieszkała w niewielkiej miejscowości, więc udział jej rodziny w popularnym show szybko stał się tematem rozmów. Jak opowiada, z powodu przedstawienia jej w programie jako „dziecka potwora” zdarzali się rodzice, którzy izolowali od niej swoje dzieci. Przekonuje, że już jako dorosła osoba, z powodu tamtych wydarzeń, nadmiernie przejmując się opinią innych. Co o udziale w show sądzą dziś rodzice Róży? – Tata twierdzi, że „superniania” w jakiś sposób mu pomogła, a przez to, że była psychologiem, zrozumiał, że korzystanie z pomocy psychologów czy psychiatrów jest ważne. Jednakże moja mama źle wspomina nagrywki, bo była w żałobie po śmierci taty, co było widać w programie [...]. Moja mama też została przez to poszkodowana psychicznie – przyznała.

Konflikt rodziców wokół uczestnictwa w „Superniani” miał być też jednym z powodów ich późniejszego rozvodu. Matka Róży chciała wycofać się z występu, ale nie stać jej było na zerwanie umowy z produkcją. Rodzice dziewczynki mieli otrzymać za udział w programie ok. 5 tys. zł. Dziewczyna ma żal o to, że pokazano ją – przypomnijmy: dwuipółletnie dziecko – „od najgorszej strony”. – Montaż



Dorota Zawadzka zdobyła popularność za sprawą programu „Superniania”, emitowanego przez TVN w latach 2006–2008

FOT. TOMASZ JASTRZEBOWSKI/REPORTER

na pewno był przedstawiony tak, by rozkręcać całą sytuację, a później ją powoli wyciszać – przekonuje.

POSKROMIĆ I ŁAMAĆ DZIECKO

Wywiad udzielony przez byłą podopieczną Doroty Zawadzkiej odbił się szerokim echem. Wielu internautów przyznaje, że dziś taki show po prostu nie zostałby wyemitowany, ponieważ znacząco wzrosła świadomość dotycząca prawa nawet kilkulatka do prywatności – szczególnie jeśli trudne dla niego sceny mają być już na zawsze dostępne w Internecie. Co na to sama psycholog? „Róża wyrosła na świetną młodą kobietę. Przykro mi słyszeć i trudne to dla mnie, że po programie zmagiała się z takimi trudnościami, których wtedy nikt nie mógł przewidzieć. Bo świat był inny” – odpowiedziała w mediach społecznościowych.

Jeszcze zanim Róża opowiedziała swoją historię, tematem toksyczności „Superniani” zajęła się Anna Golus w wydanej przez Krytykę Polityczną książce „Superniania kontra trzyletni Antoś. Jak telewizja uczy wychowywać dzieci”. Inicjatorka kampanii „Kocham. Nie daję klapsów” twierdzi, że Zawadzka stosowała wobec oddanych jej pod opiekę dzieci przemoc. – To prawda, że zarówno polska, jak i oryginalna „superniania” sprzeciwiała się biciu dzieci. Ale co z tego, skoro zastępowały je innymi rodzajami przemocy i krzywdzenia? „Karny język” – jak klaps – to eufemizm, który ma maskować przemoc. Teoretycznie ta kara ma trwać zaledwie kilka minut, ale w praktyce trwa-

ła niekiedy całymi godzinami – przekonywała. Golus jako przykład przywołała jedną ze scen show TVN. Kilkuletnia Wiktorcia siedziała nago w wannie i bardzo płakała. W tym czasie jej mama, Dorota Zawadzka oraz operator kamery stali nad nią w ciszy. – Według twórców programu ta scena – ewidentnie przez nich sprowokowana – miała być przykładem innej promowanej w tym programie metody wychowawczej, tzw. ignorowania hysterii. W praktyce to po prostu ignorowanie dziecka, forma przemocy psychicznej i zaniedbania emocjonalnego, która krzywdzi tak samo jak bicie – stwierdziła publicystka.

– Ten program – jak twierdzili twórcy, w tym odtwórczyni tytułowej roli – miał zmieniać wzory kulturowe (np. zwalczać przemoc wobec dzieci), ale w praktyce odzwierciedlał je i utrwał. Dziecko znajduje się w tej hierarchicznej strukturze najniżej, trzeba je poskromić, złamać. Chęć wyrażenia przez dziecko własnego zdania bywa interpretowana przez dorosłych jako bunt, histeria, w przypadku starszych dzieci jest nawet medykalizowana, określana np. jako ADHD albo nawet zaburzenia opozycyjno-buntownicze – dodała Anna Golus.

Zdarzali się rodzice, którzy izolowali od Róży swoje dzieci z powodu przedstawienia jej w programie jako „dziecka potwora”

Autorka zwróciła też uwagę, że telewizyjny show, nastawiony na oglądalność, nie jest dobrym źródłem wiedzy o wychowaniu. – Ludzie traktują ekspertkę telewizyjną jak autorytet. Żyjemy też w kulturze celebryckiej, więc samo to, że ktoś jest z telewizora... Przyjeżdża drogim samochodem i ogląda rodzinę na markowym laptopie [...]. To jej daje władzę, której rodzice, nawet cierpiąc, się podporządkowują. Bo tak działa władza – jak „superniania” – powiedziała. Golus potwierdziła słowa Róży o trudności wycofania się z programu: – Były takie odcinki, z udziału w których dorośli chcieli zrezygnować, ale nie mogli przerwać nagrań. Chcieli to zrobić np. rodzice Wiktorii, ale nie mieli

pieniędzy na karę umowną. Bo ci ludzie podpisywali klauzulę poufności, nie wolno im mówić o tych programach ani się z nich wycofać.

ZAGUBIONA EMPATIA

Po zakończeniu emisji Zawadzka stała się na chwilę pełnoprawną celebrytką. Wystąpiła nawet w 12. edycji „Tańca z gwiazdami”, a także relacjonowała (i nadal to robi) w mediach społecznościowych swoje odchudzanie. W 2016 r. znowu zrobiło się wokół niej głośno. To za sprawą pełnej pogardy wypowiedzi dotyczącej rodzin, które dzięki środkom z programu „500+” mogły przyjechać po raz pierwszy nad morze. „Największy tegoroczny szok? Matka jak gdyby nigdy nic myjąca w morzu ubrudzone fekaliami dziecko” – pisała w „Newsweeku” Zawadzka. Osoba, która powinna przecież cieszyć się z tego, że dzieci wypoczywają nad wodą, była zażenowana „stylem” tego wypoczynku. „To bije po oczach, ten nawał rodzin z dziećmi. Z jednej strony fantastycznie, bo wielu maluchów pierwszy raz w życiu zobaczyło morze. Niektóre nawet nie wiedzą jakie. Mówię Bałtyk, a one oczy szeroko otwarte. Pytam, co po drugiej stronie morza – nie wiedzą. Zdarza się odpowiedź: Tunezja. Pytam, co to wydmy? Słyszę: wydmy to miejsce, gdzie robi się kupę” – czytamy. Zawadzka twierdziła, że to wszystko, bo „jedzą te wszystkie frytki, gofry, ryby na starych tłuszczach i nie wytrzymują”.

„Dowiedzieliśmy się, jaka naprawdę jest polska rodzina. Nie chodzi o brak obyczaj. Nawet nie o to, że ludzie nie wiedzą, że na wydmach nie załatwia się potrzeb, że tych koszulek patriotycznych z Wołyniem nie zmieniają przez kilka dni. Chodzi o to najbardziej, że ojcowie, matki też, są na plażach pijani i agresywni” – oburzała się dalej. Gwiazdki TVN przeszkadzało wyraźnie to, że już nie tylko elity stać na wypoczynek nad morzem. „Nie chcą już tylko łodów na patyku, łanką większych atrakcji. Problem w tym, że nie ma na to kasy. W życiu nie widziałam takiego napięcia jak dziś nad Bałtykiem” – podsumowała Dorota Zawadzka. „Superniania” ewidentnie ma więcej empatii i zrozumienia dla gejów i lesbijek, ponieważ – jak chwaliła się Kampania przeciw Homofobii – „Zawadzka to sojuszniczka obecna na każdej gali KPH”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wielka wystawa w Muzeum Starożytności Bardo w Tunisie wieńczy podróż ekspozycji ku czci „Salambo”, literackiego arcydzieła Gustawa Flauberta. W ten sposób uczczono 200-lecie urodzin francuskiego pisarza. Twórca, który najwspanialej odmalował chwałę, potęgę i przepych Kartaginy – jedyne mocarstwa, które rzuciło wyzwanie dominacji antycznego Rzymu w basenie Morza Śródziemnego.

Muzeum Bardo jest trzecie w wędrówce ekspozycji w ramach wielkiego planu wykreowanego przez ministerstwa kultury Francji i Tunezji. Pierwszym miastem, które gościło wystawę, było normandzkie Rouen. To rodzinne miasto Flauberta. Potem wystawa gościła w Marsylii w MuCEM (Muzeum Cywilizacji Europejskiej i Śródziemnomorskiej) i teraz od października obejrzeć ją można w stolicy Tunezji.

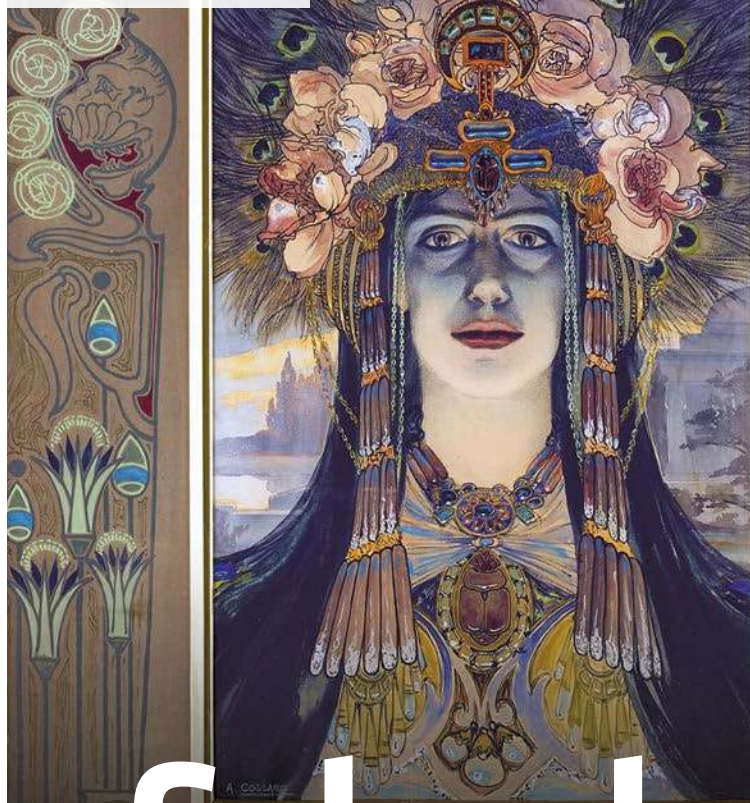
Muzeum Bardo samo w sobie ma dosyć dramatyczną historię. Mieści się w dawnym pałacu beja (władcy) Tunisu Muhammada Beja, które zostało zamienione w Muzeum Zabytków Starożytności przez syna tunezyjskiego premiera Mustafy Chaznadara, który ratował posągi pałacowe z Manuby i gromadził wykopaliska utożsamiane z dawną Kartaginą.

Po nastaniu francuskiego protektoratu nad Tunezją w 1881 r. część tutejszych zbiorów trafiła do Luwru. W 1958 r., po odzyskaniu przez Tunezję niepodległości, pałac został przekształcony w muzeum narodowe, a Francuzi musieli oddać dużą część wywiezionych zbiorów. Prawie 10 lat temu grupa terrorystów tzw. Państwa Islamskiego opanowała muzeum, zatrzymując sporą grupę turystów. Zanim oswobodzono zakładników, zginęły 23 osoby, w tym obywatele Japonii, Włoch, Kolumbii, Hiszpanii, Australii, Francji i Polski. Ale Tunezja okazała się odporna na pokusę zideologizowanego islamizmu. Zamach w Muzeum Bardo raczej skompromitował islamistów w oczach zwykłych Tunezyjczyków.

Wróćmy jednak do tematu ekspozycji. Jej autorzy witają widza następującym przesłaniem: „To zaproszenie do ponownego odkrycia powieści Flauberta, dostrzeżenia jej w nowym świetle, zbadania jej wpływu na sztukę i kulturę przy

Adolphe Cossard, „Salambo”, 1899 r.

FOT. MUSÉE NATIONAL DU BARDO



„Salambo”, czyli duma Kartaginy



Piotr Semka

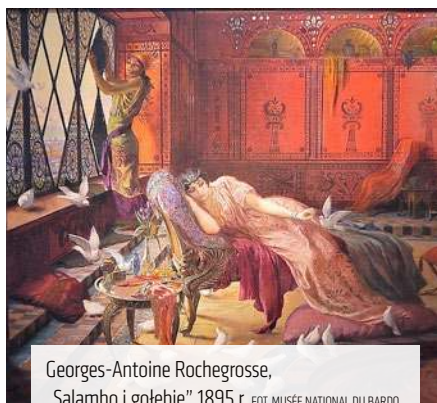
„A poza tym uważam, że Kartaginę należy zniszczyć” – tych słów rzymskiego retora Katona Starszego przez dekady musieli uczyć się na pamięć uczniowie szkół, w których obowiązywały standardy edukacji klasycznej. Rzym wcielił to wezwanie w czyn i w ogniu wojen zaginęła cała literatura punicka. Jeśli ktoś pochylił się po wiekach nad chwałą ojczyzny Hannibala, to był to pewien XIX-wieczny mistrz powieści z Normandii

jednoczesnym oddaniu hołdu historycznemu dziedzictwu Kartaginy”.

KRWAWE WOJNY

Nie byłoby tej wystawy bez kartagińskiego mitu, legendy mocarstwa, które osiągnęło największą potęgę w stuleciach IV–III p.n.e. i które zostało wyniszczone przez antyczny Rzym. Do legendy przeszedł rozkaz cesarzy rzymskich, którzy nakazali nie tylko wyburzyć Kartaginę, lecz także symbolicznie posypać jej ziemię solą na dowód ostatecznego upokorzenia. To założone przez Fenicjan państwo najbardziej zapisało się w pamięci Europejczyków trzema krwawymi wojnami punickimi, których bohaterami byli tacy wodzowie kartagińscy jak Hamilkar Barkas, a potem jego syn Hannibal. I właśnie dzięki postaci wybitnego wodza Hamilkara – ojca tytułowej Salambo – możemy umiejscowić akcję powieści Flauberta w okresie między ok. 229 a 200 r. p.n.e.

Ale nie tylko legenda Kartaginy zdecydowała o sukcesie powieści w XIX w. Francuzów od wieków kusił tajemniczy świat Orientu. Frankijscy rycerze zdobywający Ziemię Świętą w kolejnych krucjatach odkrywali świat bogactwa i wyrafinowania, który intrygował i ciekawił. Potem od XVI w. Francja zawiązała sojusz z Portą Otomańską przeciw Habsburgom. Władcy Francji zyskali wtedy status protektorów świętych miejsc chrześcijaństwa w Jerozolimie. Potem zainteresowanie Orientem umocniła wyprawa Napoleona do Egiptu w 1797 r. A w latach 30. XIX w. monarchia francuska podbiła Algierię, co z kolei rozpoczęło proces powolnego podporządkowywania sobie Tunezji. Ówczesny bej Tunisu był formalnie podporządkowany władzy sułtana w Stambule, ale Republika powoli obezwładniała kolejnych władców w Tunisie. W tamtych czasach Francuzom te ziemie w naturalny sposób kojarzyły się z legendą o Kartaginie. To dość tajemnicze mocarstwo nie pozostawiło własnej pisanej historiografii. Wszystko to, co o nim wiemy, zapisali historycy starożytnego Rzymu. Dla ówczesnych Francuzów zainteresowanie Tunezją było impulsem do odtworzenia mitu i tradycji kartagińskiej. Trzeba było tylko znaleźć kogoś, kto zręcznie podejmie ten temat. Tym kimś okazał się Flaubert.



Georges-Antoine Rochegrosse, „Salambo i gołębie”, 1895 r. fot. MUSÉE NATIONAL DU BARDO



Victor Pieters, portret Gustawa Flauberta w stroju orientalnym, 1856 r. fot. MUSÉE NATIONAL DU BARDO

Wydana w 1857 r. powieść „Pani Bovary” – bardzo skandalizująca jak na tamte czasy o wdającej się w romans znudzonej normandzkiej mieszkance – przyniosła Flaubertowi zarówno sławę, jak i oskarżenia o promowanie amoralności. Pocho-dzący z Normandii pisarz poczuł, że musi uspokoić nieco atmosferę wobec siebie, którą zaniepokojeni byli potencjalni wydawcy jego kolejnych książek.

ORIENTALNY SEN

Aby „zejść z linii strzału”, Flaubert postanowił ubrać akcję swojej kolejnej książki w orientalno-egzotyczny kostium. A jej akcję umieścić w okresie epoki wielkiego Hamilkara. Wódz ten odnosił olśniewające zwycięstwa nad Rzymem i Grekami, ale musiał sprostać buntom zaciężnych wojowników, których dumna Kartagina wynajmowała na potrzeby swoich licznych wojen.

W 1858 r. Flaubert udaje się na tereny dawnej Kartaginy dla zbadania topo-

grafii i specyfiki terenów, na których umieszcza akcję swojej książki. Fakt, że o samej Kartaginie pozostało stosunkowo niewiele świadectw pisanych, dawał ogromne pole do fantazjowania. Poza tym orientalny kostium powieściowy już od XVIII w. w literaturze francuskiej był przepustką do sporej swobody w poruszaniu wątków erotycznych. Z kolei fatalna w Europie reputacja wschodniego despotii umożliwiała epatowanie okrucieństwem i perwersją w skali, która w wypadku opisywania cywilizacji europejskiej byłaby nie do zaakceptowania przez francuskich czytelników.

Jeszcze wcześniej Flaubert zakopał się w książkach dotyczących starożytności. Latem 1857 r. skarżył się w jednym z listów do przyjaciół, że mimo przeczytania ponad stu książek o tamtych czasach nadal nie jest w stanie sobie wyobrazić, co czuli ówcześni bohaterowie. Ale w jednym intuicja nie zawiodła mistrza. Wybór – tak jak w wypadku „Pani Bovary” – na tytułową bohaterkę złożonej psychologicznie bohaterki był gwarancją sukcesu. Tytułowa Salambo to – jak już wspomnieliśmy – córka wybitnego kartagińskiego wodza Hamilkara Barkasa. Ta obdarzona orientalną urodą dziewczyna odgrywa w Kartaginie rolę kapłanki bogini Tanit – bóstwa opiekuńczego Kartaginy – i jest strażniczką świętego welonu (zaimfu). Jednocześnie mimo swego wysokiego statusu Salambo tęskni za wielkim uczuciem i nudzi się w złotej klatce pałacu ojca. Nic więc dziwnego, że zapalała miłością, gdy los styka ją z wojownikiem Matho, pochodzącym z Libii wodzem zbuntowanych oddziałów najemniczych. Domagają się one od władców kartagińskich wypłacenia zaległych żołdów za lata walki z Rzymianami.

Ale powieść nie odniosłaby takiego sukcesu, gdyby była tylko banalną opowieścią o miłości strażniczki kultu do nieokrzesanego, ale kochliwego barbarzyńcy. Flaubert porusza wątek antagonizmów społecznych, buntu nisko urodzonych, ale mężnych wojowników przeciwko tym, którzy stanowią arystokrację Kartaginy. Badacze twórczości Flauberta wskazują, że było to użycie orientального i antycznego kostiumu dla poruszenia kwestii pierwszych



Napiersnik z epoki wojen punickich
FOT. MUSÉE NATIONAL DU BARDO

■ wystąpień rewolucyjnych w XIX w. Pisarz oglądał na własne oczy rewolucję lutową we Francji 1848 r. Ten bunt ówczesnego francuskiego proletariatu zrobił na nim ogromne wrażenie. Nasuwają się polskiemu widzowi skojarzenia z powstałą w 1833 r. „Nie-Boską komedią” Zygmunta Krasińskiego. I istotnie jeden z bohaterów „Salambo”, niezwykle inteligentny manipulator i były niewolnik Grek Spendiusz, przypomina nieco postać Pankracego.

Spendiusz z „Salambo” mści się na Kartaginie za lata niewoli, umiejętnie podbechtując przywódców najemników do zniszczenia kartagińskiej arystokracji. W swej żądzy zemsty marzy tylko o rzuceniu na kolana dumnych patrycjuszów kartagińskich, nie troszcząc się o nic i o nikogo.

Powieść to wreszcie moralitet o wielkim mocarstwie, które zaczyna być rozkładane przez gnuśność i egoizm swoich elit. O potencjalnie silnym państwie, które ulega partykularnym egoizmom i zaczyna wątpić w siebie. Bogaci oligarchowie nie chcą łożyć na obronę państwa. Szerzą się wzajemna podejrzliwość, skłócenie i oskarżenie o spiskowanie z wrogiem. A najwybitniejszy wódz Kartaginy, Hamilkar, ojciec Salambo, jest obiektem zawiści ze strony utytułowanych miernot. Musi wciąż wypraszać pieniądze na swoją armię od bogatych właścicieli winnic i kopalni kruszców, którzy zaślepieni chciwością i szukaniem indywidualnych zysków nie są w stanie zrozumieć, że bez ochrony silnej armii ich dobrobyt zniknie.

Najemnicy w opowieści Flauberta w końcu przegrywają. Makiawelistyczny Spendiusz zostaje uśmiercony na krzyżu, a barbarzyński wódz Matho zostaje pojmany i jako jeniec przeznaczony na ofiarę dziękczynną bóstwom opiekuńczym Kartaginy. W finale urodziwa Salambo, która zapalała uczuciem do młodego wojownika, na widok jego poniewierki pada martwa z rozpaczy.

ZDOBYCIE PARYŻA

Powieść dobrze trafiła w gust epoki. Krytycy byli pod wrażeniem bujnej wyobraźni Flauberta, który odmalował im-

ponujący przepych i kontrasty imperium kartagińskiego. Tylko niektórzy historycy kręcili nosem, że wszystko to jest absolutna kreacja. Ale chwalono nowatorski koncept ukazania wielkich bitew z punktu widzenia jej poszczególnych uczestników. Także zasygnalizowanie groźby buntu proletariatu odpowiadało lękom ówczesnych francuskich klas wyższych.

Powieść dodatkowo zyskała na aktualności po tym, jak w 1881 r. Francja dokonała desantu 36 tys. żołnierzy na Tunis. Wojska interwencyjne szybko pokonały archaiczne państwo beja Tunisu i już oficjalnie kraj przekształcił się w protektorat Republiki Francuskiej. Salambo stała się więc wygodnym narzędziem do sugestii, że Francja rozciągając swoją władzę nad tym zakątkiem świata, ma obowiązek wznowić tradycje dawnej Kartaginy. Niektórzy z kolei widzieli w powieściowych galijskich wojownikach na służbie Kartaginy spadkobierców kolonialnych zdobywców Tunisu.

Najlepszych artystów inspirowały postaci i sceny „Salambo”. Na wystawie oglądamy bogaty wybór ich twórczości. Oczywiście najwdzięczniejszym tematem była sama bohaterka książki. Portrety córki Hamilkara malowali tacy artyści jak: Gaston Bussière, Adolphe Cossard, Mathilde Bonaparte (spokrewniona z Napoleonem III), Georges-Antoine Rochegrosse, Paul Labbé czy wielki czeski twórca secesji pracujący w Paryżu Alfons Mucha. Jej rzeźby tworzyli tacy rzeźbiarze jak Jean-Antoine-Marie Idrac czy Théodore Livière. Oczywiście, jak można się domyślać, orientalny temat pozwalał kreować wizję literackiej bohaterki w bardzo skąpych strojach, niekiedy z bardzo wyraźnym sex appeal.

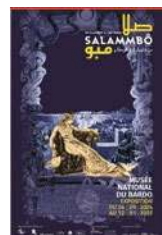
„Salambo” zachwyciła także świat sztuki, teatru i opery. W 1890 r. powstała opera „Salambo” Ernesta Reyera. A we wschodniej części Europy opery na podstawie powieści Flauberta zaczęli tworzyć rosyjscy twórcy Modest Musorgski i Siergiej Rachmaninow, choć żaden z nich nie ukończył dzieła.

„Salambo” z racji orientalnego przepychu inspirowała też filmowców. Na wystawie zobaczyć można pierwszą dość naiwną ekranizację dzieła autorstwa Włocha Giovanniego Pastronego z 1914 r. oraz znacznie lepszą wersję filmu w reżyserii Francuza Pierre’a Marodona. Ale oczywiście najwięcej pieniędzy włożono w megaprodukcję francusko-włoską „Salambo” z 1960 r. Co ciekawe, francuski współproducent przehorsował, by w tej ekranizacji główny bohater i kochanek Salambo, wódz buntowników Matho, był przedstawiony jako Gal, a nie jak w powieści Libijczyk. Czy była to spóźniona chęć wsparcia pretensji Francuzów do rządzenia Tunezją? Jeśli tak, to zamiar ten okazał się spóźniony. Film ukazał się dwa lata po tym, jak Francuzi musieli oddać Tunezję liderom niepodległościowej rewolucji.

Współczesna Tunezja włączyła tradycje Kartaginy do swojego dziedzictwa narodowego. Do 2019 r. jeden z banknotów tunezyjskich zdobił wizerunek Hannibala. Na terenie dawnej Kartaginy swój pałac prezydencki ma prezydent Tunezji, a wykopaliska Kartaginy przyciągają turystów z całego świata. Francja, która uwielbia podkreślać to, co w jej tradycji kolonialnej łączyło, a nie dzieliło ją z narodami Orientu, także dba o to, by „Salambo” było wspólnym dziedzictwem francusko-tunezyjskim. I właśnie taka postać jak Flaubert, który zrobił wiele, aby poznać tunezyjską ziemię, pasuje do wspólnych przedsięwzięć ministerstw kultury z Paryża i Tunisu. Elity tunezyjskie wciąż są zapatrzone we Francję.

Wyzwalanie się Tunezji spod francuskiej dominacji było znacznie mniej krwawe i bolesne niż w wypadku sąsiedniej Algierii. Tunis bardziej przypomina zachowujące bardzo dobre relacje z Francją Maroko niż sąsiednią Libię rozdartą bratobójczymi konfliktami. Wystawę kończy kolekcja zdjęć barów, restauracji, łaźni czy sklepów w Tunisie, które z dumą noszą wdzięczną nazwę Salambo. Może więc książka Flauberta choć w jakimś stopniu pogodziła Tunezyjczyków z potomkami antycznych Gallów?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wystawa „Salambo – od Flauberta do Kartaginy” w Muzeum Bardo w Tunisie potrwa do 12 stycznia 2025 r.



Piotr Gociek

Film „Pedro Páramo” i serial „Sto lat samotności” – dwa arcydzieła magicznego realizmu doczekały się ekranizacji w Netflixie

Pojechałem do Comala, bo powiedziano mi, że tam mieszka mój ojciec, niejaki Pedro Páramo. Powiedziała mi to moja matka. I przyrzekłem, że pojadę go odwiedzić po jej śmierci. Ucisnąłem ręce matki na znak, że dotrzymam obietnicy: za chwilę miała umrzeć i byłem gotów przyrzec jej wszystko”. Tak zaczyna się najważniejsza powieść meksykańska XX stulecia – „Pedro Páramo” Juana Rulfa. Mało kto wie, że jest ona także początkiem drogi do światowego bestsellera Gabriela Garcii Márqueza, czyli słynnych „Stu lat samotności”. Márquez zmagający się wiele lat z problemem, „jak właściwie napisać moją wymarzoną powieść”, odnalazł właściwy ton właśnie dzięki lekturze „Pedro Páramo”. Odwdziczył się meksykańskiemu autorowi wspólną przedmową, którą opatrzone jest angielskie wydanie owej książki.

SERIALOWE MACONDO

Tak się złożyło, że w odstępie kilku tygodni do Netflixu trafiły ekranizacje obu tych tytułów. Filmem „Pedro Páramo” jako reżyser debiutuje wyśmienity autor zdjęć filmowych Rodrigo Prieto (trzy swoje oscarowe nominacje z czterech otrzymał za zdjęcia do filmów Martina Scorsese: „Milczenie”, „Irlandczyk”, „Czas krwawego księżycza”).

Z kolei powieść „Sto lat samotności” Márqueza doczekała się wersji serialowej. Jest to przedsięwzięcie kosztowne i prestiżowe, kręcone w Kolumbii z lokalną obsadą i wielkim pietyzmem dla literackiego oryginału. Całość liczyć ma 16 godzinnych odcinków, na razie obejrzeć można osiem.

Praca zaczęła się w roku 2019, kiedy Netflix ogłosił, że kupił prawa do ekranizacji książki, na której ekranizację sam Márquez za życia nie chciał się zgodzić (zmarł w 2014 r.). A precyzując: nie wy-

obrażał sobie, by ktoś chciał ją ekranizować wedle warunków pisarza: to znaczy nie w Hollywood, tylko w Kolumbii; nie po angielsku, lecz po hiszpańsku; no i przede wszystkim bez nadmiernych skrótów. Rzeczy niemożliwe się zdarzają i oto mieszkańcy Macondo żyjący dotąd na kartach powieści i w wyobraźni czytelników trafili na mały ekran. Z kolei do powstania serialu walenie przyczyniła się rodzina Márqueza. Rząd Kolumbii liczy tymczasem na turystyczny boom, czyli na to, że fani „Stu lat samotności” (a na całym świecie sprzedano wszak ponad 50 mln egzemplarzy książki) będą przyjeżdżać do Barranquilla, gdzie Netflix zbudował swoje serialowe Macondo

i jeszcze jednego wydania w roku 2020. Warto chwilę porozmawiać o recepcji tej książki, bo to klasyczny przykład tego, jak tzw. obiegowe opinie przeszkadzają w dostrzeżeniu istotnych znaczeń dzieła.

Klasyfikowano zatem „Pedro Páramo” jako typową dla okresu po rewolucji meksykańskiej opowieść piętnującą dawne porządki feudalne. I na pozór można ją za taką przyjąć: centralna figura to tytułowy Pedro Páramo, okrutnik i gwałcień, ojciec nieślubnych dzieci, bogacz i wyzyskiwacz. Rządzone przez niego – a potem porzucone – miasteczko Comala popada w biedę, a w chwili gdy dociera do niego narrator powieści, jest już wyludnioną ruiną nawiedzaną przez

Wszystko, wszędzie, zawsze

– tak jak fani Tolkiena odwiedzają Nową Zelandię, by na własne oczy ujrzeć miejsca, gdzie kręcono „Władcę Pierścieni”.

DELICJA DLA WTajemniczonych

Czytanie obu książek, a potem oglądanie ekranizacji zalecam w porządku chronologicznym – powieść „Pedro Páramo” ukazała się w roku 1955, powieść Márqueza zaś w roku 1967. O ile o tej ostatniej napisano w Polsce wiele, o tyle najśłynniejsze dzieło Juana Rulfa pozostaje literacką delcją dla wtajemniczonych smakoszy. A trafiło przecież do rąk polskich czytelników już w roku 1966, by doczekać się wznowienia w roku 1975

duchy. W powieści Juana Rulfa przeszłość i teraźniejszość, świat realny i świat upiórów istnieją w tym samym miejscu, na tych samych zasadach. Nie bez powodu „Pedro Páramo” jest uznawana za pierwsze wielkie dzieło latynoskiego realizmu magicznego.

Nie da się jednak zredukować tej książki do warstwy rozliczeń z feudalami, od których rewolucja meksykańska wyzwoliła cierpiący lud. Po pierwsze – tytułowa postać okazuje się wielowymiarowa i pełna sprzeczności, po drugie – w mikrokosmosie Comala rozgrywają się rozmaite dramatyczne wydarzenia, które traktować należy jako aluzje nie

do wydarzeń sprzed rewolucji, ale do czasów, w których Rulfo pisał swą powieść. Zatem da się odczytać również jako metafora polityczno-społecznej sytuacji Meksyku w połowie XX w.

A jaka to była sytuacja? Przypomnijmy, że rewolucja, do której doszło w latach 1910–1920, to czas ponury, na którym cieniem kładą się prześladowania Kościoła, mordy na księżach i krwawe stłumienie Cristiady. Meksyk po reformie rolnej i licznych nacjonalizacjach nie zamienił się co prawda w drugi Związek Sowiecki, ale na pewno nie stał się nagle szczęśliwym miejscem. Rządy objęła jedna partia (Partia Instytucjonalno-Rewolucyjna), która niepodzielnie władała Meksykiem od 1929 do 2000 r. I bardzo szybko się okazało, że są to rządy tłumienia wolności słowa, gigantycznej korupcji i chybiomych pomysłów gospodarczych. Nacjonalizacja ziemi i przemysłu to jedno, a zrobienie z przejętych dóbr odpowiedniego użytku to już co innego.

Juan Rulfo, urodzony w bogatej rodzinie ze stanu Jalisco, stracił podczas rewolucji ojca, którego zamordowano (zabito też innych członków rodziny), matkę, która zmarła na atak serca, a sam trafił do sierocińca w Guadalajarze. Trudno więc oczekiwać, by wychwalał oprawców swoich bliskich i złodziei majątku, który jego rodzina gromadziła od czasu, gdy w XVIII stuleciu przybyła z Hiszpanii. Nowymi porządkami był rozczarowany – nie on jeden, bo rewolucja obiecała wiele, a zmieniła jedynie wyzyskiwaczy. Młody Pedro Páramo też zapowiadał się na wspaniałego człowieka, ale ostatecznie stał się tyranem. Stracone złudzenia to jeden z wielkich tematów tej książki.

Film Rodrigo Prieta porządkuje trochę nielinearną fabułę książki, ale i tak widz może czuć się nieco zagubiony. Nie szkodzi. Rzecz jest opowiedziana przepięknie obrazem (Prieto wspomagany jest przez jeszcze jednego operatora – Nico Aguilara), robota aktorska też jest bez zarzutu – szczególnie wypada pochwalić Manuela Garcíę-Rulfa w roli Párama (co ciekawe, aktor jest dalekim krewnym pisarza). W Meksyku książka jest lekturą obowiązkową w szkołach średnich i traktowana jest jako dobro narodowe, z biegiem czasu obrosła tomami interpretacji i analiz. Polski widz (i czytelnik)



Powieść „Sto lat samotności” Márqueza doczekała się wersji serialowej. Całość liczyć ma 16 godzinnych odcinków, na razie obejrzeć można osiem FOT. MAURO GONZÁLEZ/NETFLIX

zapewne nie jest w stanie wychwycić wszystkich warstw i znaczeń tej opowieści, ale warto poświęcić czas i na lekturę, i na oglądanie filmu Prieta. Zapisalem go na liście najciekawszych filmów roku 2024 r., choć nie mogę powiedzieć, że jest dziełem w pełni udanym.

CZYTAJ I UCZ SIĘ!

Przenieśmy się teraz z mikroświata Comala do uniwersum Macondo: „Wiele lat później, stojąc naprzeciw plutonu egzekucyjnego, pułkownik Aureliano Buendia miał przypomnieć sobie to dalekie popołudnie, kiedy ojciec zabrał go z sobą do obozu Cyganów, żeby mu pokazać lód”. Gabriel Garcia Márquez w rozmowie z Mariem Vargasem Llosą powiedział, że te słowa – dziś uznawane za jedno z najsłynniejszych pierwszych zdań w dziejach literatury – zapisał już jako nastolatek, bo „Sto lat samotności” to tak naprawdę pierwsza książka, nad którą zaczął pracować. Ale: „[...] nie dysponowałem wówczas dostateczną biegłością warsztatową i językową, żeby to wszystko zabrzmiało wiarygodnie, żeby wydało się prawdopodobne – opowiada Márquez (zapis rozmowy zajdziecie w książce »Dwie samotności«). – Porzuciłem więc

ten pomysł i napisałem cztery inne utwory. Największym moim problemem było zawsze znalezienie takiego tonu i języka, żeby czytelnik uwierzył we wszystko”.

Istnieje wiele anegdot związanych z powstawaniem „Stu lat samotności” (niektóre bardzo efektowne) i nawet biografowie Márqueza płaczą się w zeznaniach. Ja nie mam powodu, by nie wierzyć w to, co mówił Llosie publicznie, na spotkaniu w Limie, w roku gdy powieść się ukazała. Przy innych okazjach wspominał natomiast (a także pisał w eseju o Juanie Rulfie), że lekturą, która pomogła mu przełamać impas, blokadę twórczą związaną z pracą nad dziejami Macondo i rodziny Buendia, była właśnie powieść „Pedro Páramo”. Był rok 1961, Márquez przebywał w Meksyku, nic nie wskazywało na to, że którakolwiek z wydanych już i czekających na druk książek osiągnie sukces. Przyjaciel, pisarz Álvaro Mutis, przyszedł do niego, rzucił na stół egzemplarz książki Juana Rulfa i zawałał: „Czytaj i ucz się!”. Márquez przeczytał. Jeszcze tego samego wieczoru: dwa razy. „Pedro Páramo” i „Sto lat samotności” to książki bardzo różne. Rulfo jest oszczędny w słowach, preferuje krótkie zdania, jako pisarz pozostał wierny krótkiej formie



Filmem „Pedro Páramo” jako reżyser debiutuje wyśmienity meksykański autor zdjęć Rodrigo Prieto FOT. JUAN ROSAS/NETFLIX

(jego druga książka to tom opowiadań „Równina w płomieniach”). Márquez jest rozlewny, epicki, wyliczono, że przeciętne zdanie w „Stu latach...” jest ponaddwukrotnie dłuższe niż w „Pedrze Páramo”. Różne są metody pisarzy: Rulfo operuje w skali mikro, wielkie metafory i wielkie tematy literatury mieści w krótkich historiach o zwykłych ludziach. Márquez mnoży bohaterów, kolejne pokolenia rodzin, buduje portrety rozmaitych ekscentryków, nabiera z każdym kolejnym rozdziałem rozmachu, barwny świat sagi o Macondzie zdaje się rozsadzać książkę, w której aż kipi od romansów, wojen, rewolucji, wynalazków, klątw, tajemniczych plag, emocjonalnych zaskoczeń niczym w telenoweli. Jeden i drugi uznawany jest za giganta realizmu magicznego, ale są to bez wątpienia dwie bardzo różne artystyczne osobowości.

A jednocześnie wiele te książki łączy. Oczywiście podstawowy chwyt, czyli zatarcie granicy między tym, co zwykłe a niezwykle. Nie chodzi o zamiłowanie do fantastyki; Márquez mówił Llosie, że „Sto lat samotności” należy „do literatury realistycznej, a to dlatego, że w moim odczuciu w Ameryce Łacińskiej wszystko jest możliwe, wszystko jest rzeczywiste”. Kiedy porównamy realistyczne opowiada-

nia Rulfa z tomu „Równina w płomieniach” z „magiczną” powieścią „Pedro Páramo”, odkryjemy ten sam oszczędny styl, ten sam mały realizm meksykańskiego pustkowi. A że w tej ostatniej duchy i ludzie to równoprawni bohaterowie, że wszystko nieustannie się miesza, przeszłość z teraźniejszością, wspomnienia z wrażeniami? Cóż. A jak funkcjonuje nasz umysł?

Przecież w nim słowa książki czytanej ćwierć wieku temu i dialogi z filmu obejrzanego dzień wcześniej współistnieją w tym samym czasie, tak jak twarze naszych zmarłych bliskich są równie żywe, jak pożegnanych przed chwilą znajomych, a o niejednym wspomnieniu da się powiedzieć, że nie wiemy już sami, co się wydarzyło, a co tylko nam się wydaje, że się wydarzyło. W naszych głowach trwa nieustanne „wszystko, wszędzie, zawsze”. Odrzućmy więc nieszczerne krojenie literatury na magiczną, niemagiczną, bardzo realistyczną, niezbyt realistyczną. Wielka literatura ma w sobie wszystko, a zarówno „Pedro Páramo”, jak i „Sto lat samotności” to wielka literatura.

SZACUNEK BYWA CIĘŻAREM

Idźmy dalej: Páramo mógłby być jednym z bohaterów Márqueza. Koncept opowieści, w której centrum są wzlot i upadek patriarchy, jest ten sam, tyle że Márquez rozbudował ród Buendia, opisując dzieje kolejnych pokoleń. Ale w istocie droga Párama od niewinności do doświadczenia, od miłości do nienawiści to ta sama podróż, która zamyka się w zdaniach z początku i z finału „Stu lat samotności”. To droga od chwili, gdy

„świat był jeszcze tak młody, że wiele rzeczy nie miało nazwy i mówiąc o nich, trzeba było wskazywać palcem, do momentu, w którym »Macondo było już wirującym słupem kurzawy i gruzu, miontanym furią biblijnego huraganu«”.

Twórcy serialowej wersji „Stu lat samotności” zabrali się do zadania niemożliwego, bo urok powieści Márqueza jest niemożliwy do sfilmowania. Urok, podkreślam, literackie czary noblisty. Fabułę – owszem – można przełożyć na scenariusz, rozdzielić wątki na odcinki, zadbać o obsadę. Ale z samej swojej istoty takie dokonania jak „Ulisses”, „Moby Dick”, „Proces” czy „Sto lat samotności” nie są podatne na filmowe czy serialowe adaptacje. To, co w nich najpiękniejsze, kryje się pomiędzy. Pomiędzy czym? Ano wszystkim: słowami, kropkami, zakrętami fabuły, bohaterami, naszymi emocjami.

Żaden obraz, żadne ujęcie, nie jest w stanie oddać tego, co wibruje nam pod czaszką po przeczytaniu pierwszego akapitu „Pedra Páramo” czy „Stu lat samotności”. Z recenzenckiego obowiązku odnotuję: autorzy serialu bardzo się starali, nie próbowali wątków z książki cenzurować czy przerabiać, trochę pewnie ten szacunek bywa ciężarem dla ekranizacji, trochę admiracją żywioną wobec Márqueza przytłacza tę wersję. Ale wstydu nie ma, kto chciałby swoją ukochaną powieść obejrzeć, to ją sobie obejrzy. Reszta pozostaje nieuchwytna. I bardzo dobrze. Bo coś to byłyby za świat, gdyby algorytmy Netflixa potrafiły wychwytywać to, co nieuchwytnie?



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Dzieckiem być



skarby, gadatliwe roboty i łotrzykowie władający Mocą niczym rycerze Jedi, a wszystko to rozgrywa się już po zwycięstwie nad Imperium, kiedy Nowa Republika wprowadza nowe porządki. Co oznacza, że akcja „Załogi rozbitków” toczy się mniej więcej w tym czasie co serialu „Mandalorianin”. W opowieści, której bohaterem był twardziel w hełmie ratujący małego Grogu, Jon Favreau oddawał hołd korzeniom westernu i kina samurajskiego, z których wyrastał pierwszy film Lucasa.

„Szkieletowa załoga” to natomiast przywołanie ducha szczeniackiej przygody, wskrzeszenie cudowności i potrzebna franczyzie dawka lekkości. A nawet pastisz – tak jak animowany japoński film „Dzieci wśród piratów” był pastiszem „Wyspy skarbów”. Dodajmy do tego wszystkiego szelmowski urok, którym częstuje nas Jude Law jako Jod Na Nawo-od, cwaniak, pechowiec, marzyciel i optymistę – takie „Gwiezdne wojny” chce się oglądać. ©

Pytałem kiedyś Ricka McCalluma, producenta filmu „Gwiezdne wojny: Mroczne widmo”, czy nie jest to aby produkcja za bardzo dla dzieci. – Ale przecież oryginalne „Gwiezdne wojny” też były dla dzieci – odpowiedział McCallum. – Dopiero po premierze okazało się, że oglądają je wszyscy.

Czwórć wieku po wywiadzie, który miał miejsce z okazji warszawskiej premiery „Mrocznego widma”, do Disney+ trafił serial, który przypomina, że tym, co nas przed laty zauroczyło w tych naprawdę pierwszych „Gwiezdnym wojnach” (1977), nie były potęgą franczyzy ani agresywny marketing. Miałem 10 lat i tak jak inne dzieciaki wyszedłem

z kina oszołomiony po prostu fantastyczną zabawą i przygodą.

Zrozumieli tę prawdę twórcy miniserii „Gwiezdne wojny: Załoga rozbitków”, którym udało się połączyć dawną niewinność i niezwykłość z klimatami znanymi z produkcji Spielberga czy filmu Donnera „Goonies”. Oto czworo niesfornych dzieciaków z odległej planety At Attin odkrywa pogruchotany piracki statek kosmiczny i rusza w podróż, której nie planowało. Droga do domu okaże się wyjątkowo daleka, reszta Galaktyki uważa bowiem At Attin za mit. Jak szukać pomocy, skoro wszyscy uważają, że miejsce, do którego chcesz wrócić, nie istnieje?

Istnieją za to kosmiczni piraci, niezwykle obce rasy, tajemniczy



★★★★★
SEZON 1
„GWIEZDNE
WOJNY: ZAŁOGA
ROZBITKÓW”
USA 2024

wyst. Jude Law,
Ravi Cabot-Conyers

GRA TYGODNIA: „MICROSOFT FLIGHT SIMULATOR 2024”

Jeszcze więcej, jeszcze piękniej, choć nie bez pewnych turbulencji. Zwłaszcza na początku. Ale od czego są patche? Jak zawsze dostajemy ogromną liczbę różnorodnych statków powietrznych do wyboru – od motolotni,

poprzez małe i duże maszyny pasażerskie czy śmigłowce, aż do myśliwców – którymi możemy latać po całym świecie. Tryb nauki sterowania jest jeszcze lepszy, a tryb kariery i możliwość prowadzenia własnego biznesu



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

lotniczego potrafią przyciągnąć na długo. ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** symulacja
- **Platforma:** XSX, PC
- **Producent; wydawca:** Asobo Studio; Xbox Game Studios

★★★★★

Nie być nikim

Reputacja Prowansji doznała znaczącego uszczerbku. Zamiast kolejnej romantycznej komedii, opiewającej uroki nadmorskich deptaków, pięciogwiazdkowych noclegowni oraz garkuchni z przewodnika Michelina wypełnionych ludźmi zawsze mającymi czas i pieniądze, gościom festiwalu w Cannes pokazano debiut nakręcony w formacie 4:3 (ulubionym przez twórców pragnących imitować „prawdziwe życie”). Ojczyzna lawendy jest w nim zaledwie tłem dla rozterek 19-latkę, którą polubić trudno, lecz zrozumieć warto, gdyż influencerki są ikonami naszej epoki. Komuniści bili pokłony przed traktorzystkami, symbolem wolnego rynku był makler w czerwonych szelkach, XXI w. może się zaś poszczycić armią dziewcząt wrzucających do sieci filmiki, na których tańczą, prężą się przed lustrem lub opowiadają banialuki. Nasza bohaterka stylizuje się na lampucere. Ostry makijaż, tipsy, doczepy, usta karpia, powiększony biust (pośladki czekają, aż panna zbierze fundusze) budzą skrajne reakcje. Oprócz zachwyconych followersów „słodka Liane”



★★★★★
REŻ. AGATHE REDINGER
„DZIKI DIAMENT”
(„DIAMANT BRUT”)
FRANCJA 2024

wyst. Malou Khébizi, Idir Azougli, Andréa Bescond

przyciąga zawistników życzących jej wszystkiego, co najgorsze. Któż jednak przejmie się wulgarnymi komentarzami, gdy zostanie zauważony przez speców od telewizyjnej rozrywki? Liane właśnie takie szczęście spotkało: ma szansę załapać się do reality show adresowanego do mało wybrednej publiki. Producenci szukają osóbkę seksownej i zarazem konfliktowej. Influencerka tylko pozornie spełnia te warunki. To postać zbudowana na antynomii: z jednej strony wulgarny image i agresja, z drugiej szczerza religijność. Kilka lat spędziła w domu dziecka, ojciec zniknął, z matką drze koty, opiekuje się młodszą siostrą i desperacko potrzebuje miłości (choć powodowana strachem ją odrzuca). Co ciekawe, bohaterka

„Dziakiego diamentu” nosi imię i nazwisko słynnej kurtyzany belle époque, która zakończywszy karierę, została zakonnicą. Film wpisuje się w feministyczne trendy: dziewczyna z marginesu gardzi facetami, wykorzystując ich żądzę do zrobienia kariery. Chce być kimś. Mniemam, że przegra, ponieważ fundamentem świata pięknych i bogatych, do którego aspiruje, jest obłuda. Nic nie poradzisz, cmy zawsze lecą w stronę lampy. ©© **Wiesław Chelminiak**

KINO

KOWBOJ I KOSMITKA

skySHOWTIME

Przesada to jeden z grzechów pierworodnych kina. Lista filmów, które padły przygniecione własnym ciężarem, jest zbyt długa, by ją tu przytaczać. „Kaskader” nie podzielił ich losu jedynie dzięki końskiej dawce autoironii zawartej w dziurawym skądinąd scenariuszu. Tytułowy bohater półtora roku po złamaniu kręgosłupa przechodzi sam siebie na planie „epickiej historii miłosnej” i poza nim. Film, zbudowany w sporej części z cytatów (od „F/X” do „Mad Maxa”), jest jak wujek, który męczy towarzystwo dowcipami różnej jakości, więc należy go słuchać jednym uchem. Gosling bywa zabawny (zwłaszcza gdy w odbłaskowym garniaku ogania się od jednoroźców), lecz reszta aktorów wypadła bledo. Jeśli ktoś potrzebował dowodu, że Hollywood podąża jednokierunkową autostradą donikąd, to właśnie go otrzymał. ©© **Wiesław Chelminiak**



★★★★★
REŻ. DAVID LEITCH
„KASKADER”
(„THE FALL GUY”)
USA 2023

wyst. Ryan Gosling, Emily Blunt, Aaron Taylor-Johnson

DO ZOBACZENIA

Oko malarza



RADOSŁAW
 WOJTAS

GDZIE?
Zamek Królewski
na Wawelu
KIEDY?
do 2 marca

Tylko niewielka część dzieł malarskich i rysunkowych Tadeusza Kuntzego znajduje się w zbiorach w Polsce, większość zdobi kościoły i pałace w Rzymie oraz świątynie w całej prowincji Lacjum. Kuntzego, urodzonego w 1727 r. w Zielonej Górze, do Rzymu posłał bp Andrzej Stanisław Kostka Żałuski, mecenas artysty. Przyjmuje się, że powrócił z Italii ok. 1757 r., ale nie na



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

długo. Opuścił Rzeczpospolitą niebawem po śmierci Żałuskiego, który zmarł w 1758 r.

Na wystawę „Oko malarza. Tadeusz Kuntze (1727–1793)” składają się wczesne obrazy, rysunki i gwasze przedstawiające sceny mitologiczne i religijne. Natomiast prace ukazujące codzienne życie wyższego duchowieństwa, arystokracji oraz biedniejszych warstw społecznych mieszkańców Wiecznego Miasta są swoistą kroniką czasów Kuntzego. ©©

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Myśli pod lupą

Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie usprawiedliwiał nie tylko obmierzłej instytucji cenzury, lecz także wszelkiego kneblowania myśli ludzkiej. Czy aby na pewno? Gdybym w tym miejscu pozbył się zahamowań i wprost napisał, co myślę o obecnej władzy i czego życzę najwyższym jej przedstawicielom z wyszczególnieniem wszystkich tortur, którym z niekłamaną satysfakcją poddałbym np. rząd z jego szefem na czele, redaktor naczelny nie dopuściłby do druku tego tekstu, w trosce nie wyłącznie o przyszłość naszego tygodnika, ale – może przede wszystkim – martwiąc się o stan psychiczny czytelników.

Jakkolwiek byśmy na tę hipotetyczną sprawę patrzyli, autor w takiej sytuacji sam musi się ocenzurować albo ktoś to za niego uczyni. I nie udawajmy – tymi słowami zaczyna Jakub Maciejewski swą bardzo ciekawą „Historię cenzury. Od starożytności do XXI wieku” – „że chcemy świata bez jakiegokolwiek cenzury. Cenzurujemy przecież dzieciom przemoc czy seks w filmach [bo czy w szkołach, to od niedawna nie jest to już takie pewne – przyp. K.M.] oraz grach komputerowych, wolimy, by zapoznawały się z wzorcami sumienności w nauce niż wulgarności czy konsumpcji używek. Nie chcemy też zupełnej swobody dla dorosłych – zakazujemy pornografii dziecięcej, ale też ograniczamy dostęp do treści, które mogą rodzić ekstremizm i zachęcać do terroryzmu”.

Są to oczywiste oczywistości. Ale prawdziwy problem z cenzurą zaczął się wtedy, gdy państwa zaczęły ją wprowadzać – czytamy – „dla swoich społeczeństw, patrząc przy tym na kwestionowane teksty przez pryzmat ich prawdziwości czy nieprawdziwości, ale przez

pryzmat tego, czy szkodzą one władzy czy nie”. A obecnej władzy szkodzi akurat wszystko, co wyłamuje się ze schematów politycznej poprawności, prawem kaduka narzuconych przez patronów ideowych rządzących, ich przewodników duchowych. W efekcie ofiarą niczego innego, a właśnie działań cenzorskich padł np. podręcznik do historii i teraźniejszości pióra prof. Wojciecha Roszkowskiego.

Przypomniała mi się w tym miejscu wydana wiele lat po śmierci autora, zmarłego w 1962 r. Władysława Zambrzyckiego, jego znakomita powieść historyczna „W oficynie Elerta”, opowiadająca o poselstwie Jerzego Gawryłowicza Puszkina, przybyłego z Moskwy do Warszawy w roku 1650. Wykorzystując moment, jak się im zdawało, słabości Rzeczypospolitej, carscy wysłannicy domagali się m.in. oddania Smoleńska, wbicia na pal księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, pół miliona złotych kontrybucji, a gdzieś na końcu długiej listy żądań znalazło się obicie knutem drukarzy publikujących pisma, w których przy wymienianiu imienia cara Aleksego nie dodawano np. „hospodar wielki”, a było to, zdaniem Moskali, niedopuszczalne „besczestja”. Król Jan Kazimierz zgodził się jedynie na wywiezienie przez poselstwo tablicy z grobowca Szujskich i, ulegając błaganiom Puszkina, symboliczne spalenie broszury Jana Aleksandra Górczyńskiego – panegiriku na cześć Władysława IV i kilkunastu stronic poematu Samuela Twardowskiego na ten sam temat. Nie spodobało się to mieszkańcom Warszawy, którzy nie tylko natychmiast wykupili wszystkie egzemplarze tych druków, znajdujących się jeszcze u księgarzy, lecz także wszczęli zamieszki, w wyniku których mieszkania ambasadora

strzec musiało ponad 100 żołnierzy, by nie stała mu się krzywda.

Tak czy inaczej, i w Warszawie, bywało, palono książki, choćby symbolicznie. Na unicestwienie niepoprawnych myśli, nawet w samym ich zarodku, jeszcze przed próbą ich prezentacji, przyjdzie czas później. A z ciekawostek: Władysław Zambrzycki, autor m.in. „Kwatery Bożych Pomyleńców” i „Kaskady Franchimont”, pisarz i dziennikarz, też – w latach 1936–1937 – był cenzorem.

Wcale nie mało znanych, a i wielce szanowanych ludzi parało się tym zajęciem. Na przykład Maurycy Mochnacki, któremu Jakub Maciejewski poświęca w swej książce nie mało miejsca. Przymuszony przez władzę podjął, jeszcze w latach 20. XIX w., przed wybuchem powstania listopadowego, pracę w biurze cenzorskim. Ten przyszły uczestnik i kronikarz powstania, choć „tak wszystko robił wbrew zamiarom rządu, że go zrazu strofowano po kilkakroć na piśmie, a potem wygnano z biura, jako niegodnego zaufania rządu”, mieć będzie potem – cytując za Jakubem Maciejewskim – „dożywotnie wyrzuty sumienia”, wyjaśniając przyjaciółom: „Te piśma to hańba moja”.

A czy wiedzą państwo, że moskiewski zaborca usiłował – w okresie między powstaniami listopadowym i styczniowym – wyrugować z ziem polskich alfabet łański? W książce Jakuba Maciejewskiego znajdujemy reprodukcję wydrukowanego cyrylicą „Powrotu ty” Mickiewicza. Po polsku! Niezapomniane przeżycie!

I zapamiętajmy: cenzura nad Wisłą nie skończyła się wcale z chwilą upadku komuny i likwidacją Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Przeciwnie, ma się dobrze, za dobrze. ©



★★★★★

JAKUB
MACIEJEWSKI
„HISTORIA
CENZURY. OD
STAROŻYTNOSTI
DO XXI WIEKU”
BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wiedźmin. Rok pierwszy

Niby krótka powieść, ale składająca się z kawałków, które równie dobrze mogłyby być osobnymi opowiadaniem. Młody Geralt po raz pierwszy rusza w świat, by pełnić wiedźmińskie rzemiosło. Szybko okaże się, że talent do pakowania się w kłopoty ma jeszcze większy niż do ubijania potworów. Pod opiekę weźmie go starszy kolega po fachu, a wątkiem spajającym epizody okażą się wydarzenia sprzed lat, kiedy to okoliczna ludność chciała na mieszkańcach wiedźmińskiej warowni dokonać pogromu.

Książka jest nierówna, są w niej fragmenty znakomite, które czyta się niczym opowiadania z dawnych lat, zanim jeszcze Sapkowskiego wciągnęło pisanie powieściowej sagi, ale są i takie, gdzie pisarz zbliża się do granicy autoparodii.

Dużo jest w tym koncercie piosenek, które dobrze znamy, na dobre i na złe. Taki urok prequeli – nigdy nie są wycieczką w nieznane, lecz oczekiwaniem na dobrze znane motywy, na chwile, gdy autor rozpocznie wątki, których kontynuację i finał znamy już z innych książek. Oczywiście daje Sapkowski upust swoim światopoglądowym obsesjom,

więc klechów odmalowuje jako pijaków, chciwców i hipokrytów, a kapłanki świadczące usługi aborcyjne jako nieledwie święte, za to niesłusznie prześladowane przez nietolerancyjny tłum. Jest nawet kawałek szydzący z hasła „niech zatriumfuje prawo i sprawiedliwość”.

Jednak mimo rozmaitych słabości Sapkowski wygrywa. Zapracował na tę wygraną nie „Rozdrożem kruków”, lecz wcześniejszymi książkami. Tam, gdzie mu wychodzi, robi to na poziomie swoich najlepszych dokonań. Tam, gdzie mu nie wychodzi – cóż, wybaczymy ze względu na stare, dobre czasy. Odpowiedzi na pytanie, skąd u pisarza tak głęboka mizantropia i tak głęboki Weltschmerz, nie znajdziemy, ale widać, że mamy do czynienia i z romantyzmem, i z cynizmem. Dla tego ostatniego dobry greps jest

wszystkim; nieważne, czy cytuje Biblię czy głupiotkę dziecięce wyliczanki, Szekspira czy własne parodie uczonych dzieł. Czy była nam potrzebna opowieść o tym, jak Geralt został porządnym gościem, choć kusiło go, żeby takim nie być? No nie wiem, w sumie wiedzieliśmy o tym, że to równiacha od pierwszego opowiadania sprzed niemal 40 lat. ©



★★★★★
**ANDRZEJ
SAPKOWSKI**
**„ROZDROŻE
KRUKÓW”**
SUPERNOWA
2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Mniej znane niż „Myśli nieuczesane”, a równie trafne i dowcipne. Po raz pierwszy w jednym tomie. I wciąż aktualne. Tę: „Zawsze dzielna ariergarda jest w obronie karier twarda” wypada zadeptykować naukowcom i politykom.



**STANISŁAW
JERZY LEC**
„FRASZKI”
NOIR SUR BLANC

Zaczęło się od recenzji „Lewej ręki ciemności”, potem giganci literatury już regularnie wymieniali się opiniami. Lem fantastykę atakował i porzucał, Le Guin wskazywała jej zalety. Dla fanów – pasjonujące; dla reszty – ciekawe.



**STANISŁAW LEM,
URSULA
K. LE GUIN**
**„LISTY
1972–1984”**
**WYDAWNICTWO
LITERACKIE**

Krótki, przystępny i bardzo merytoryczny wykład na temat pułapek polityki gender związanej z tzw. zmianą płci. Czym jest dysforia płciowa, czym blokery dojrzewania i kto na tym wszystkim zarabia? Poruszająca lektura.



**GRZEGORZ
GÓRNY**
**„KTO CHCE
UKRAŚĆ CIAŁA
NASZYCH DZIECI”**
**WYDAWNICTWO
AA**

Piąty tom serii kryminałów retro, których bohaterem jest śledczy Wilhelm Klein, a których akcja rozgrywa się na ziemi kłódzkiej – tym razem mamy rok 1925 i porwania kobiet w okolicach Strzelina.

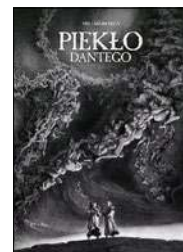


**TOMASZ
DUSZYŃSKI**
**„GRZESZNIK
ZE STREHLEN”**
**WYDAWNICTWO
SQN**

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: PORZUCIE NADZIEJĘ...

Są komiksy, są powieści graficzne, są i dzieła sztuki. „Piekło Dantego” należy do tej ostatniej kategorii. Wysmakowana plastycznie, inspirowana rysunkami Gustava Doré pierwsza część adaptacji „Boskiej komedii” to dzieło braci Brizzich, autorów m.in. rysunkowej wersji „Don Kichota



**PAUL BRIZZI
I GAETAN BRIZZI**
**„PIEKŁO
DANTEGO”**
**WYDAWNICTWO
MANDIOCA 2024**

z Manczy”, cenionych w branży filmowej animacji (m.in. serial „Babar” i liczne hity Disneya).

Piotr Gociek

Litera nienapisanego prawa

Dramat Stefana Hertmansa opowiada historię Nourii – Antygony z Moleenbeck. Ta współczesna Antygona jest Belgijką pochodzenia arabskiego, osądzoną za próbę wykradzenia z zakładu medycyny sądowej ciała swojego brata. Tytułowe Moleenbeck to zdominowana przez społeczność mużulańskie dzielnica Brukseli, która zyskała złą sławę jako miejsce wychowujące terrorystów. Brat Nourii zginął – jak możemy się domyślać – w spowodowanym przez siebie zamachu. Ten tekst od lat „chodził” za Anną Smolar, reżyserką urodzoną we Francji, która czasem przyswaja na potrzeby polskich scen wątki i tematy z tamtejszych debat.

Pierwszą, roboczą realizację „Antygony...” stworzyła dla Festiwalu Malta w roku 2018. Tak więc do teatru idziemy już z pytaniem: Jak można przeczytać ten wybór repertuarowy warszawskiego Dramatycznego?

Po co teatr i zaproszeni przezeń twórcy sięgają po opowieść nieprzystawalną tymczasem do polskiego doświadczenia, w kraju, gdzie bomby nie wybuchają? Czy ma być to kolejna z lekcji dla wielokulturowego społeczeństwa przyszłości, których lubi udzielać polski teatr? Jednak spektakl nie peroruje o asymilacji, nie zanurza widzów w potokach łez i jest w tej powściągliwości wierny tekstowi.

Drogę do celu wskazała już sama decyzja zrealizowania „Antygony...” jako dramatu muzycznego na kameralnej scenie. W trudnych do odgadnięcia proporcjach na mocny efekt złożyły się tu zapewne praca reżyserki, kompozytora Jana Duszyńskiego, odtwórczyni głównej roli Marianny Linde oraz Maniuchy Bikont, aktorki i zarazem instrumentalistki wykonującej na żywo część muzycznej partytury. Pod abstrak-



Marianna Linde w tytułowej roli „Antygony z Moleenbeck” na deskach Teatru Dramatycznego FOT. KAROLINA JÓZWIĄK



Grzegorz Kondrasiuk

Spektakl w Teatrze Dramatycznym jest opowieścią o niemożliwej do zaleczenia ranie. Nie oferuje pocieszenia i nikogo nie usprawiedliwia. Tak jak pierwowzór – dramat belgijskiego pisarza – nie udziela odpowiedzi

czynną scenografią stworzoną z białego, ukośnie zawieszonego elementu, sufitu ograniczającego przestrzeń, odbywa się ta godzinna gra. Kwestie wypowiedziane są bardziej „na białło”, bez nadmiernych emocji i wcielania się w rolę. Czasem są melorecytowane, czasem niespodziewanie brzmią piękny, czysty śpiew obu aktorek (którym towarzyszy jako narrator i epizodysta Michał Sikorski). Muzyka wprowadza dystans, tworzy świat autonomiczny, który niczego nie naśladuje, bez scenek, obrazków rodzajowych, realizmu. Tego rodzaju dzieło można sobie wyobrazić także jako audycję muzyczną, stworzoną z samej tylko audiosfery.

Powstała mała, zwarta, treściwa forma, dla której luźną inspiracją była być może stylistyka japońskiego teatru nō. Dzięki temu spektakl wchodzi, ma swoją własną prawdę,

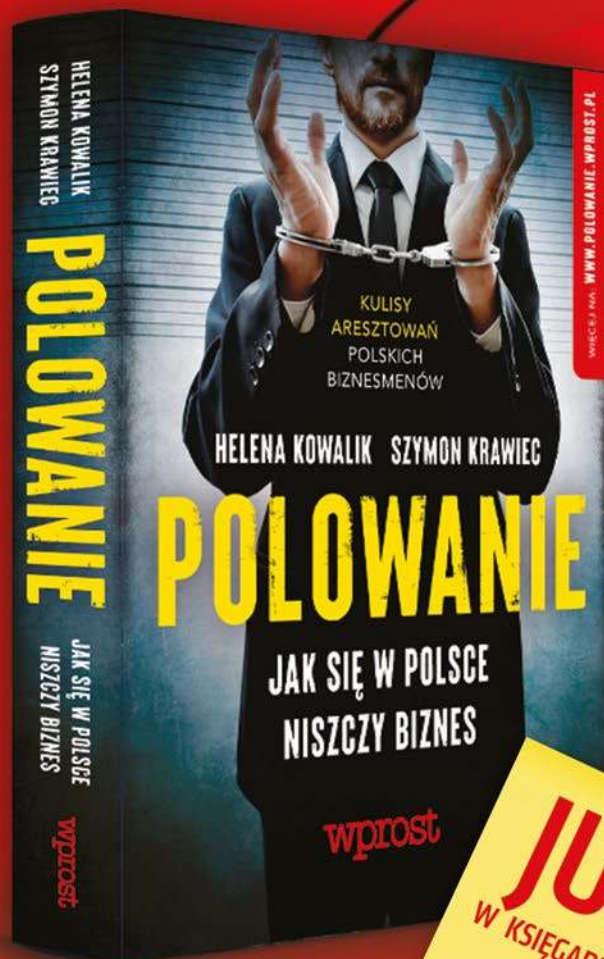
uwalniającą się od poglądów i intencji twórców, od otoczki ideologicznej. Pasuje ona do surowej formy dramatu, do behawiorystycznego, relacyjnego trybu snutej tu opowieści – przezroczystej, wypranej z introspekcji, unikającej wchodzenia w doświadczenie wewnętrzne.

W losie studentki prawa wytraconej z rysującej się przed nią ścieżki kariery prawniczej odbija się konflikt ze zgołą innym prawem. Identyfikacja jak w antycznym pierwowzorze pojawia się kwestia godnego pochówku. Nie mogąc odzyskać szczątków pozostałych po bracie, Nouria podejmuje desperacką próbę włamania, zostaje aresztowana, jest sądzona, a w końcu popełnia samobójstwo. Modyfikacja w stosunku do mitu jest jedna, za to znacząca: niepochoowany

brat jest terrorystą, zapewne winnym śmierci innych ludzi. Hertmans uchyla się jednak od wskazywania winnych, nie wchodzi w niczyje motywacje, nie sakralizuje ofiar po żadnej stronie. To jest właśnie ten nierozwiązywalny konflikt tragiczny. Podczas procesu państwo głosami prawników broni swojego interesu. A w głosie Nourii odzywa się irracjonalna perspektywa odwołująca do bliżej nieokreślonej transcendencji. Ona po prostu żąda pochówku, nie powołując się nawet na islamskie zasady religijne, jeśli już, to na „prastare prawa mojej rodziny”. W takim ujęciu jest opowieścią o niemożliwej do zaleczenia ranie. Nie oferuje pocieszenia i nikogo nie usprawiedliwia. Tak jak dramat belgijskiego pisarza nie udziela odpowiedzi. Rezygnuje z ambicji łatwych diagnoz społecznych, z grania na emocjach i pouczania odbiorców. ©©

**TEATR DRAMATYCZNY
IM. GUSTAWA HOŁOUBKA
STEFAN HERTMANS, „ANTYGONA
Z MOLEENBECK”
REŻYSERIA: ANNA SMOLAR
MUZYKA: JAN DUSZYŃSKI
PREMIERA: 18 KWIEŃNIA 2024 R.
(MAŁA SCENA)**

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY
GŁOŚNYCH
SPRAW
I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE
RELACJE

ROZMOWY
Z EKSPERTAMI
I LUDŹMI
Z WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD
500
NAZWISK
I FIRM

AUTORAMI SĄ
DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE
ŚLED CZY

JUŻ
W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664



PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Przemysłowców
i Pracy



WEI
Wielki Enterprise
Institute



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



BRIEF

Demokracja liberalna w stronę despotyzmu



Olivier Bault

W obliczu narastania społecznego niezadowolenia i wzrostu popularności partii protestu w całej Europie widać dziś, jak bardzo potężnym narzędziem w rękach liberałów są instytucje unijne. System ten ma zostać domknięty za pomocą 267 poprawek do traktatów unijnych przegłosowanych w listopadzie ub.r. przez Parlament Europejski



Trumpana nazista. To opinia „afro-amerykańskiej” lesbijki Aishy Mills z Partii Demokratycznej. Tak określiła byłego prezydenta USA w telewizji CNN na początku października: „Donald Trump czcił nazistów, czcił Hitlera. Donald Trump miał bardzo ponurą filozofię i chciał być dyktatorem [...] Niebezpieczeństwo związane z Donaldem Trumpem polega na tym, że bezwzględnie próbowałby ekstermino-

wać całą grupę ludzi, ponieważ uważa, iż ich geny są w jakiś sposób inne niż jego i wadliwe”.

Mills to szanowana absolwentka Uniwersytetu Harvarda. Często występuje w mainstreamowych telewizjach. Jest autorką wielu raportów politycznych i analiz dotyczących kwestii kulturowych, w których zajmuje się zagadnieniami rasowymi, klasowymi i seksualnymi. W przeszłości piastowała ważne stanowiska w organiza-

cjach związanych z Partią Demokratyczną i była już doradcą politycznym kilkunastu członków Kongresu.

„DEMOKRACJA WALCZĄCA” W WERSJI AMERYKAŃSKIEJ

Porównywanie kandydata Partii Republikańskiej w tegorocznych wyborach prezydenckich do Adolfa Hitlera i przestrzeganie Amerykanów przed nadchodzącą dyktaturą oraz ludobój-



Aisha Mills, amerykańska aktywistka związana z Partią Demokratyczną, nazwała Donalda Trumpa nazistą

FOT. JARED SISKIN/PATRICK MCMULLAN/GETTY IMAGES

stwem w przypadku jego wygranej jest czymś charakterystycznym nie tylko dla radykalnego marginesu, lecz także dla liberalnego mainstreamu. Można by mnożyć przykłady tego typu wypowiedzi w obozie Joe Bidena i Kamali Harris. Na ostatniej prostej przegranej przez siebie kampanii wyborczej sama Harris posługiwała się tą retoryką.

Próby zamachu na Trumpa nie wzięły się znikąd, a skandaliczne zaniechania

służb odpowiedzialnych za ochronę byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych są wyraźnym przejawem „demokracji walczącej”, do której odwołuje się w Polsce Donald Tusk. Dla amerykańskich liberałów najlepiej byłoby Donalda Trumpa w ogóle nie dopuścić do wyborów, a jego wygrana oznacza koniec demokracji i wolności obywatelskich.

Dlatego podobnie jak polska lewicowo-liberalna koalicja „przywracająca praworządność”, a także „przypoitość”, „tolerancję”, „walkę z nienawiścią” i „inkluzywność” po ośmiu latach umiarkowanie konserwatywnych rządów Zjednoczonej Prawicy, amerykańska liberalna lewica próbowała unieszkodliwić przeciwnika ręką upolitycznionych i zideologizowanych prokuratorów i sądów, zanim cały ów tzw. lawfare rozbił się o Sąd Najwyższy. Na szczęście obóz lewicowy w Ameryce, choć coraz głośniej kwestionuje autorytet Sądu Najwyższego, nie odważył się nie uznać jego wyroków. Na szczęście też nie udało się demokratom skutecznie swoich planów w zakresie zwiększenia składu tego sądu, aby móc do niego wprowadzić grupę sędziów stojących po stronie „postępu”, by „przywrócić jego równowagę”. Natomiast ludzie dobrze znający realia amerykańskich wyborów wciąż twierdzą, że oskarżenia o fałszowanie wyników wyborów w 2020 r. w określonych, kluczowych hrabstwach kilku stanów rządzonych przez demokratów nie były bez podstaw.

WOLNOŚĆ WEDŁUG NIEMIECKICH LIBERAŁÓW

W Niemczech tzw. demokracja walcząca także rozwija skrzydła, aby chronić w ich cieniu obóz liberalny. Poparcie dla wszystkich trzech ugrupowań tworzących koalicję socjaldemokraty Olafa Scholza (lewicowej SPD, Zielonych i liberalno-centrowej FDP), razem licząc, spadło do ok. 30 proc. W związku z tym najbardziej prawdopodobny scenariusz po kolejnych (zapewne przyspieszonych) wyborach w Niemczech to powrót koalicji SPD z centroprawicowym blokiem CDU-CSU, który sam może liczyć na ok. 31 proc. głosów.

Tymczasem pomimo zmasowanych ataków medialnych na Alternatywę dla Niemiec (AfD) i przemocy fizycznej, które ofiarami nierzadko padają liderzy i posło-

W Niemczech sędziów mianują rządzący politycy. Na tym tle opowieści o rzekomym zamachu polskiej prawicy na niezawisłość polskich sądów brzmiąłyby bardzo śmiesznie, gdyby nie to, że uzasadniały wstrzymywanie wypłaty miliardowych dotacji unijnych należnych Polsce

wie tej partii, znowu rośnie ona w sondażach. AfD przeciwstawia się polityce masowej imigracji, wyrzekaniu się suwerenności na rzecz Brukseli i przymusowi propagowania ideologii gender. Jest drugą formacją, po bloku CDU-CSU, z poparciem na poziomie ok. 20 proc. i w tym roku po raz pierwszy osiągnęła najlepszy wynik ze wszystkich partii w wyborach samorządowych. Stało się to na początku września w Turynii, gdzie AfD odnotowała poparcie na poziomie 33 proc.

Jak na to reagują rządzący liberałowie? Nieustannie porównują polityków AfD do nazistów, banują ich w mediach, w tym i w mediach publicznych, które powinny być dostępne dla wszystkich, inwigilują ich za pomocą kontrywywiadu, na którego czele stoi polityk CDU i podlegający ministrowi spraw wewnętrznych z SPD, i dążą wprost do delegalizacji tego ugrupowania, reprezentującego bądź co bądź poglądy milionów obywateli. I to pomimo tego, że Alternatywa dla Niemiec nie kwestionuje panującego systemu demokratycznego i nigdy nie próbowała dojść do władzy inaczej niż poprzez wystawianie własnych kandydatów w wolnych, demokratycznych wyborach.

W Polsce również odzywają się w łonie rządzącej koalicji głosy nawołujące do delegalizacji największej partii opozycyjnej, natomiast w Niemczech podjęto już konkretne kroki w tym kierunku. Pod koniec września 40 posłów do Bundestagu z CDU, Zielonych i SPD oraz z postkomunistycznej Lewicy złożyło wniosek o delegalizację AfD. Tekst wniosku

■ przygotował poseł CDU z Saksonii, który przegrał ostatnie jednomandatuowe wybory z kandydatem AfD, lecz dostał się do Bundestagu z puli posłów wybieranych w systemie proporcjonalnym.

Nie wszyscy w rozpadającej się obecnie koalicji rządzącej zgadzają się jednak z takim podejściem. Posłanka FDP Katja Adler np. napisała 29 września na swoim koncie X, że „można odnieść wrażenie, iż zwolennicy zakazu demokracji bardziej się boją, niż się o nią upominają”.

W styczniu sąd administracyjny w Monachium orzekł, że niemiecka agencja wywiadowcza w Bawarii ma prawo monitorować regionalne stowarzyszenie Alternatywy dla Niemiec (AfD) jako podejrzaną grupę ekstremistyczną. Zostało to potwierdzone w drugiej instancji w maju. Teoretycznie AfD może się jeszcze odwołać do Federalnego Sądu Administracyjnego.

Sęk w tym, że sędziów w Niemczech mianują rządzący politycy. Sędziowie są bowiem wybierani przez Komisję Wyborczą Sędziów, w której zasiadają ministrowie krajów związkowych odpowiedzialni za sądy administracyjne oraz taka sama liczba członków mianowanych przez Bundestag, a federalny minister sprawiedliwości jest jej przewodniczącym. Na tym tle opowieści o rzekomym zamachu na niezawisłość polskich sądów w wyniku reform dokonanych przez Zjednoczoną Prawicę w 2017 r. brzmiałyby bardzo śmiesznie, gdyby nie to, że właśnie tymi reformami, a w szczególności zmianą sposobu mianowania sędziów zasiadających w KRS, Bruksela, namówiona do tego przez Donalda Tuska i jego akolitów, uzasadniała wstrzymywanie wypłaty miliardowych dotacji unijnych należnych Polsce aż do momentu zmiany rządu w Warszawie. To samo uzasadnienie stoi dziś za wprowadzaniem w Polsce przez „grupę trzymającą władzę” ustroju tzw. demokracji walczącej zamiast demokracji konstytucyjnej. Po to, by nie można było już powtórzyć eksperymentu z 2015 r., czyli dojścia do władzy polityków o poglądach nieliberalnych.

PAKT RIBBENTROP-MOŁOTOW PO FRANCUSKU

Francuski publicysta Éric Zemmour (wtedy jeszcze nie polityk) głośno potępił w 2019 r., podczas konferencji

pozapartyjnych środowisk prawicowych, sojusz totalitaryzmu islamskiego z totalitaryzmem zachodniej ideologii postępu, które chcą razem zniszczyć Francję i Francuzów, zanim skoczą sobie do gardeł na wzór totalitaryzmów nazistowskiego i sowieckiego po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow. Po tej wypowiedzi został wyrzucony z kilku redakcji, z którymi współpracował. W lutym br. został za tę wypowiedź skazany przez sąd apelacyjny w Paryżu na karę 15 tys. euro za podżeganie do dyskryminacji, nienawiści lub przemocy. Éric Zemmour musiał ponadto zapłacić 1 tys. euro odszkodowania i 2 tys. euro kosztów prawnych czterem stowarzyszeniom „antyrasistowskim”. To charakterystyczne dla Francji, że różnego rodzaju stowarzyszenia finansowane z budżetu państwa mogą występować na drogę sądową przeciw każdemu, kto powie coś, co ich zdaniem łamie prawo. A prawo francuskie, jeśli chodzi o „mowę nienawiści” i pamięć historyczną, jest niezwykle bogate.

We Francji skrajna lewica gotowa jest robić wszystko, aby zdobyć głosy muzułmanów, nawet jeśli oznacza to pójście ramię w ramię z islamistami

Jednak ów Pakt Ribbentrop-Mołotow w wydaniu sojuszu francuskich liberałów z islamem stał się jeszcze bardziej oczywisty, gdy przed drugą turą przyspieszonych wyborów parlamentarnych w lipcu br. obóz liberalny prezydenta Macrona zawarł układ wyborczy ze skrajnie lewicową partią La France Insoumise (Francja Niepokorna) Jeana-Luca Mélenchona, będącą typowym reprezentantem tzw. islamolewicy. Chodzi o tę część lewicy, która jest gotowa robić wszystko, aby zdobyć głosy muzułmanów, nawet jeśli oznacza to pójście ramię w ramię z islamistami. W ten sposób w okręgach wyborczych, w których szansę na wygraną miał kandydat Zjednoczenia Narodowego Marine

Le Pen, kandydaci Macrona ustępowali na rzecz kandydatów Mélenchona lub odwrotnie, w zależności od tego, który z tych kandydatów miał lepszy wynik w pierwszej turze. Sojusz ten miał służyć nie tyle stworzeniu koalicji rządowej, jak to przewiduje ustrój V Republiki Francuskiej, ile zablokowaniu drogi do uzyskania bezwzględnej większości partii Marine Le Pen. W imię, rzecz jasna, obrony demokracji liberalnej przed „skrajną prawicą”.

Warto również dodać, że prezydent Emmanuel Macron nie tylko doprowadził obowiązującą od 1958 r. V Republikę do sytuacji przypominającej kryzys ustrojowy ostatnich lat IV Republiki, lecz także stał się w okresie swoich kadencji, trwających od 2017 r., prezydentem, pod którego rządami zdelegalizowano najwięcej stowarzyszeń i organizacji. Chodzi o kilkadziesiąt takich podmiotów, i to w pierwszej kolejności o organizacje prawicowe, które ani nie nawoływały do przemocy, ani nie prowadziły działań pozaprawnych.

W tym przypadku warto również zauważyć, że francuski ekwiwalent polskiego NSA, czyli Rada Stanu, do której organizacje podlegające delegalizacji mogą ostatecznie się odwoływać, jest organem wolnym od wszelkiej niezawisłości i niezależności sędziowskiej. Członkowie Rady Stanu, najwyższej instancji sądownictwa administracyjnego nad Sekwaną, nie mają nawet statusu sędziów, ale są urzędnikami. Nie są nieusuwalni, a mianuje ich prezydent. Częstą praktyką jest wynagradzanie zasłużonych dla władzy wykonawczej członków Rady Stanu intratnymi posadami w ministerstwach.

Nie miejsce tu na szczegółowy opis francuskich instytucji, ale warto także wspomnieć, że członkowie francuskiej Rady Konstytucyjnej, czyli odpowiednika polskiego Trybunału Konstytucyjnego, nie tylko są mianowani przez prezydenta oraz przewodniczących obu izb parlamentu, lecz także nie muszą mieć nawet wykształcenia prawniczego. Na czele Rady Konstytucyjnej stoi obecnie lewicowy polityk Laurent Fabius, który w momencie mianowania przez prezydenta François Hollande'a był ministrem spraw zagranicznych. W tym czasie Emmanuel Macron

pełnił funkcję ministra gospodarki i przemysłu i spotykał się z Fabiusem na posiedzeniach Rady Ministrów.

W momencie gdy rządząca oligarchia zaczyna odwoływać się do „demokracji walczącej” (czy to w sposób jawny, jak polski premier, czy bardziej skrycie, np. mówiąc o obronie „wartości republikańskich”, jak we Francji), ściśle powiązania najwyższych instancji sądowych z liberalnymi elitami sprawującymi od lat władzę stają się potężnym narzędziem przeciw woli narodu. I tak w ostatnim tygodniu listopada zakończył się wieloletni proces w sprawie zadań powierzonych przez posłów partii Marine Le Pen asystentom opłacanym przez europarlament. Wyrok poznamy dopiero pod koniec marca, ale francuska prokuratura żąda dla nich kary pozbawienia biernego prawa wyborczego na pięć lat z klauzulą natychmiastowej wykonalności. Jeśli tak postanowi sąd, to kandydatka mająca największe poparcie wśród wyborców nie będzie mogła kandydować w następnych wyborach prezydenckich, nawet jeśli odwoła się od wyroku, gdyż najprawdopodobniej nawet wygrana w sądzie apelacyjnym nastąpiłaby dopiero po wyborach. Po skradzionych wyborach w 2017 r., kiedy lewicowy liberał Emmanuel Macron został prezydentem tylko dzięki wyeliminowaniu François Fillona – zwycięzcy prawyborów na neogaullistowskiej centroprawicy, występującego z programem konserwatywnym – przy pomocy upolitycznionych sędziów, zakaz startowania w wyborach dla Marine Le Pen byłby uwięzieniem tego quasi-puczu.

TSUE PRZECIW POLSCE I RUMUNII

W obliczu narastania społecznego niezadowolenia i wzrostu popularności partii politycznych zaklasyfikowanych przez lewicę i liberałów do kategorii „prawicowych populistów” czy „skrajnej prawicy” w całej Europie widać dziś, jak bardzo potężnym narzędziem w rękach liberałów są instytucje unijne. System ten ma zostać domknięty za pomocą 267 poprawek do traktatów unijnych przegłosowanych w listopadzie ub.r. przez Parlament Europejski, które mają, po ich zatwierdzeniu przez unijną radę ministrów w grudniu, zostać omówione na posiedzeniu Rady Europejskiej.

Nowy despotyzm zagrażający demokratycznym narodom wcale nie musi być łagodny

Reforma ta cieszy się bardzo silnym – choć cechującym się brakiem mandatu społecznego – poparciem obecnych władz Niemiec i Francji. Rada Europejska najprawdopodobniej zwoła konwent, który te zmiany może zatwierdzić, a wówczas będziemy świadkami wielkiej operacji nacisku i szantażu wobec tych krajów Unii, które nie będą chciały tych zmian przyjąć. Transfer suwerenności, który za tym pójdzie – w obszarach polityki klimatycznej, przemysłowej i monetarnej, ochrony zdrowia, infrastruktury transgranicznej i ochrony granic, polityki zagranicznej i obronnej oraz polityki rodzinnej i edukacji – sprawi, że demokracja stanie się w krajach członkowskich wymuszką, gdyż o większości spraw będzie się decydowało ostatecznie w Brukseli, Strasburgu czy Luksemburgu (w siedzibie TSUE), z dala od suwerena. Wśród 267 przegłosowanych przez europarlament poprawek znajduje się nawet zapis przewidujący, że decyzje TSUE będą nadrzędne w stosunku do decyzji krajowych konstytucji. Dziś TSUE już zaczął wysuwać takie roszczenie (m.in. w decyzjach przeciw Polsce i Rumunii), ale tymczasem nie ma ono umocowania w traktatach.

RZYMSKA PRZESTROGA

Problemy z demokracją liberalną można obserwować nie tylko w USA i UE. Wydaje się, że jest to zjawisko dotyczące całego Zachodu – nie ominęło np. Wielkiej Brytanii po brexicie czy arcywokeistowskiej Kanady pod rządami Justina Trudeau.

W drugim tomie dzieła „O demokracji w Ameryce”, opublikowanym w 1840 r., francuski myśliciel Alexis de Tocqueville trafnie przewidział, że demokracja liberalna może łatwo przeradzać się w nowy rodzaj despotyzmu. „Wydaje się, że gdyby w dzisiejszych demokracjach społecznych zapano-

wał despotyzm, miałby on odmienne oblicze. Byłby bardziej wszechobecny i łagodniejszy, degradowałby człowieka, nie dręcząc go zbyt. Nie wątpię, iż w naszej epoce oświecenia i równości władcom łatwiej będzie skupić całą władzę publiczną we własnych rękach i częściej oraz głębiej wnikać w prywatne życie obywateli, niż mógł to robić którykolwiek z władców starożytności. Wszelako równość, która toruje drogę despotyzmowi, jednocześnie go osłabia” – pisał de Tocqueville.

Myśliciel nie przewidywał natomiast dwóch zjawisk: rozwoju ideologii totalitarnych i polityki masowej imigracji realizowanej przez liberalne elity. Pierwszy czynnik, tj. rozwój ideologii woke i gender wśród liberałów, powoduje, że nowy despotyzm zagrażający demokratycznym narodom wcale nie musi być łagodny. Drugi czynnik zaś zagraża dobrobytowi zwykłych obywateli i powoduje, że nowy despotyzm demokracji liberalnej zaczyna nadmiernie dręczyć człowieka Zachodu – stąd widmo dojścia do władzy tzw. prawicowych populistów.

Nie przypadkiem we Francji, która jest jednym z państw zachodnich będących w najbardziej zaawansowanym stanie rozkładu, badania opinii publicznej zgodnie pokazują od lat, że rosnący odsetek obywateli (już ok. jednej trzeciej) wolałby żyć w dyktaturze zapewniającej bezpieczeństwo i względny dobrobyt niż w kraju demokracji parlamentarnej w jej obecnym kształcie.

Jak dowodzi belgijski historyk David Engels w książce „Na drodze do Imperium – Kryzys Unii Europejskiej i upadek republiki rzymskiej”, w I w. p.n.e. czynniki takie, jak masowa imigracja, zima demograficzna, upadek obyczajów i utrata tożsamości, doprowadziły do upadku republiki rzymskiej i wyłonienia się dyktatorskiej władzy cesarzy. Dziś jego zdaniem mogą one znów stać się przyczyną końca demokracji. Choć – jak wskazuje Engels – towarzyszyć temu mogą powrót do tradycyjnych wartości i wypędzenie z kręgów władzy liberalnej oligarchii, jak to miało miejsce, kiedy objęcie władzy przez cesarza Augusta położyło kres republice rzymskiej ku uciesze wielu Rzymian.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Centrum Komunikacji Instytutu Ordo Iuris.

W „Do Rzeczy” nr 50/2024 opublikowaliśmy tekst Roberta Bogdańskiego pt. „Manifest szabelkisty”, który był polemiką z opublikowanym tydzień wcześniej tekstem „Szabelkiści za czerwoną linią” („Do Rzeczy” nr 48/2024), w którym Łukasz Warzecha sarkastycznie skomentował pomysły wkroczenia wojsk państw zachodnich na Ukrainę. W poprzednim numerze Łukasz Warzecha odniósł się do polemiki („Szabelkizm szkodzi Polsce”). Dziś publikujemy odpowiedź Roberta Bogdańskiego i ripostę Łukasza Warzechy. Na tym kończymy polemikę na łamach tygodnika

Mogę zamknąć się w domu...



Robert Bogdański

Mam nadzieję, że PT. Czytelnicy doskonale pamiętają tytułowe zdanie, więc nie będę przywoływał, kto to powiedział, aby nie obrażać niczyjej inteligencji. Ten zgrabny cytat zabrzmiał mi w pamięci, gdy czytałem odpowiedź na mój ironicznie zatytułowany, ale całkowicie poważny w treści „Manifest szabelkisty”. Porzućmy jednak ironię, bo sprawa jest poważna. Dotyczy bowiem rzeczy najważniejszej – postawy, jaką przyjmujemy wobec zagrożenia.

Zanim jednak o postawie, najpierw o zdefiniowaniu zagrożenia. Otóż Rosja w oczywisty sposób takim zagrożeniem jest. Chęć odbudowania imperium była wielokrotnie deklarowana przez obecne władze. Co więcej – to jest akurat punkt, w którym Putin i społeczeństwo się zgadzają: mniej więcej połowa ankietowanych Rosjan na pytanie, co czuje w związku z wojną z Ukrainą, odpowiada, że dumę ze swojego kraju. Wolno sądzić, że duma ta jedynie by wzrosła, gdyby na miejscu Ukrainy znalazł się

jakiś inny kraj, np. Polska. Tak się bowiem składa, że pełna odbudowa imperium obejmuje podporządkowanie Polski. Ultimatum przedstawione Amerykanom przez Kreml w 2021 r. przewidywało cofnięcie NATO do stanu sprzed roku 1997, czyli sprzed polskiej akcesji. Takie stanowisko jest obecnie konsekwentnie podtrzymywane przez Kreml. Rosja sformułowała więc cel i rozpoczęła jego realizację przy pomocy środków militarnych. Aby tego nie widzieć, trzeba nie chcieć patrzeć.

MYDLENIE OCZU

Mówienie o tym, że wojna na Ukrainie jest izolowana i nie jest elementem szerszej operacji, czyli że jesteście niezagrożeni dopóty, dopóki fizycznie toczy się z dala od nas, jest zwykłym mydleniem oczu. Samooszukiwaniem, które znakomicie sprzyja przyjęciu postawy, o której wspominałem na początku.



Najogólniej rzecz biorąc, to postawa wycofania się, abdykacji od myślenia o zagrożeniu jako o czymś, czemu należy się przeciwstawić na możliwie wczesnym etapie. W ten sposób dzieci uznają, że uratuje je schowanie głowy pod poduszkę. Z przyjęcia takiej postawy wynikała polityka „appeasementu”, która ostatecznie utorowała drogę do drugiej wojny światowej. Gdyby taką postawę przyjął Izrael po ataku z 7 października 2023 r. (co proponowała mu administracja Bidena), przywódcy Hamasu, Hezbollahu i Iranu planowaliby teraz nowe operacje terrorystyczne, a rosyjskie bazy w Syrii byłyby bezpieczne. Na szczęście w Izraelu siedzą „szabelkiści”, dzięki czemu układ podtrzymywany na Bliskim Wschodzie przez Rosję i Iran sypie się jak domek z kart.

Ja proponuję przyjąć postawę zdecydowania. Polska powinna mieć silną armię i powinna znaleźć swoje miejsce w programie „Nuclear Sharing”, jak tylko pozyska i zintegruje samoloty F-35 zdolne do przenoszenia bomb używanych w tym programie. Rosja powinna od nas otrzymać zdecydowany sygnał, że próba kontynuowania operacji odbudowy imperium spotka się z odpowiedzią militarną. Także – to trzeba wyraźnie powiedzieć teraz, bo potem może być za późno na deliberację – z odpowiedzią polegającą na pomocy zaatakowanym państwom bałtyckim. Które będziemy wspierać we własnym dobrze pojętym interesie. Bywają sytuacje – i w moim przekonaniu

w takiej sytuacji obecnie się znajdujemy – gdy realizacja zawołania „Za wolność waszą i naszą!” jest polityką najbardziej racjonalną.

Wybór postawy będzie brzemieniem w skutki. Przyjęcie postawy samooszukiwania się i udawania, że jakimś (jakimi?) zabiegami można sprawić, że ekspansja Rosji nie będzie dotyczyć Polski, nie zatrzyma odbudowy Imperium. W pewnym momencie jednak staniemy w obliczu jakiegoś kolejnego ultimatum i agresja z hybrydowej – której doświadczamy już teraz – zamieni się w agresję realną. Jeżeli natomiast przyjmimy postawę zdecydowania i wyrzemy (przecież nie sami!) realną presję na Rosję, to nie dość, że możemy zatrzymać jej pochód, to jeszcze być może sprawić, że jej problemy wewnętrzne narosną tak, że dojdzie w niej do zmian. Czy będzie to „rozprucie po szwach narodowościowych”, jak chciałby choćby Janusz Bugajski, autor książki „Upadłe państwo. Przewodnik po rozpadzie Rosji”? Jakakolwiek ewolucja Rosji, która sprawi, że odejdzie ona od koncepcji imperialnej, będzie dla nas pozytywna. Bez zewnętrznego nacisku taka ewolucja się nie dokona.

Na koniec chciałbym nie tyle umieścić uwagę polemiczną, ile wyrazić zdumienie. Polemizując z koncepcją wejścia wojsk sojuszniczych na Ukrainę, mój adwersarz zechciał zdezaszować sygnatariuszy listu w sposób nieco niekonsekwentny. Bo z jednej strony napisał o tym, że część z nich czuje się niezagrożona i dlatego podpisuje, a z drugiej podpisują „oszalesi Bałtowie”, których położenie geograficzne jest „nieciekawe” (uroczy eufemizm!), którzy jednak są zagrożeni. A spryciarze! ©©

Akcja prowokacja?



Łukasz Warzecha

W dyskusjach o wojnie na Ukrainie, polskim udziale w tej oraz układaniu nowego ładu zwolennicy opcji szabelkistowskiej – do których należy pan Bogdański – popełniają niezmiennie ten sam błąd: widzą sprawy zero-jedynkowo, tak jakby nie istniały żadne pośrednie warianty postępowania, a także mieszają ze sobą sytuację, uwarunkowania i punkty odniesienia, które można porównywać tylko częściowo albo wcale.

Dla przykładu: jako rzekomy szabelkizm, będący tak naprawdę postawą rozsądną i jedyną możliwą, pan Bogdański wskazuje Izrael i jego reakcję na terrorystyczny atak Hamasu z października 2023 r. Tyle że sytuacja Izraela – otoczonego przez kraje mniej lub bardziej wrogie, wręcz negujące jego prawo do istnienia, zajmującego w części terytorium okupowane i zmagającego się od dziesięcioleci z arabskim terrorem – jest radykalnie odmienna niż sytuacja Polski. Ostra odpowiedź na zamachy Hamasu nie była przykładem żadnego szabelkizmu, ale standardową reakcją państwa żydowskiego na arabską agresję, wielokrotnie już zresztą przećwiczoną i jedyną możliwą. Porównywanie jej do sytuacji Polski, na większym odcinku swoich granic mającej sojuszników z NATO, nietoczącej wojen od 1945 r. i szczęśliwie nieznażącej na razie aktów terroru, jest kompletnie nietrafne.

Pan Bogdański pisze, że Polska powinna mieć silną

armię. Tego nikt nie neguje. Stwierdza też, że powinniśmy brać udział w programie Nuclear Sharing. Może tak, może nie, sprawa jest do dyskusji, ale ma z pewnością całkowicie odmienny kaliber niż decyzja o użyciu polskich wojsk na Ukrainie, nawet w warunkach zawieszenia broni.

Dyskusja sprowadza się tak naprawdę do dość prostego pytania: Czy powinniśmy wobec Rosji zastosować coś w rodzaju prowokacji – akcji wyprzedzającej? Tylko wyprzedzającej – właśnie: co? Czy pan Bogdański serio uważa, że realny jest pełnoskalowy atak Rosji na kraje sojuszu północnoatlantyckiego, jeśli te nie przekroczą granicy strategicznego bezpieczeństwa, którą wyznacza sobie Rosja? Czy traktuje poważnie rosyjskie postulaty cofnięcia NATO do kształtu sprzed jego poszerzenia o Polskę, Czechy i Węgry (zwłaszcza Polskę)? Dlaczego te akurat, czysto retoryczne w mojej ocenie pokrzykiwania uważa za realną groźbę, ale już najwyraźniej nie ma za taką znacznie konkretniejszych i łatwiejszych do zrealizowania zapowiedzi użycia przez Moskwę taktycznej broni jądrowej, choćby tylko na Ukrainie, w razie gdyby próbowano bardziej namacalnie zagrozić jej bezpieczeństwu? Tak przecież właśnie niedawno została skalibrowana nowa doktryna użycia broni jądrowej przez Moskwę.

Różni mnie z Robertem Bogdańskim ocena faktycznych rosyjskich planów i pożądaną reakcją na nie. Rosja bez wątpienia stara sobie wykroić sferę bezpieczeństwa strategicznego takiego, jak je rozumie, większą, niż miała dotychczas. Czy to oznacza próby zajęcia

krajów bałtyckich albo Polski? Nie. Choćby dlatego, że dla każdego kraju – nawet Rosji – okupacja milionów kilometrów kwadratowych krajów z gruntu wrogich jest zwyczajnie zadaniem nie do udźwignięcia. Oczywiście można twierdzić, że poszerzenie owej sfery strategicznego bezpieczeństwa miałyby się odbyć w inny sposób – poprzez wpływy czy naciski. Tak może oczywiście być. Tylko co w takim razie zmieni zwiększenie ryzyka wejścia z Rosją w kinetyczne zwarenie poprzez wysłanie zachodnich wojsk na Ukrainę? Kompletnie nic. Obrona przed wpływami czy naciskami odbywa się na innym polu i płaszczyźnie, nie poprzez wysyłanie żołnierzy na terytorium konfliktu zbrojnego.

Co więcej – jak piszę w tym samym numerze „Do Rzeczy” w tekście o Polsce w świecie Donalda Trumpa – Polska nie działałaby jako samodzielny podmiot, ale jako podwykonawca ambicji Emmanuela Macrona. Naprawdę chcemy dostarczać mięso armatnie do realizacji mocarstwowych kaprysów francuskiego prezydenta?

Tak – Polska ma się zbroić. Tak – ma aktywnie dbać o własne bezpieczeństwo. Tak – ma wspierać Ukrainę na tyle, na ile możemy to robić bez szkody dla własnego interesu. Nie – nie ma żadnej potrzeby ani powodu, żeby prowadzić coś w rodzaju akcji wyprzedzającej. Tak – powinniśmy minimalizować ryzyko wejścia z Rosją w gorące zwarenie poprzez dążenie do wygaszenia walk na Ukrainie i poprzez trzymanie naszej armii jak najdalej od ukraińskich pól bitewnych czy ewentualnych linii demarkacyjnych. ©©

Liberalizm według Tuska



Jakub Wozinski

Liberalizm w rozumieniu Donalda Tuska już u samych początków jego kariery zapowiadał późniejszy mocno progresywny zwrot oraz faktyczną niechęć do wolności gospodarczej

Termin „liberalizm” przysparza tradycyjnie wiele kłopotów z właściwym zdefiniowaniem. Gdy w latach 80.

Donald Tusk zaczynał karierę działacza i publicysty „Przeglądu Politycznego”, jego środowisko gdańskich liberałów odnosiło go do nieraz skrajnie różniących się postulatów. Co do zasady grono to łączyło przekonanie o konieczności doprowadzenia komunizmu do upadku, lecz w obszarze recept na właściwe ułożenie życia społecznego rozbieżności były już niekiedy bardzo znaczne.

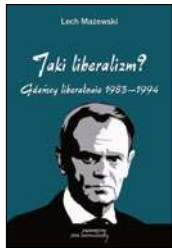
Ów stan toczącej się nieustannie programowej i ideowej dyskusji okazał się niezwykle korzystny dla samego Tuska, który zdołał dzięki niej nieco zakamuflować swoje prawdziwe intencje i poglądy. Sygnalizując przywiązanie do idei liberalnych, które zdecydowana większość solidarnościowej opozycji utożsamiała z wolnym rynkiem i antykomunizmem, przyszły lider Platformy Obywatelskiej od samego początku swojej kariery dążył do realizacji zupełnie innych treściowo postulatów.

OKRUTNY HAYEK

Świetnego materiału źródłowego, umożliwiającego szczegółowe przyjrzenie się obecnemu liderowi „demokracji walczącej” w latach funkcjonowania środowiska gdańskich liberałów, dostarcza wydana niedawno książka Lecha Mażewskiego pt. „Jaki liberalizm? Gdańscy liberałowie 1983–1994”. Opracowań poświęconych trójmiejskiej formacji powstało już całkiem sporo, niemniej jednak zaletą tej pozycji jest to, że jej autorem jest naoczny świadek tamtych wydarzeń i osoba odgrywająca w środowisku jedną z ważniejszych ról.

Liberalizm ekonomiczny w swojej wersji klasycznej głosi, że państwo powinno znacząco wycofać się z gospodarki i przyjąć rolę swego rodzaju nocnego stróża, skupiającego się głównie na ochronie prawa własności i swobody zawierania umów. Już w trzecim numerze „Przeglądu Politycznego” z 1984 r. Donald Tusk występujący pod pseudonimem Anna Barycz gwałtownie przeciwstawił się tej wizji, oskarżając Friedricha Augusta von Hayeka o głoszenie zasad „okrutnego liberalizmu”. Podsumowując swój wywód zatytułowany „Refleksje nad liberalizmem”, pisał: „Można sądzić, że ochronne funkcje państwa, konkurencja i rynek, inicjatywa

FOT. MAREK BANASZKIEWICZ/FOTONIEWS/REPORT



LECH MAŻEWSKI
„JAKI
LIBERALIZM”
WYDAWNICTWO
VON BOROWIECKY
2024

wolnych jednostek i własność prywatna nie wykluczają automatycznie dążenia do społecznego nadzoru nad gospodarką [...]. Mówiąc krótko, racjonalizm liberała jest do pogodzenia z marzeniem socjalisty; dbałość o maksymalizację produkcji i postęp technologiczny nie musi eliminować wrażliwości na ucisk, biedę upośledzonych, nędzę słabszych”.

Młody Donald Tusk promował tym samym swoistą syntezę socjalliberalną, która zdecydowanie więcej wspólnego miała z myślą Johna Stuarta Milla niż z podejściem klasycznych liberałów gospodarczych w rodzaju Smitha czy Misesa. Już w pierwszych numerach „Przeglądu Politycznego” przyszły premier kładł wyraźny nacisk na postęp jako zasadniczy element życia społecznego, „wymagający bolesnego, ale koniecznego ograniczenia swobody jednostki”.

Realizowany współcześnie przez Tuska program polityczny, w którego skład wchodzi bardzo wiele elementów tego rodzaju „bolesnych ograniczeń swobód jednostki” w imię postępu, bywa dziś najczęściej określany mianem lewicowego liberalizmu. Określenie to rzadko jednak pojawia się poza naszym krajem, ponieważ liberalizm uchodzi najczęściej za lewicowy sam w sobie. Historycznie rzecz biorąc, liberałami byli przecież przede wszystkim przeciwnicy koncepcji władzy pochodzącej od Boga oraz wrogowie wyróżnionej roli Kościoła i głoszonych przez niego zasad w życiu publicznym. W Polsce, w następstwie przedziwnego przesunięcia znaczeń wielu różnych terminów, liberalizm został z biegiem czasu zawężony głównie do kwestii ekonomicznych. W efekcie zwolennicy swobód gospodarczych i prymatu własności prywatnej zaczęli się stopniowo określać mianem konserwatywnych liberałów (mimo że oba pojęcia są w znacznej mierze przeciwstawne).

NIEWYGODNY KONSERWATYWNY LIBERALIZM

Jak pokazuje Lech Mażewski, w środowisku opozycji antykomunistycznej dorozumianym wariantem liberalizmu był przeważnie konserwatywny liberalizm. Nie oznacza to oczywiście, że wszyscy

opozycjoniści byli jednomyślni, gdyż część z nich chciała zaledwie reformować socjalizm, lecz dla większości komunizm był zły dlatego, że nie pozostawiając przestrzeni do działania procesów rynkowych, prowadził do nędzy. Panowała przy tym zgodna opinia co do tego, że konieczna jest prywatyzacja, choć przedmiotem sporu było ustalenie jej konkretnego kształtu. Potwierdzały to choćby postulaty gospodarcze NSZZ „Solidarność” z 1985 r., których kształt wskazywał na wielki zwrot w kierunku gospodarczego liberalizmu.

Zupełnie inaczej niż zdecydowana większość opozycjonistów liberalizm rozumiał Donald Tusk, w którego refleksji prymat komponentu „postępowego” nad „rynkowym” rzucał się w oczy od samego początku. Mażewski zwraca uwagę, że środowisko Tuska i gdańskich liberałów nie reagowało z entuzjazmem na fundamentalne zmiany, które wprowadzały w szczególności wybrane elementy II etapu reformy gospodarczej z lat 1987–1988 (które sama władza przyrównywała do epokowych zmian realizowanych w Chinach Deng Xiaopinga). Tusk tłumaczył później, że „jako środowisko odrzucaliśmy zdecydowanie wizję ewolucyjnej i dobrowolnej przemiany władzy komunistów w jakąś wersję prorynkowego oświeconego autorytaryzmu”.

Z perspektywy przyjętej przez Tuska właściwe odejście od komunizmu dokonywało się więc nie w dziedzinie prawa własności i uruchomienia procesów rynkowych, lecz głównie w obszarze polityki społeczno-obyczajowej oraz „unowocześniania” różnych aspektów życia. Odnosząc się negatywnie do „prorynkowego oświeconego autorytaryzmu”, przyszły przewodniczący Rady Europejskiej zdecydowanie zwalczał proponowaną przez część środowiska polskich konserwatywnych liberałów wizję oparcia transformacji na silnych rządach. Promowany przez Tuska „postęp” idei liberalnej wymagał wypracowania nowej politycznej syntezy, czyli – jak się później okazało – ustanowienia wolnej od rozliczeń z przeszłością Republiki Okrągłego Stołu.

Tusk i najbardziej zbliżeni do niego światopoglądowo gdańscy liberałowie byli zwolennikami prywatyzacji, ale za-

częli o niej mówić stosunkowo późno, a na dodatek od samego początku proponowany jej kształt był zaskakująco sprzyjający przejęciu majątku przez uwłaszczającą się partyjną nomenklaturę. Przy okazji zorganizowanego w grudniu 1988 r. pierwszego Gdańskiego Kongresu Liberałów Janusz Lewandowski i Jan Szomburg zaprezentowali koncepcję programu powszechnej prywatyzacji. W przeciwieństwie do innych środowisk opozycyjnych autorzy koncepcji nad wyraz optymistycznie podchodzili do kwestii masowej parcelacji majątku państwowego, zakładając, że wzbogaci on szerokie masy społeczne. Wcielony później w życie w latach 1994–1998 przez pełniące funkcję ministra przekształceń własnościowych Janusza Lewandowskiego program okazał się katastrofą, choć Tusk określił go kiedyś „znakiem firmowym KLD”.

W KLESZCZACH REGIONALIZMU I UNIJNEGO FEDERALIZMU

W poglądach głoszonych przed kilkudziesięciami laty przez obecnego premiera uderza niewątpliwie to, że wraz z demontażem systemu komunistycznego miał się dokonać faktyczny demontaż państwa polskiego jako suwerennego ośrodka władzy politycznej na kontynencie. Nie wypowiadając tego oczywiście wprost, Tusk konsekwentnie dążył do takiego rozstrzygnięcia na poziomie władzy lokalnej oraz struktur międzynarodowych.

W centrum uwagi Donalda Tuska występował przede wszystkim regionalizm, który promował poprzez swoje związki ze środowiskami kaszubskimi. Pozornie przedstawiał się on jako środek służący decentralizacji władzy, lecz w swej istocie poważnie zagrażał jednoci państwa. Proponowany przez gdańskich liberałów zakres samorządu regionów był nad wyraz szeroki, podobnie jak zestaw ustępstw, które przewidywano wobec Wspólnot Europejskich. W dokumencie stanowiącym podsumowanie odbytej w październiku 1992 r. narady Kongresu Liberalno-Demokratycznego w Gdańsku-Sobieszewie stwierdzono, że „niezbędne jest uznanie jurysdykcji ponadpaństwowych trybunałów i innych organów europejskiego systemu praw i wolności człowieka oraz odpowiednie dostosowanie prawodawstwa”. W innym miejscu podkreślano natomiast,

■ że „państwo polskie, przekazując część suwerenności na rzecz wspólnych instytucji, pozostaje ośrodkiem narodowej tożsamości. Proces wchodzenia do europejskiej wspólnoty ojczyzn – trudny, ale nieunikniony i korzystny dla obywateli – jest jednym z najważniejszych problemów politycznych Polski”.

Deklaracja złożona przez KLD nie była gołosłowna, ponieważ to właśnie jeden z jej liderów, Jan Krzysztof Bielecki, tuż przed odejściem z urzędu premiera RP zawarł układ o stowarzyszeniu ze Wspólnotami Europejskimi i państwami członkowskimi. Nie powinno więc dziwić to, że Donald Tusk jako jedna z postaci, która miała tak znaczny wkład w otwarcie procesu integracji europejskiej, chce obecnie go domknąć, przyczyniając się do utworzenia zarządzanego przez Niemców superpaństwa.

W perspektywie Tuska Niemcy od początku były „interesujący partnerem”, a nie wrogiem. W przyjętym w maju 1991 r. na II Krajowej Konferencji KLD programie deklarowano: „Trzeba sobie uświadomić, iż pełne uczestnictwo Polski w strukturach i dorobku cywilizacji zachodniej w ogromnej mierze zależy od dobrasąsiedzkich relacji z Niemcami”. Początkowo partia gdańskich liberałów pozycjonowała się jako współpracownik niemieckiego FDP, lecz we wrześniu 1991 r. została przyjęta do Europejskiej Unii Demokratycznej, zrzeszającej chadeków i konserwatystów. Nawiązano w ten sposób bliższą współpracę z partią CDU oraz Fundacją im. Konrada Adenauera.

STAWANIE SIĘ LIBERAŁEM

Tymczasem w Polsce Tusk i jego środowisko z biegiem lat coraz bardziej dystansowali się od chadeckich idei. Starający się o objęcie przywództwa w KLD Mażewski przekonywał kolegów z partii do pójścia w kierunku bardziej konserwatywno-liberalnym i zawężenia liberalizmu do kwestii ściśle gospodarczych. Zwyciężyła jednak koncepcja Donalda Tuska, który optował za tzw. integralnym liberalizmem, czyli wykraczającym poza samą gospodarkę i obejmującym także (a raczej wyłącznie) obyczajowość, moralność czy kulturę.

Przyszły wiceprzewodniczący Unii Wolności praktycznie już na początku lat 80. był progresywistą. Jego wyraźny dystans do gospodarczych aspektów

liberalizmu oraz próba dokonania syntezy liberalno-socjalnej wynikały wprost z tego, że przyświecała mu nade wszystko idea nieskrępowanej wolności jednostki, wyzwalającej się z ograniczeń, które nakładają na nią Kościół, naród czy państwo. W partyjnym „Biuletynie Informacyjnym” z 1991 r. Tusk pisał: „Każdy z nas poprzez przykład również powinien coraz bardziej stawać się liberałem”. W tym rozumieniu liberalizm to zatem stałe podejmowanie wciąż nowych haseł służących specyficznemu rozumianemu postępowi.

Mażewski pisze: „KLD w okresie kierownictwa Tuska to zapowiedź powstania formacji będącej wyrazem sojuszu ekstremów w jednym celu politycznym, co stanowiłoby swoisty ewenement, gdyż do takiego sojuszu ekstremów rzeczywiście

pewne nadużycie, ponieważ podstawową cechą firmowanego przez niego liberalizmu jest przede wszystkim nieustanne dostosowywanie głoszonego programu do okoliczności politycznych. Gdy Tusk zachęcał do tego, aby każdy „coraz bardziej stawał się liberałem”, miał przede wszystkim na myśli nieustanne uleganie postulatowi lewicowej rewolucji, która w ostatnich latach wyraźnie przyspiesza.

Jeszcze w okresie transformacji ustrojowej obecny premier wskazywał, że ważnym punktem odniesienia są dla niego poglądy Leszka Kołakowskiego, który mówił o sobie, że jest konserwatywno-liberalnym socjalistą. W tym pojęciowym amalgamacie Tusk ukrył nie tylko niechęć do konserwatywnego liberalizmu, rozumianego w Polsce jako zdroworoz-

Donald Tusk nie musi już dzisiaj nikogo udawać ani chodzić na żadne ideowe kompromisy, ponieważ swoją wieloletnią działalnością jak mało kto przyczynił się do erozji konserwatyzmu na polskiej scenie politycznej

dochodzi współcześnie”. Mimo że Tusk czy Lewandowski przekonywali nierzadko, że bliski im był „konserwatyzm w sensie przywiązania do wartości chrześcijańskich”, w praktyce owe wartości były im zawsze nie po drodze. Lider uśmiechniętej Polski bardzo długo kamuflował swój daleko idący progresywizm, ponieważ pragnąc czerpać korzyści z przynależności do solidarnościowego głównego nurtu, nie mógł akcentować wyraźnie lewicowych postulatów. Jeszcze w 2007 r., gdy solidarnościowy konserwatyzm odgrywał wciąż istotną rolę w życiu publicznym, Tusk sfotografował się z rodziną na tle domowego zbiorowiska krzyży i świętych obrazków. Ostatnie lata pozwoliły wreszcie zrzucić wszelkie przebrania i oto naszym oczom ukazało się jego prawdziwe oblicze.

TUSK JUŻ NIE MUSI UDAWAĆ

Donald Tusk nie musi już dzisiaj nikogo udawać ani chodzić na żadne ideowe kompromisy, ponieważ swoją wieloletnią działalnością jak mało kto przyczynił się do erozji konserwatyzmu na polskiej scenie politycznej. Mówienie zaś o ideowości w jego przypadku to

sądkowe i wolnościowe podejście do gospodarki, lecz także zamięłowanie do progresywizmu, który w siermiężnych latach PRL i okresu transformacji wydawał się dość abstrakcyjną ideą.

Z dzisiejszej perspektywy nie sposób nie zadać pytania, czy to Donald Tusk dokonał zdrady idei liberalnej czy raczej środowisko opozycyjne błędnie skontualizowało swoje dążenia, nadając im miano konserwatywnego liberalizmu. Udzielenie wyczerpującej odpowiedzi wymagałoby napisania osobnej rozprawy, ale nie ulega wątpliwości, że Tusk od początku właściwie odgadł ewolucyjny i zmienny treściowo charakter liberalizmu. Jednocześnie przez wiele lat świadomie i cynicznie pasożytniczył na prostodusznym rozumieniu tego pojęcia przez solidarnościowy mainstream, który chciał po prostu obalić komunizm i wyrwać się z nędzy. Tusk wykorzystał konserwatywny liberalizm jako trampolinę do zdobycia władzy, a będąc już u władzy, może wreszcie być takim liberałem, jakim chciał być, czyli bezideowym i ciągle się stającym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

Na początek ćwiczenie na wyobraźnię. Pomyślcie, że jesteście w następującej sytuacji. Przychodzicie rano do pracy, szef zaprasza zespół do salki spotkań, włącza rzutnik i wyświetla prezentację. Na kolejnych slajdach pojawiają się informacje, jak uprawiać seks, jakie są różne rodzaje stosunków płciowych, jak wyrazić zgodę na stosunek, jaką stosować antykoncepcję i jak sprawić partnerowi w łóżku przyjemność. Są i rysunki poglądowe, a nawet animacje. „Nie wiem, czy ktoś z was się masturbuje, ale jeśli tak, to jesteście w normie” – rzuca menedżer do zebranego zespołu. Słuchacie tego, patrzycie po sobie z niedowierzaniem, koledzy dwuznacznym wzrokiem spoglądają na koleżanki, następują momenty niezręcznej ciszy. Spuszczacie wzrok w dół. Nie można wyjść z sali, bo spotkanie zorganizował przełożony i wymaga obecności. Po 45 minutach kończy mówić, zamyka laptopa i pozwala się rozejść.

Ten dzień jest trudny, doświadczyliście z rana silnego stresu, wspomnienie spotkania rodzi dyskomfort, macie problem z jedzeniem, do końca dnia dociągacie na kolejnych filizankach kawę. Wychodzicie po południu z biura, dociera do was, że stała się rzecz nieakceptowalna, i postanawiacie, że nie można tego tak zostawić. Prawnik, pozew o molestowanie w miejscu pracy, dość szybka i prosta sprawa w sądzie, odszkodowanie na koncie. W dodatku zwolnienie dyscyplinarne dla nieprofesjonalnego menedżera. Wyegzekwowaliście swoje prawa.

Sytuacja podobna do opisanego spotkania w biurze będzie się dziać nagminnie, także w sytuacji podległości, choć innej niż służbowa. I także w sytuacji, w której nie przewiduje się sprzeciwu: w szkołach. Nauczyciele będą uczyć dzieci o seksie. I właśnie tam dzieci nie będą mogły w żaden sposób obronić się przed treściami erotycznymi, a wręcz pornograficznymi. Trzeba będzie przyswoić materiał, a następnie zaliczyć przedmiot na ocenę. Projekt rozporządzenia MEN przewiduje np., że w klasach VII i VIII uczniowie nauczą się wymieniać „specjalności zawodowe zajmujące się tematem seksualności człowieka”. Obok ginekologii, urologii, położnictwa i innych pokrewnych działów medycyny dokument

Seks, klimatyzm, tresura



Kaja Godek

Barbara Nowacka wchodzi z butami w miejsca, do których nikt jej nie zapraszał. Chce tresować młodych ludzi tak, aby byli jak najbardziej wygodni dla władzy

MEN wlicza tu także... proktologię (dział zajmujący się chorobami i dysfunkcjami jelita grubego oraz odbytu). Kto nie wie, niech sprawdzi – strona 28 projektu Rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej z 29 października 2024 r.

Zechcecie dochodzić praw swojego dziecka w sądzie? Sprawa będzie ciągnąć się latami, a co ważniejsze, pójść do sądu da się dopiero post factum. Dziecko zatem i tak dostanie najpierw porcję porno wprost ze szkolnego podręcznika i na okrasę pogawędką o seksie w wykonaniu nauczyciela demoralizatora. Ciekawostka: w grudniu 2017 r. w sprawie A.R. i L.R. przeciwko Szwajcarii Europejski Trybunał Praw Człowieka oddalił skargę rodziców siedmioletki, która została w szkole poddana edukacji seksualnej. ETPC stwierdził, że obowiązkowa edukacja seksualna dziewczynki nie naruszała praw ani jej samej, ani jej rodziców.

TABU NIE JEST NICZYM ZŁYM

Barbara Nowacka chce wprowadzić do szkół edukację zdrowotną, która pełna jest treści, których nie chciałyby otrzymać nawet dorośli. Opinia publiczna słyszy

kolejny raz z rzędu, że dzieci mają prawo do wiedzy. A jednak istnieje taka wiedza, co do której dzieci mają prawo, aby nie mieć z nią żadnego kontaktu. Tymczasem ma być ona podana już od IV klasy szkoły podstawowej, i to przymusowo. Nie przewiduje się możliwości zwolnienia dziecka z tych zajęć, a minister oświadcza buńczucznie, że nie obchodzą jej protesty i nie odstąpi od swoich planów.

Instruktaż seksualny to istotny element programu nowego przedmiotu. Tymczasem dosłowna edukacja seksualna nie jest w ogóle człowiekowi potrzebna, w przeciwnym razie ludzie wyginęliby już tysiące lat temu. Sfera płciowości i seksualności sama w sobie nie jest w ogóle obszarem do edukacji, za to z pewnością jest obszarem do wychowania. Człowiek dojrzały zachowuje normy i obyczaje wynikające ze wzrastania w określonych wartościach (także religijnych) i w określonej kulturze. Sferę płciowości i rozrodczości otacza zdrowym tabu.

Warto tu zrobić podkreślenie: tabu jest zdrową normą, tabu nie jest niczym złym. Jest tym elementem, który chroni

to, co cenne, wrażliwe i łatwe do zniszczenia. Podobnie pewien poziom wstydu przed odkryciem swojej intymności jest u człowieka mechanizmem obronnym przed ingerencją z zewnątrz, której skutki mogłyby być szkodliwe dla życia fizycznego i psychicznego jednostki. Nie chodzi oczywiście o to, by mieć niezdrowe zahamowania, ale o to, by właściwie oceniać, co wypada, a co nie, w jaki rejon swojego życia wpuścić osoby postronne (i które), a skąd je zdecydowanie wyprosić. To zdrowy wstyd chroni przed wykrzysaniem seksualnym, bo sygnalizuje, kiedy jakaś granica została przekroczona. Pozbawienie dziecka wstydu ułatwia działanie pedofilom.

SPECJALIŚCI OD „SEKSUALNOŚCI DZIECI”

Tymczasem zwolennicy edukacji seksualnej wiele razy mówią o wstydzie jako o przeszkodzie, którą trzeba pokonać. Co więcej, w zasadzie cała idea nauczania o seksie w szkole jest nastawiona na rozmowę w grupie o rzeczach, o których nie powinno się dywagować publicznie. Odnotujemy, że program edukacji zdrowotnej w ogóle nie przewiduje rozdzielania klas według płci. Wszystkie treści będą serwowane dzieciom w grupach koedukacyjnych.

Być może więc warto wspomnieć, że w co najmniej kilku przypadkach na świecie okazywało się, że architekci edukacji seksualnej byli po prostu pedofilami. Najbardziej znany przypadek to Benjamin Levin, były wiceminister edukacji Kanady, autor programu edukacji seksualnej dla szkół w prowincji Ontario. Levin nie tylko pisał wytyczne dla nauczycieli, seksem dzieci zajmował się naukowo na Uniwersytecie w Toronto, prowadził także poradnictwo w Internecie. Wpadł, gdy jednej z użytkowników na forum doradził, aby zgwałciła własną córkę, a użytkowniczką okazał się pracujący pod przykryciem oficer policji. Warto patrzeć na ręce wszelkim specjalistom od „seksualności dzieci”. Już sam fakt, że nawet niemowlęta i kilkulatki postrzegają oni jako istoty seksualne, które trzeba w tym obszarze rozwijać, musi zastanawiać.

Jednak obsceniczny instruktaż seksualny to tylko jeden z licznych problemów w programie edukacji zdrowotnej.



FOR ADDBE STOCK

Pozbawienie dziecka wstydu ułatwia działanie pedofilom

Oficjalna rządowa narracja mówi, że przedmiot nie przekazuje żadnego światopoglądu. Dawno nie było większej bzdury. Ludzkie działanie, a już szczególnie edukacja i wychowywanie młodego pokolenia nie mogą zaistnieć bez osadzenia w systemie wartości. Jeśli rezygnuje się z jednych wartości, to w ich miejsce pojawiają się inne.

Edukacja zdrowotna to zlepek wielu lewackich pomysłów i narracji, jakie słyszeliśmy w ostatnich latach w debacie publicznej. Przede wszystkim za całą ideą nowego przedmiotu stoi założenie, że dzieci są państwowe. Bo państwo wie lepiej niż rodzice, jak zająć się najbardziej prywatnymi sprawami dziecka, w tym także jak ułożyć jego relacje z rodzicami i najbliższym otoczeniem.

Zdrowie jest specyficznym dobrem osobistym, należącym do sfery najbardziej prywatnej. Jest wartością,

o którą każdy chce zadbać, ale jednocześnie każdy może nieco inaczej rozumieć, co dla niego indywidualnie będzie dobre. Dodajmy, że trendy w ochronie zdrowia są zmienne, a tezy kiedyś obowiązujące bywają obalane przez nowsze odkrycia. W gąszczu różnych informacji należy przede wszystkim nauczyć dziecko krytycznego myślenia, aby było zdolne odróżnić propagandę i reklamę od obiektywnej prawdy. Tymczasem cel edukacji zdrowotnej jest zgoła inny. Nowy przedmiot zawiera zestaw rozwiązań gotowych do zaaplikowania: rób tak, nie rób inaczej. I bądź bezkrytyczny. Znaczna część podstawy programowej to po prostu realizacja interesu biznesowego wielkich korporacji. A także interesu politycznego rządu i instytucji ponadnarodowych.

Uczniowie w szkole mają stać się odbiorcami reklamy preparatów farmaceutycznych. Przewidziane są lekcje o środkach antykoncepcyjnych, uczeń już w klasach VII i VIII ma charakteryzować antykoncepcję „mechaniczną, hormonalną, chemiczną i naturalną”. Ten ostatni termin prawdopodobnie oznacza metody rozpoznawania wskaźników płodności.



Koncentracja na zdrowiu publicznym jest narzędziem sprawowania władzy, co szczególnie jaskrawo uwidoczniło się w trakcie lockdownów przy okazji COVID-19. Kto nie chciał brać udziału we wspomnianym „zorganizowanym wysiłku społeczeństwa”, ten dostawał mandat albo był zwalniany z pracy lub szykanowany w inny sposób. Nauczenie dzieci, że mają podporządkować własne zdrowie idei zdrowia publicznego, jest perspektywiczne. Wystarczy potem ogłosić pandemię i można sterować społeczeństwem, decydując ogólnie o niemal wszystkich aspektach życia ludzi.

OBŁĘD KLIMATYSTYCZNY

Nic dziwnego, że w programie edukacji zdrowotnej znalazło się miejsce także na tematy epidemii i pandemii. Uczniowie będą przygotowywani, że władza – dbając o zdrowie ogółu – może zamykać całe sektory gospodarki, ograniczać prawa i wolności obywatelskie, zwalczać życie kulturalne i religijne. Tak wyedukowany młody człowiek będzie wygodny dla rządzących – i na poziomie rządu krajowego, i na poziomie instytucji ponadnarodowych, które dążą do dominacji na szczeblu globalnym.

„Uczeń wie, na czym polega postawa altruizmu w odniesieniu do zdrowia innych osób, w szczególności rozumie znaczenie i wartość transplantologii komórek, tkanek i narządów zarówno za życia, jak i po śmierci [interpunkcja oryginalna]” – to z kolei wymagania dla uczniów w szkole średniej. Ta postawa „altruizmu” może w przyszłości kosztować dziecko życie. Wszystko dlatego, że w transplantologii stosuje się kontrowersyjne kryterium śmierci mózgowej. Wielu specjalistów, w tym polscy etycy i lekarze (o. dr Jacek Norkowski OP, prof. Jan Talar i inni), bije na alarm, że śmierć mózgowa nie jest żadną śmiercią. To po prostu ustanie części funkcji mózgu, podczas gdy organizm dalej żyje. W sumie

logiczne, bo narządy wycinane z ciała po ustaniu krążenia nie nadają się do przeszczepienia, więc trzeba je pobierać z „ciała” z krążeniem. Znane są przypadki, że osoby w śpiączce, już po stwierdzeniu śmierci mózgowej i podczas przygotowań do pobrania narządów, się budziły. Dwa miesiące temu o takiej właśnie sytuacji w Kentucky w USA informowały media na całym świecie. Trzydziesto-sześcioletek zarejestrowany jako dawca narządów, pozostający w śpiączce po przedawkowaniu narkotyków, zaczął płakać i miotać się na stole operacyjnym chwilę przed operacją pobrania serca. Warto nadmienić, że w Polsce każdy obywatel jest dawcą narządów, o ile sam niełoży sprzeciwu w Poltransplancie. Oczywiście w szkole nikt nie powie dziecku, że trzeba taki sprzeciw złożyć, bo byłoby to sprzeczne z ideą „altruizmu”.

Wciąż mało? To dorzućmy kolejne pomysły MEN. W programie edukacji zdrowotnej jest także o zmianach klimatu. Niektóre punkty wprost mówią, że uczeń ma omawiać zmiany klimatu i podejmować „działania proekologiczne”. Inne przemycają propagandę sprytniej – w dziale dotyczącym zdrowego odżywiania znalazła się m.in. „dieta planetarna”. Jest to sposób żywienia człowieka, który ma na celu ochronę Ziemi. A już od szkoły podstawowej uczeń „uprawia rośliny jadalne w celu przygotowania zdrowych posiłków”. O walorach żywności odzwierzęcej nie ma nic, zgodnie z rekomendacjami C40, „Fit for 55” i innych programów globalnej redukcji spożycia mięsa i nabiału. W klimatystycznym obłędzie to już nie człowiek czyni sobie ziemię poddaną, ale sam ma stać się jej zakładnikiem.

Pomysły Barbary Nowackiej są nie do zaakceptowania w całości. Próby wykreślenia jakichś elementów z programu edukacji zdrowotnej przypominają próby reformy komunizmu. Ten przedmiot nigdy nie może trafić do szkół.

Bo nikt, kto kocha swoje dziecko, nie chce dla niego takiej edukacji. Tymczasem państwo nie kocha dzieci, ale traktuje je jak masę, którą ma zarządzać. Jednak wciąż twierdzi, że wie lepiej niż rodzice, co wtłoczyć dzieciom do głowy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest członkiem zarządu Fundacji Życie i Rodzina, pełnomocnikiem ustaw obywatelskich przeciw aborcji i ideologii LGBT.

Próby wykreślenia jakichś elementów z programu edukacji zdrowotnej przypominają próby reformy komunizmu

Autorzy programu posługują się jednak pojęciem „naturalnej antykoncepcji”, czym zdradzają swoją najgłębszą ignorancję i uprzedzenie ideologiczne.

Już od klasy IV szkoły podstawowej dziecko ma się uczyć, dlaczego należy się szczepić, a trzy lata później ma umieć omówić, czym charakteryzują się „ruchy antyszczepionkowe” oraz jak zidentyfikować „dezinformację” o szczepieniach. W ten sposób tresuje się uczniów do bezkrytycznego patrzenia na produkty farmaceutyczne, których walor profilaktyczny może być różny, a przyjęcie ich powinno być zawsze decyzją świadomą, podejmowaną dobrowolnie, bo przecież niosą ze sobą także skutki uboczne.

Wielokrotnie pada sformułowanie „zdrowie publiczne” (a także „zdrowie środowiskowe”). Oznacza ono uśrednione zdrowie populacji, które jest celem ważniejszym niż indywidualny stan zdrowia pojedynczych osób. Światowa Organizacja Zdrowia szczególnie lubi ten termin i definiuje go następująco: „Zdrowie publiczne to nauka i sztuka zapobiegania chorobom, przedłużania życia i promowania zdrowia przez zorganizowany wysiłek społeczeństwa”.

TOMASZ D. KOLANEK: Czym łatwiej zarządzać: leżącym na kontynencie wielkim państwem, którego powierzchnia jest porównywalna z powierzchnią Europy, czy wyspą oceaniczną wielkości Holandii?

PROF. JAKUB POLIT: O tę kwestię zapytano swego czasu Czang Kaj-szeka. W dużym skrócie: chiński przywódca został zapytany, dlaczego nie mógł niczego dokonać na kontynencie, wszystko mu się z rąk sypało, natomiast udało mu się czegoś dokonać na wyspie. Czang Kaj-szek uśmiechnął się i sięgnął po Biblię. Był on chrześcijaninem, a pod koniec życia katolikiem. Stary i Nowy Testament przeczytał od deski do deski 17 razy.

Skąd to wiadomo?

Ponieważ jako Chińczyk zawsze po zakończeniu czytania stawiał na pierwszej stronie pieczętkę. Wiemy więc, że tyle razy przeczytał Pismo Święte w całości. Do tego trzeba dodać wyrywkowe sięganie po Biblię, ale ile razy miało to miejsce, tego już nie wiemy.

Czang Kaj-szek z łatwością wyszukał fragment Pierwszej Księgi Królewskiej mówiący o tym, że Dawid nie mógł zbudować świątyni z powodu wojen, którymi go otoczyli jego wrogowie. Dawid miał jednak syna – Salomona – który tę świątynię zbudował. Tą świątynią dla Czang Kaj-szeka był Tajwan przekazany synowi, prezydentowi Chang Ching-kuo, który to rzeczywiście stworzył taki Tajwan, jaki dzisiaj znamy. Podwaliny pod to wszystko położył Czang Kaj-szek.

Teraz mówiąc już językiem bardziej oficjalnym i naukowym. Czang Kaj-szek rządził Tajwanem 26 lat. Na kontynencie z kolei sprawował władzę przez niespełna 22 lata, z czego dwie trzecie przypadło na wojnę z Japonią i ostatnią, wielką wojnę domową.

Tajwan jest wyspą bezpieczną w tym sensie, że nikt jej bezpośrednio nie atakuje. Oczywiście groźba inwazji stale istniała i wciąż istnieje, ale desant na razie nie miał miejsca. Kontynent zaś był bezustannie zagrożony ze strony dwóch mocarstw: Rosji i Japonii. Oba groziły zniszczeniem państwa chińskiego. Poza tym nad Chinami kontynentalnymi stale wisiała groźba rewolty – czy to ze strony komunistów dysponujących własną armią, czy to ze strony części własnych sił zbrojnych, będących eklektyczną zbieraniną. Takich problemów nie było na Tajwanie.



Z prof. Jakubem Politem z Instytutu Historii UJ, autorem książki „Pod wiatr. Czang Kaj-szek 1887–1975” rozmawia Tomasz D. Kolanek

Przeegrany zwycięzca



Czang Kaj-szek FOT. DOMENA PUBLICZNA

DLACZEGO KOMUNISCI WYGRALI WOJNĘ Z CZANG KAJ-SZEKIEM

Czasem się mówi, że Juliusz Verne napisał „Tajemniczą wyspę” po prostu po to, żeby dając pięciu rozbitkom do dyspozycji nieprawdopodobnie bogatą wysepkę, pokazać, co człowiek w chwili próby potrafi osiągnąć. Przypominam o tym, ponieważ można rzec, że Tajwan – wyspa trochę większa od Holandii – został dany w ręce przedsiębiorczego zarządcy, aby ten mógł dowieść, co może i potrafi zrobić, jeśli nie jest niepokojony z zewnątrz.

Czy jednak aby na pewno Czang Kaj-szek od początku był „przedsiębiorczym zarządcą”? Był on jednak przede wszystkim rewolucjonistą.

Tutaj należy się zastanowić nad tym, co to znaczy „być rewolucjonistą”. W języku polskim słowo „rewolucja” ma raczej pozytywną konotację, i to co najmniej od XVIII w. U nas rewolucję utożsamiano bowiem z obaleniem obcego, zniechęconego rządu i w związku z tym mówiono np. nie o powstaniu listopadowym, tylko o „rewolucji listopadowej”.

Czang Kaj-szek jak najbardziej był rewolucjonistą, dlatego że rządząc Chinami władzę, dynastię mandżurską, po pierwsze uważano za obcych okupantów. Po drugie – co wzmacniało jeszcze to przekonanie – Mandżurów uważano za plenipotentów obcych mocarstw zarządzających Chinami. Przecież jako wykonawców poleceń obcych mocarstw – choć to może nieco naciągane porównanie – postrzegano i postrzega się również np. władze PRL.

Jeszcze jedno porównanie. Pierwsza i druga dekada XX w. to okres występowania w tzw. Trzecim Świecie rozmaitych „konserwatywnych rewolucjonistów”, czyli ludzi, którzy przeprowadzali odgórne zmiany. Na drugim końcu Azji – w Turcji – był to Kemal Pasza. W Afryce był to Hajle Syllasje, cesarz Etiopii. W Iranie, wówczas jeszcze zwanym Persją, była to dwuosobowa dynastia: ojciec Reza Pahlawi i jego syn. To byli właśnie tego typu „konserwatywni rewolucjoniści”.

Do „konserwatywnych rewolucjonistów” należał również Czang Kaj-szek, w tym sensie, że walczył z przeciwnikami swojego kraju.

Powiedział pan, że jedna trzecia władzy Czang Kaj-szeka w Chinach kontynentalnych przypadła na wojnę z Japonią. Z książki „Pod wiatr” wiem, że

pozostałe dwie trzecie to niekończąca się wojna domowa w Chinach. Wojna każdego z każdym...

Tak, tylko tutaj trzeba zrobić pewną poprawkę. W czasie tzw. nankińskiej dekady 1927–1937 rzeczywiście trwała wojna każdego z każdym. Zapominamy jednak, że Chiny mają rozmiary Europy. W tamtym czasie ogromne obszary Chin, zwłaszcza te najludniejsze, były na swój sposób spokojne, abstrahując od dramatycznej sytuacji ekonomicznej. Tylko niektóre obszary Chin znajdowały się w stanie chaosu i ognia wojny.

Warto natomiast podkreślić tutaj inną kwestię, mianowicie: co robili Czang Kaj-szek i jego bliscy między rokiem 1911, kiedy rozpoczął się proces obalenia dynastii mandżurskiej, a rokiem 1927, kiedy faktycznie stanął on na czele państwa. W tym czasie nastąpiło zjawisko, które skądinąd znamy z krajów afrykańskich i niektórych azjatyckich. Implozja państwa. Faktyczne zawalenie się struktur państwowych. Sytuacja w ówczesnych Chinach

Czang Kaj-szek był politykiem autorytarnym, jednakże nie był aż do czasów tajwańskich prawdziwym dyktatorem

przypominała sytuację współczesnej Somalii, współczesnego Konga czy współczesnego Afganistanu. W Afganistanie reżim talibski ukazał światu coś bardzo szczególnego: to mianowicie, że nawet niesłychanie krwawe rządy są czymś lepszym od braku jakiegokolwiek władzy. Taka sama sytuacja miała miejsce w Chinach w drugiej i trzeciej dekadzie XX w. Wyjątkiem były enklawy zarządzane przez Europejczyków, eksterytorialne dzielnice w Szanghaju, w Pekinie, w Kantonie.

Czang Kaj-szekowi rzeczywiście udało się w myśl zaleceń jego mistrza Sun Yat-sena zjednoczyć kraj zbrojnie i przywrócić kruchą jedność z czasów cesarstwa. Potem dostał on 10 lat, żeby „spróbować czegoś dokonać”. Owe 10 lat Czang Kaj-szeka w Chinach porównać można z osiągnięciami II Rzeczypospolitej. Czy II Rzeczpospolita dokonała czegoś wiel-

kiego, spektakularnego? Z jednej strony można wskazać na budowę miasta i portu Gdyni, na Centralny Okręg Przemysłowy, na ograniczenie w znacznej mierze zjawiska analfabetyzmu, na rozkwit literatury i sztuki. Z drugiej jednak wytyka się, że wzrost przemysłowy nie odbudował sytuacji z roku 1913.

Oczywiście dwudziestolecie międzywojenne na skali świata było okresem gospodarczego zastoju. Nie zmienia to jednak faktu, że stopa życiowa w Polsce była bardzo, bardzo niska, że w Niemczech było więcej samochodów niż nad Wisłą rowerów etc. Przykłady można mnożyć, ale należy robić to we właściwej skali... Chiny Czang Kaj-szeka miały o 10 lat mniej niż my. W okresie nankińskiej dekady 1927–1937 zrobiono bardzo dużo, ale o tym więcej w książce.

Oprócz tego, że w Chinach z jednej strony każdy bił się z każdym, mieliśmy również do czynienia z sojuszami każdego z każdym...

To jest zjawisko charakterystyczne dla państw rozpadłych, państw w zapaści. Chiny są wielkości Europy, o czym nieustannie należy przypominać. Niektórym z tamtejszych watażków udało się zgromadzić wokół siebie kilkanaście, kilkadziesiąt, kilkaset tysięcy ludzi. Żeby zjednoczyć państwo, trzeba więc było żonglować sojuszami i niekiedy zawierać przymierze z dość odrażającymi figurami. Tylko w ten sposób istniała szansa, żeby pobić tych, którzy wydawali się jeszcze bardziej odrażający albo po prostu w danej chwili bardziej niebezpieczni.

Tutaj jeszcze jedna uwaga: Czang Kaj-szek był politykiem autorytarnym, jednakże nie był aż do czasów tajwańskich prawdziwym dyktatorem. Z wieloma figurami w swoim reżimie musiał się bardzo poważnie liczyć.

Można powiedzieć, że rządy wówczas sprawowała kolektywnie Partia Narodowa Kuomintang, a Czang był „pierwszym spośród równych”. Dopiero paradoksalnie na Tajwanie, gdzie rządził znacznie mniej krwawo, znacznie mniej represyjnie, osiągnął pełnię władzy. Było to możliwe, ponieważ wszyscy jego towarzysze w najczarniejszej dla niego chwili, w dniu załamania się władzy na kontynencie, po prostu uciekli gdzie pieprz rośnie, lub przeszli na stronę komunistów. Na kontynencie było inaczej. Utrzymanie

■ się na czele było sztuką i wymagało odpowiedniego żonglowania.

W tym miejscu muszę zadać brutalne pytanie: Komuniści ostatecznie wygrali z Czangiem, ponieważ za mało ich wyróżniał?

W jakimś sensie być może tak. W przypadku tego typu „gdybań” pojawiają się jednak pytania: „Co to znaczy za mało?” i „Ilu powinno się ich wybić?”. Prawda jest następująca: komuniści wygrali wojnę domową z Czang Kaj-szekiem, ponieważ wygrali decydujące bitwy.

Wbrew temu, co sądzi wielu historyków, zwłaszcza anglosaskich, wojna domowa nie jest zbrojnym ekwiwalentem demokratycznego plebiscytu. Nie zawsze ten, kto wygrywa wojnę domową, posiada większe poparcie tzw. mas.

Tutaj zresztą łatwo zastosować prosty papiererek lakmusowy. Jeżeli historyk, zwłaszcza lewicujący, powie, że fakt wygrania wojny domowej oznacza automatycznie, iż zwycięzca miał za sobą słuszność sprawy i większe poparcie, to należy go zapytać: „A co w związku z tym z gen. Franco?”. Wówczas usłyszymy zapewne: „Ach nie, absolutnie nie”.

Niezależnie od tego, jak to było z gen. Franco i jak to było z Czang Kaj-szekiem, trzeba powiedzieć, że zwycięstwo w wojnie domowej jest spowodowane głównie czynnikami wojskowymi, a nie jakimiś posunięciami politycznymi czy społecznymi.

Komuniści w Chinach wygrali, ponieważ w latach 1946–1949 mieli po prostu lepsze wojska. Były one lepiej uzbrojone, a poza tym w decydujących bitwach po prostu liczniejsze.

Wiem, że to, co teraz mówię, jest dokładnym przeciwieństwem tego, co powiadają standardowe podręczniki o komunizmie w Chinach. Czytamy tam, że chłopska partyzantka, dysponująca tylko motyką i karabinem, pokonała uzbrojone po zęby wojska Czang Kaj-szeka. Fakty są jednak następujące: wojska komunistyczne podobnie jak wojska Czanga pochodziły z przymusowego poboru. Były one jednak lepiej uzbrojone niż wojska rządowe, a wygrały nie w wojnie partyzanckiej, tylko w wojnie klasycznej, w wojnie regularnej. O zwycięstwie w każdym ze starć zdecydowało użycie ciężkiej, a nawet bardzo ciężkiej artylerii.



Chińskich komunistów wspierał Związek Sowiecki?

Tak, przy czym to wsparcie nie przypominało jedynie sympatycznego kibicowania. Związek Sowiecki przekazał komunistom właściwie całą broń, której oni użyli w walce, z wyjątkiem broni białej. Była to przede wszystkim broń rozbrojonej przez Sowietów na terenie Mandżurii armii japońskiej, dużo lepiej uzbrojonej niż armia Czang Kaj-szeka. Była to także broń armii japońskiej rozbrojonej przez Sowietów w północnej części Korei. Była to wreszcie broń dawnego Wehrmachtu wzięta przez Sowietów w Europie. Ten ostatni sprzęt pokryty znakami w alfabecie łacińskim, europejskim, demonstrowano często jako zdobyty na Czang Kaj-szeka sprzęt amerykański. W najmniejszym stopniu była to broń pochodzenia sowieckiego.

Ogromna była także rola Sowietów, jeśli idzie o pomoc logistyczną, budowanie dróg, mostów, które częściowo były

zniszczone podczas działań wojennych. Dostarczanie ropy naftowej, sprzętu, wszelkiego rodzaju innych materiałów... Dostarczanie dowódców...

To prawda, że generalicja Czang Kaj-szeka miała wyższe kwalifikacje. Poakończyła renomowane wojskowe szkoły chińskie oraz zagraniczne. Jednakże dowódcy komunistyczni stanowili „zgraną drużynę”, a armię Kuomintangu rozsądzała frakcyjność. Tutaj można przytoczyć dwa cytaty z człowieka, który na prowadzeniu działań wojennych się znał, czyli Napoleona. Pierwszy: „Jeden zły dowódca jest lepszy od dwóch dobrych, którzy sobie nawzajem przeszkadzają”, a takie zjawisko rzeczywiście występowało w tej wojnie. Drugi: „Stado baranów, którymi dowodzi lew, jest znacznie lepsze w działaniu od stada lwów dowodzonych przez barana”.

Wojna domowa w Chinach przyszła po ośmiu latach straszliwej wojny z Japonczykami, kiedy najlepsi dowódcy, najlepsi



Czang Kaj-szek nie mógł liczyć na realną pomoc swych zagranicznych partnerów

FOT. DOMENA PUBLICZNA

podoficerowie i najlepsi żołnierze po prostu wyginęli. Nowi – mimo że skończyli szkoły – nie mieli pojęcia o praktyce wojennej, bo samą wojnę znali tylko teoretycznie.

Czang Kaj-szek w przededniu wybuchu wojny domowej z komunistami był jednym z głównych uczestników rozmów po zakończeniu drugiej wojny światowej. Czy nie był on w stanie zorganizować wsparcia z zagranicy, tak jak zorganizowali je sobie komuniści?

Nie był, ponieważ jego zagraniczni partnerzy nie byli zainteresowani udzieleniem mu pomocy. Warto się zastanowić, kto tak naprawdę był odpowiedzialny za wykreowanie Chin kuomintangowskich na wielkie mocarstwo. Kto załatwił Chinom „papiery wielkiego mocarstwa”, tzn. dzięki komu Chiny otrzymały status stałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ? Kto spowodował, że język chiński jest jednym z urzędowych języków Organizacji Narodów Zjednoczonych?

Kto stworzył Chińczykom realną perspektywę okupacji Japonii? Tym człowiekiem nie był Czang Kaj-szek, tylko prezydent USA Franklin Delano Roosevelt.

Roosevelt umarł jeszcze w trakcie trwania drugiej wojny światowej. Z naszej perspektywy często się wydaje, że umarł kilkanaście dni przed końcem wojny, ale przecież wojna na Dalekim Wschodzie trwała dłużej. Jego następcą, Harry Truman, który wcześniej był wiceprezydentem, Czanga nie znał, a Chińczyków nie lubił. Churchill stracił władzę Wielkiej Brytanii. Z czołowych zwycięzców pozostał w takim razie tylko Stalin, a ten wspierał komunistów.

Pomoc, której udzielił Chinom Roosevelt, była pomocą polityczną. Była ona niezwykle istotna, ale oprócz odpowiednich gestów i papierów Czang Kaj-szek nie otrzymał od USA ani sprzętu, ani pieniędzy. Otrzymał tylko obietnicę sprzętu i pieniędzy, która później w podręcznikach została przedstawiona jako rzeczywista pomoc. Innymi słowy, on nie miał broni, nie miał w rękach aktywów, a bez tego ciężko wygrać wojnę...

Oczywiście Czang miał rozmaite nadzieje. Liczył m.in. na to, że niedługo Japończycy zapłacą ogromne reparacje. No cóż... My, Polacy, też sądziliśmy, że otrzymamy ogromne reparacje. Ponadto Czang myślał, że odzyskana z rąk Japończyków Mandżuria, której produkcja przemysłowa była wyższa niż produkcja całej reszty Chin, będzie istnym sezamem i dostanie tamtejsze kopalnie, porty, park maszynowy etc. Wreszcie liczył on, że z zagranicy napłyną kredyty do Chin jako wiernego sojusznika Narodów Zjednoczonych. Wszystko to okazało się nieprawdą i mrzonką.

Japończycy nic nie zapłacili. Nie będziemy tu mówili dlaczego, bo to temat na oddzielną rozmowę. Mandżuria była zajęta przez Sowieców, a potem kompletnie przez nich złupiona. Sojusznicy nie rozwiązyali swoich mieszkań. Podobnie jak jego polski kolega Józef Beck Czang miał przewidywania racjonalne, ale okazały się one mało realistyczne.

Dlaczego Czang uciekł przed komunistami na Tajwan, a nie np. do Stanów Zjednoczonych bądź na inne terytorium?

Czang nie był człowiekiem, który ucieka z tonącego statku. On zamierzał

walczyć do końca, walczyć i zginąć wśród gruzów, gdyby doszło do inwazji na Tajwan. Zamierzał się bronić na ostatnim skrawku chińskiego terytorium.

Początkowo tym skrawkiem miał być jakiś obszar kontynentu. Konkretnie Xinjiang, Chiński Turkiestan. Turkiestan to dla Chin coś takiego jak dla Sowietów np. Azja Środkowa, czyli część państwa zupełnie odrębna kulturowo. Kiedy Czang chciał się tam ewakuować, otrzymał wiadomość, że Turkiestan poddał się komunistom.

Tajwan z wielu względów był znakomitą wyboją, przede wszystkim dlatego, że jest wyspą. Komuniści nie dysponowali jeszcze odpowiednią flotą. Poza tym Czang zamierzał się ewakuować z tym, co zostało, tzn. z resztkami najlepszych wojsk pozbawionych uzbrojenia, ale z tymi, którzy chcieli jeszcze walczyć, a przede wszystkim z wywiezionymi tamże zasobami złota Republiki Chińskiej. Tu istotna jest pewna anegdota, która wcale nie jest zresztą anegdotą, tylko

Związek Sowiecki przekazał komunistom właściwie całą broń, której oni użyli w walce, z wyjątkiem broni białej

prawdą. Prawdą wyjaśniającą, kim był w rzeczywistości Czang Kaj-szek, który oczywiście miał swoje niezliczone wady i popełniał też czyny, które chluby mu nie przysparzały. Mianowicie: Czang Kaj-szek i jego jedyny biologiczny syn zastanawiali się, czy w sytuacji, w której się wszystko wali, nie byłoby lepiej wysłać rodziny, a więc kobiet, nieletnich dzieci, gdzieś dalej, np. do Singapuru albo nawet do Anglii. Zestawiwszy jednak posiadane przez siebie oszczędności, uznali, że nie stać ich na to. A pożyczyć pieniędzy od Songów, bogatej rodziny żony Czanga, nie pozwalał im honor ze względu na różne zaszłości z poprzednich lat.

Przywłaszczenie publicznych środków nie wchodziło w grę. W rządzie Czanga zasiadywali osobnicy o lepkich rękach, osobnicy mocno skorumpowani, ale nikt, nawet komuniści, nie zarzucali korupcji samemu Czangowi.

Tak więc uciekać nie miał on zamiaru. Zamierzał walczyć do samego końca. Uratował go poniekąd przypadek. W roku 1949, tak jak powiedziałem, komuniści nie mieli środków do zawładnięcia wyspą Tajwan. Ale w roku 1950 wybuchła wojna koreańska i tutaj nawet bardzo niechętny Czang Kaj-szekowi prezydent Truman zrozumiał, że komuniści zagrażają także interesom Stanów Zjednoczonych. A strategicznie położony Tajwan może się przydać Amerykanom. W związku z tym prezydent rozkazał siódmej flocie, by wpłynęła do cieśniny, postawiła stopę w drzwiach między kontynentem a Tajwanem, ratując go od inwazji komunistów. Manewr ten uratował Czang Kaj-szeka i Tajwan, ale jednocześnie uniemożliwił to, co Czang uważał za swoje przeznaczenie życiowe do końca życia, czyli powrót na kontynent i odbicie Chin z rąk Mao.

Niezależnie od tego, czy taki powrót był realny czy nie, bez zgody Amerykanów, którzy patrolowali cieśninę, nie mógł zostać przeprowadzony.

Początkowo w Waszyngtonie nikt nie potrafił sobie wyobrazić, nie tylko w 1945 r., lecz także w 1949 r., tego, co tak naprawdę dzieje się z Państwem Środka. Nie pojmowano, że kraj ten przekształcono w komunistyczne koszary. Sądono, że po prostu Chiny będą się coraz bardziej zapadać, że staną się jakoś gigantyczną Somalią, że pewne ich części będą coraz bardziej grawitować w stronę samodzielnych państw; że być może komuniści urzadzą czerwone państwo w Mandzurii, że stworzą tam jakąś państwowość pod berłem ZSRS – ale nie w to, co się naprawdę stało.

Człowiekiem, który ponosi za to znacznie większą winę niż Truman, jest wysłannik Trumana do Chin, George Catlett Marshall. Ten sam Marshall, którego znamy jako autora planu odbudowy Europy po drugiej wojnie światowej. Marshall był przekonany, że Chiny to po prostu wielka czarna dziura, która dziurą zostanie, że Czang wprawdzie nie pokona komunistów, ale sami komuniści także nie wygrają.

Tutaj pamiętajmy, że Marshall podczas drugiej wojny światowej wyznawał zasadę Germany First, czyli pomoc dla pokonania Niemiec, defensywa na Pacyfiku. W czasie zimnej wojny miał to samo

przekonanie – walczyliśmy o utrzymanie Europy, machamy ręką na Daleki Wschód. To ostatnie okazało się niesłuszne. Generał był przekonany – co podkreślam raz jeszcze – że wprawdzie Czang nie wygra, ale komuniści też nie zwyciężą.

Właśnie dlatego uważano, że sprawa nie wygląda tak źle, jak w rezultacie wyglądała.

Jednakże gdyby nie wsparcie Amerykanów, Tajwan chyba nie stałby się Tygrysem z Dalekiego Wschodu, prawda?

Bardzo trudno jest w historii odpowiedzieć „co by było, gdyby”.

Pomoc, którą „czerwone” Chiny otrzymały od Związku Sowieckiego, była większa niż ta, którą Tajwan otrzymał od Stanów Zjednoczonych. Problem polegał na tym, w jaki sposób tę pomoc zużytkowano. I tutaj mowa chociażby o kapitale ludzkim.

Za czasów Czang Kaj-szeka wysłano wielu studentów do Stanów Zjednoczonych, a także do innych krajów zachodnich. Potem komuniści zachęcali ich do powrotu. Trzeba powiedzieć, że znaczna część tych ludzi po prostu wolała pozostać w USA z przyczyn zrozumiałych, materialnych. Ale znaczna część jednak wróciła na kontynent. Może nie dlatego, że wybierali komunizm. Może nawet nie dlatego, że obawiali się, iż Tajwan padnie.

Na kontynencie były ich domy, były ich rodziny, była ich przyszłość. Żaden tam nie zrobił kariery. A były tych ludzi tysiące. Natomiast wszyscy byli represjonowani.

Natomiast spośród tych, którzy wybrali Tajwan, wszyscy, dosłownie wszyscy otrzymali wysokie stanowiska rządowe, a jeden z nich został premierem. Czyli tutaj potrafiąco właściwie inwestować.

Pamiętajmy także o czymś innym. Pomoc Stanów Zjednoczonych otrzymali rozmaite kraje. W ostatnich latach także Afganistan i Irak. Czy kraje te wyrosły na drugi Tajwan? Chyba jednak nie. Czy w momencie, kiedy się rzecz rozpoczynała, były one znacząco biedniejsze od Tajwanu? Irak na pewno nie. Było to państwo naftowe, posiadające zresztą pewnego rodzaju kadrę po zagranicznych studiach odbytych m.in. w Polsce. Mało tego, dochód na głowę w dolarach amerykańskich na Tajwanie i na kontynencie był również podobny. Czyli niezmiernie niski.

Nikt nie twierdzi, że Czang posiadał jakąś szerszą wiedzę ekonomiczną. On po prostu umiał sobie dobierać odpowiednich współpracowników, a sam nie szkodził.

Czy można zaszkodzić bardziej własnemu narodowi i gospodarce, niż to zrobił Mao Zedong? Odpowiedź jest



Czang Kaj-szek (z prawej) ze swoimi oficerami, 1932 r.

FOT. NAC

prosta. Nie można, a nawet jeśli, to się to w historii ludzkości jeszcze nie zdarzyło.

Czy Tajwan jest oddzielnym państwem czy nie jest?

Tajwan nie jest oddzielnym państwem i nikt tego nie głosi, także sam Tajwan. Owszem, są na Tajwanie ugrupowania polityczne utrzymujące, że on takim państwem powinien być zostać, a do zdania tego przychyła się też może opinia publiczna. Sprawa jest teoretycznie łatwa do zrozumienia, ale niełatwa do opisania słowami.

Oficjalna nazwa Tajwanu brzmi Republika Chińska. Jest państwo demokratyczne, gdzie u władzy zmieniają się rozmaite ugrupowania, ale nazwy tej nie zmieniono. To jest Republika Chińska i nic innego.

Rzecz przypomina pamiętany jeszcze przez starsze pokolenie Polaków problem podziału Niemiec. Przez długi czas, choć Niemcy jako pojęcie były jedno, istniały dwa państwa w Niemczech, a każde z tych państw, przynajmniej do pewnego okresu – dopóty, dopóki się nawzajem nie uznały – utrzymywało, że jest jedyną prawną formą państwowości niemieckiej.

Pamiętajmy, że pęknięcie między Tajwanem a kontynentem wynosi nie 75 lat, licząc od roku 1949, ale praktycznie już lat 130. W latach 1894–1895 Japończycy oderwali Tajwan od Chin i przez pół wieku zarządzali nim jako swoją kolonią. Jedynie przez cztery krótkie lata, w okresie 1945–1949, ten sam reżim rządził po obu stronach Cieśniny Tajwańskiej. Dorosło tam pokolenie – a raczej kilka – bardzo od Chińczyków z kontynentu różne. W jakim sensie Tajwańczycy są jeszcze dzisiaj Chińczykami? Kiedy w roku 2000 pisałem swoją „Historię Chin w XX wieku”, to jeszcze wywodziłem, że w jakimś szerszym kontekście to oni Chińczykami są. Dzisiaj tego już nie jestem tak pewien. Są oni Chińczykami w takim sensie, w jakim – powiedzmy – Amerykanie, Australijczycy, Kanadyjczycy są Anglosasami, uczestnikami wspólnej kultury anglosaskiej. Ale państwowości już nie.

Natomiast, jak rozumiem, pan się mnie pytał o istniejący stan prawny, a nie o to, co myślą sobie 23 mln mieszkańców Tajwanu...

Inaczej: Dlaczego Czang Kaj-szek nie ogłosił niepodległości, nie założył nowego państwa? Wydaje mi się, że sytuacja Tajwanu wtedy byłaby dużo łatwiejsza.



Plakat propagandowy z czasów wojny z komunistami
FOT. HOOVER INSTITUTION LIBRARY & ARCHIVES

Czang Kaj-szek był Chińczykiem urodzonym na kontynencie. Dla Tajwanu nigdy nie biło jego serce. To tak, jakby pan nagle po wojnie dostał się jako uciekinier na wyspę Wolin i postanowił ogłosić Wolin osobnym państwem.

Czang Kaj-szek, jego rząd, jego ministrowie, jego urzędnicy, jego żołnierze, 2 mln ludzi, którzy przybyli na Tajwan, to byli ludzie z kontynentu, którzy z kontynentem czuli się związani. Zadawali pytanie: A po co mamy tutaj sadzić pomidory? Przecież następnego roku na wiosnę to my będziemy już na kontynencie. Oni w zasadzie ciągle uważali, że siedzą na walizkach, i dopiero trzeci prezydent insularnej Republiki Chińskiej, Li Teng-hui, pierwszy rodowity Tajwańczyk na tym stanowisku, zaczął się oswajać z myślą, że może na tej wyspie zostaną jednak dłużej.

Ale mówiąc krócej i mniej wyrafinowanie, Czang Kaj-szek nie mógłby ogłosić niepodległości Tajwanu, bo to by znaczyło, że jego walka o kontynent, że jego walka o Chiny nie miała żadnego sensu. Że jest on tylko uchodźcą politycznym, który chce sobie założyć rząd, jak kapitan Jack Sparrow, jakąś małą wysepką i tam prowadzić jakieś groteskowe rządy. Nie, przenigdy, absolutnie nie. Serce Czanga nie biło dla Tajwanu, choć zrobił dla niego bardzo wiele.

Czang Kaj-szek ostatecznie wygrał czy przegrał?

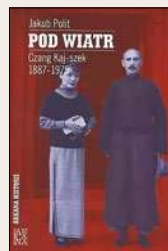
Zasadniczo można powiedzieć, że swoją walkę w sensie wojskowym przegrał całkowicie, ponieważ nie zrealizował swojego snu. Tym snem było odbicie kontynentu.

I on rzeczywiście na to czekał. Nie pozwolił się pochować, tzn. nie pozwolił, żeby jego ciało złożono w ziemi. Spoczywa w sarkofagu. Sarkofag stoi na małych kółeczkach i czeka. Tak jak zwłoki gen. Sikorskiego czekały stale na powrót do Polski niepodległej, tak zwłoki Czanga są przygotowane do pochowania w jego rodzinnej wsi po odbiciu kontynentu. Po tym, jak święty obowiązek zniszczenia komunizmu i odwojowania kontynentu zostanie wykonany.

Natomiast można powiedzieć, że w szerszym sensie, i to nie w tym wyśmiewanym często w Polsce, moralnym, Czang odniósł zwycięstwo. Jest taka praca napisana przez byłego ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Waszyngtonie w czasie wojny, Jana Ciechanowskiego, o bardzo wymownym tytule: „Przegrani zwycięzcy”. O tym, że Polacy stoczyli wojnę, która się zakończyła zwycięstwem, ale wyszli z niej pokonani. Chodzi oczywiście o drugą wojnę światową.

Aleksander Pantsov napisał nie tak dawno biografię Czang Kaj-szeka pt. „Zwycięzca w klęsce” („Victorious in Defeat”). Czang stworzył niezwykle państwo na Tajwanie, które stało się wzorem dla wszystkich w Azji, także dla komunistów chińskich. Deng Xiaoping, który po śmierci Mao Zedonga przejął władzę, mówił do swoich współpracowników, że w zasadzie przykładem jest dla

nich Tajwan, że muszą zrobić to samo, a nawet być od niego lepsi. Było to przyznanie się do bankructwa dotychczasowych 25 lat przy władzy. Bo czym innym jest stwierdzenie, że aby osiągnąć sukces, trzeba robić to, co robi przeciwnik? I niewątpliwie te Chiny, które dzisiaj widzimy, Chiny nowoczesne na kontynencie, nadal usiłują naśladować czy wręcz małpować Czang Kaj-szeka, a nie Mao Zedonga. Pod tym względem Czang rzeczywiście odniósł zwycięstwo.



JAKUB POLIT
„POD WIATR.
CZANG
KAJ-SZEK
1887–1975”
ARCANA 2024

PIOTR WŁOČZYK: Lwowsy radni zdecydowali niedawno o postawieniu w mieście pomnika Romana Szuchewycza. Kogo chcą w ten sposób upamiętnić?

MAREK A. KOPROWSKI: Według optyki wielu Ukraińców z zachodniej części kraju – męczennika i bohatera narodowego, który oddał życie za ojczyznę. Jego kult od lat jest propagowany na zachodzie Ukrainy. W samym Lwowie ma już swoją ulicę i płaskorzeźbę na ścianie szkoły. Do niedawna we Lwowie działało też muzeum Szuchewycza – stworzone w domu, w którym zginął w obławie NKWD – ale Rosjanie zbombardowali je w 2023 r. W wielu innych miastach na zachodzie Ukrainy widać upamiętnienia Szuchewycza. Ale już na wschodzie kraju ten kult nie jest tak żywy, ponieważ był narzucony przez władze w Kijowie.

Polska powinna stanowczo protestować, wykorzystywać wszystkie swoje przewagi w relacjach z Ukrainą, by nie dopuścić do budowy pomnika. Postawiony w prestiżowym miejscu we Lwowie może stać się centralnym miejscem kultu tego zbrodniarza.

Ukraińcy nie chcą słyszeć o takiej ocenie Szuchewycza.

Niestety, mało kto na Ukrainie mówi prawdę o tym dowódcy UPA. Elita rządząca miastem i obwodem uważa, że nie można mu niczego zarzucać, bo był ukraińskim bohaterem. A jeżeli już ktoś ma przeproszać, to raczej Polacy za „okupację” obecnej zachodniej Ukrainy. Natomiast, jak możemy usłyszeć od przedstawicieli ukraińskich elit, nawet jeżeli doszło do jakichś mordów, to stało się tak w wyniku „wojny polsko-ukraińskiej”. Ukraińcy starają się przedstawiać mordy na polskiej ludności Wołynia i Małopolski Wschodniej jako równoważne z polską kontrakcją, ale tu nie ma żadnej symetrii. Ludobójstwa dokonali Ukraińcy, a polskiego odwetu nie można rozpatrywać w takich kategoriach.

Szuchewycz walkę z Polską rozpoczął od pracy dla Niemiec – był w końcu agentem niemieckiej Abwehry. Ten fragment jego życiorysu nie jest chyba specjalnie podkreślany na Ukrainie?

Tamtejsi historycy uważają, że Szuchewycz wszystko to robił, mając jeden jedyny cel – wolną, niepodległą Ukrainę. Jako młody chłopak został ujęty przez polski kontrwywiad, gdy robił zdjęcia lotniska pod Lwowem. Szuchewycz był

Roman Szuchewycz,
1944 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Z Markiem A. Koprowskim, autorem książki „Rozkaz mordować Polaków. Roman Szuchewycz – krwawy dyktator OUN-UPA” rozmawia Piotr Włoczyk

Kat Małopolski Wschodniej

jednak bardzo sprytny i władze polskie niewiele mogły mu udowodnić. I dlatego dostał tylko dwuletni wyrok w procesie 23 członków Krajowej Egzekutywy OUN. Według prof. Grzegorza Motyki Szuchewycz był jedną z trzech osób, które podjęły decyzję o zamordowaniu Tadeusza Hołówki, zwolennika ugody polsko-ukraińskiej. Tacy ludzie jak Hołówko byli najgroźniejsi dla ukraińskich nacjonalistów, ponieważ tych ostatnich nie interesowała żadna ugoda z Polakami. Niestety, służbom II RP nie udało się powiązać Szuchewycza z tym zamachem.

Wspominał pan, że Szuchewycz był bardzo sprytny. Nie da się ukryć, że miał też spory talent organizacyjny.

To była postać na swój sposób wybitna. Szuchewycz nie był zwykłym rzeźmieszką. Pochodził z prawniczej rodziny, studiował na Politechnice Gdańskiej i Politechnice Lwowskiej. Dodatkowo Niemcy zapewnili mu edukację w czymś na kształt akademii wojskowej. Szuchewycz był pod względem intelektualnym właściwie równorzędny Banderze. I miał podobne wpływy w ukraińskim ruchu nacjonalistycznym.

Dla Niemców był po prostu narzędziem, które we właściwym czasie miało pomóc podpalić południowo-wschodnią Polskę.

Szuchewycz miał działać na rzecz Niemców w przypadku ataku na Polskę. Niemcy, jeszcze przed wybuchem wojny z ZSRS, przyjęli na terenie Generalnego Gubernatorstwa 30 tys. nacjonalistów ukraińskich, łącznie z Szuchewyczem, i zapewnili im szkolenie. W Krakowie w 1940 r. utworzona została banderowska frakcja Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów – tzw. OUN-B. W kierownictwie, obok Bandery, zasiadali też Jarosław Stečko i właśnie Szuchewycz.

Niemcy utworzyli przed atakiem na ZSRS dwa bataliony – „Nachtigall” oraz „Roland” – składające się w większości z Ukraińców. Miały się one stać, w planach oounowców, zaczątkiem ukraińskiej armii. W dowództwie tego pierwszego znalazł się Szuchewycz (był zastępcą głównodowodzącego por. Hansa-Albrechta Herznera).

Po wybuchu wojny z Sowietami ukraińscy nacjonaści z „Nachtigall” wkroczyli do Lwowa, gdzie – jak wynika z róż-



nych źródeł – byli najprawdopodobniej zaangażowani w eksterminację polskich profesorów i Żydów. Dziś nacjonalistyczni historycy ukraińscy zaprzeczają temu, ale jednak dowody na to są solidne, również te wysuwane przez środowiska żydowskie.

Szuchewycz dostał od Bandery rozkaz, by zainstalować we Lwowie ukraiński rząd. Oczywiście była to inicjatywa nieuzgodniona z Niemcami. Powstanie tego rządu zaskoczyło niemal wszystkich, również abp. Andrzeja Szeptyckiego. Niemcom nie mieściło się w głowie, że Ukraińcy mogą powołać rząd i proklamować niepodległość bez zgody Berlina. Szuchewycz zabezpieczał tę operację częścią batalionu. Kluczowe było zajęcie przez te siły lwowskiego radia, dzięki czemu deklaracja „poszła w świat”. Niemcy dość szybko jednak rozpędzili ukraiński rząd i aresztowali jego członków.

Ukraińcy z obu batalionów odmówili w związku z tym walki, jednak zanim do tego doszło, zostali skierowani z okolic Lwowa na wschód, gdzie walczyli z Sowietami, a także mordowali napotkanych Żydów. Szuchewycz dostał wtedy Krzyż Żelazny.

„Nachtigall” działał tylko pół roku, ale to nie był koniec służby Szuchewycza w niemieckim mundurze.

Jego „rodzimy” batalion został wycofany z walki i przeniesiony na Dolny Śląsk. Następnie połą-

czono oba ukraińskie bataliony i zamieniono je w oddział policyjny przeznaczony do ochrony tyłów.

Tak powstał 201. batalion policyjny, w którym służył Szuchewycz. Został on oddelegowany na Białoruś na zaplecze frontu niemieckiego w celu zwalczania sowieckich partyzantów. Sprowadzało się to głównie do pacyfikacji wsi. Przez ten batalion przeszło wielu późniejszych dowódców UPA, którzy mordowali ludność polską na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. To właśnie w tym oddziale zdobywali swoje „kwalifikacje”.

Ukraińscy historycy wybielają oczywiście historię 201. batalionu, „kuźni” upowskich kadr, twierdząc, że jednostka ta skupiała się na bronieniu przed partyzantami obiektów strategicznych, takich jak mosty, i walczyła tylko z Sowietami. To nieprawda.

Gdy banderowcy szykowali się do wymordowania polskiej ludności na Wołyniu, Ukraińcy z 201. batalionu odmówili przedłużenia kontraktu na służbę, w związku z czym Niemcy rozformowali jednostkę w styczniu 1943 r. Wielu jej członków zasilło następnie szeregi UPA i przystąpiło do ludobójczych mordów na Polakach z Wołynia.

Jednak sam Szuchewycz nie ponosi odpowiedzialności za rozpętanie mordów na Wołyniu?

Nie, to akurat nie było jego „dzieło”. Ludobójstwo zainicjował dowódca UPA na Wołyniu, Dmytro Klaczkiwski ps. Kłym Sawur. Gdy rozpoczynały się przygotowania do mordów na Wołyniu, Szuchewycz był jeszcze na Białorusi w 201. batalionie.

W sierpniu 1943 r. Szuchewycz stanął na czele UPA.

I uratował wtedy jedność UPA. W ramach środowiska ukraińskich nacjonalistów trwała wtedy dyskusja, czy odciąć się od zbrodni na Wołyniu. Niektórzy twierdzili, że przelanie rzeki krwi skompromituje walkę o wolną Ukrainę. Szuchewycz stwierdził, że należy ocenić sytuację na miejscu i dopiero potem wyciągnąć wnioski. Dowódca UPA pojechał więc na półtora miesiąca na „objazd” Wołynia. To, co zobaczył, wprawiło go w zachwyt.



MAREK A. KOPROWSKI
„ROZKAZ
MORDOWAĆ PO-
LAKÓW. ROMAN
SZUCHEWYCZ
– KRWAWY
DYKTATOR
OUN-UPA”
REPLIKA 2022



Tablica pamiątkowa Romana Szuchewycza na fasadzie polskiej szkoły we Lwowie

FOT. STANISŁAW KOSIEDOWSKI WIKIPEDIA CC BY-SA 3.0

■ Stwierdził, że Kłym Sawur zrobił kawał dobrej roboty i jego metody należy przenieść do Małopolski Wschodniej.

Czyli na południe – na tereny przedwojennych województw: lwowskiego, tamopolskiego i stanisławowskiego.

I dlatego krew dziesiątek tysięcy Polaków zabitych w Małopolsce Wschodniej już jak najbardziej obciążała jego sumienie. To Szuchewycz osobiście nadzorował wymordowanie Polaków żyjących na tamtych ziemiach.

Ta zbrodnia znalazła się niejako w cieniu Wołynia. Dlaczego?

Ponieważ ludobójstwo na Wołyniu było pierwsze i szok związany z tamtymi wydarzeniami przykrył wszystko inne. Inna sprawa, że w Małopolsce Wschodniej Polaków było więcej i przeprowadzenie ludobójstwa było tam trudniejsze niż na Wołyniu.

Istotną różnicą były też obawy banderowców w kwestii reakcji Niemców. Tereny Małopolski Wschodniej nie były włączone, jak Wołyń, do Komisariatu Rzeszy Ukraina, lecz stanowiły część GG.

Wołyń był Niemcom względnie obojętny, ponieważ był to teren właściwie bez przemysłu, do tego słabo zaludniony i pozostający niejako na uboczu, ale już w znacznie lepiej rozwiniętej Małopolsce Wschodniej chcieli mieć spokój. Mieścili się tam większe garnizony niemieckie, a także stacjonowali Węgrzy sympatyzujący z Polakami.

Niemcom zdarzało się zachowywać wobec Ukraińców bezwzględnie – potrafili wziąć zakładników ze wsi, z których pochodzili banderowcy. I jeżeli zbrodnie na Polakach się powtarzały, to rozstrzelali tych ludzi. Inna sprawa, że zbliżał się front i Niemcy nie mogli sobie pozwolić na chaos na zapleczu.

Ukraińcy starali się zmylić tropy i w Małopolsce Wschodniej tworzyli tzw. samoobrony, więc formalnie UPA tam nie działała. Natomiast w rzeczywistości tamtejszych Polaków mordowała UPA, tyle tylko, że działająca pod inną nazwą. W środowisku ukraińskich nacjonalistów słychać było pewne głosy krytyczne wobec eksterminacji sąsiadów, ale Szuchewycz twierdził, że nie zejdzie z tej drogi.

Wraz z końcem wojny rozpoczęła się jego legenda obrońcy ukraińkości przed Sowietami.

Szuchewycz przygotował UPA do walki z Armią Czerwoną. Kłym Sawur na Wołyniu nie akceptował schodzenia do podziemia, np. był przeciwny budowaniu schronów. Tymczasem w Małopolsce Wschodniej właściwie w każdej wsi budowano schrony. Nierzadko uciekający oddział UPA nagle „rozpływał się” we wsi. Dopiero gdy na miejscu pojawiały się wyspecjalizowane oddziały NKWD, udawało im się wyciągnąć upowców dosłownie spod ziemi. Nawiasem mówiąc, dla siebie samego Szuchewycz przygotował całą masę dobrze wyposażonych schronów.

Szuchewycz realnie kierował UPA do 1946 r. dopóty, dopóki działały duże oddziały zbrojne. Gdy Sowietci zlikwidowali je i w ich miejsce powstały małe grupki, lepiej przystosowane do przetrwania w terenie, Szuchewycz już realnie nie dowodził, choć był niewątpliwie symbolem oporu. Zajmował się wówczas głównie ukrywaniem się i wysyłaniem komunikatów propagandowych – UPA żyje, UPA walczy. Banderowcy starali się podtrzymać na Zachodzie przekonanie, że w wypadku wybuchu trzeciej wojny światowej Ukraińcy wystawią na tyłach Sowietów półmilionową armię. UPA miała na Zachodzie cały sztab ludzi, na czele z Bandera, którzy dbali, by do bojówek płynęły pieniądze.

Szuchewycz wyspecjalizował się w uciekaniu przed NKWD.

Czasem wręcz zachowywał się prowokacyjnie, chcąc zagrać Sowietom na

nosie. Na przykład wtedy, gdy pojechał do sanatorium w Odessie. Moskwa do poszukiwania go zaangażowała swoich najzdolniejszych ludzi, m.in. gen. Pawła Sudopłatowa. Przeczesał on 420 wsi – od piwnic do dachów. W tamtym czasie Szuchewycz był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w całym ZSRS. Pętla coraz bardziej zaciskała się wokół jego szyi.

Gdy Sowietci na przełomie lat 1945 i 1946 przeprowadzili przy użyciu 140 tys. żołnierzy tzw. wielką zimową blokadę, oddziały wojska wkroczyły do niemal każdej wsi na Ukrainie, sprawdzając gruntownie cały teren. Upowcy nie mieli skąd brać jedzenia, odcięto ich od pomocy medycznej. Poza tym Sowietci dokonywali też masowych aresztowań wśród Ukraińców. Jeżeli wiedzieli, że ktoś poszedł do UPA, to całą rodzinę wsadzali za kratki.

Sowietci byli zainteresowani podjęciem rozmów. Chcieli, by Szuchewycz wyprowadził resztę bojów z lasów i powiedział im, żeby poszli na współpracę z władzami. Odbłyły się rozmowy, choć Szuchewycz osobiście nie brał w nich udziału. Gdy jednak nic z nich nie wyszło, Kreml nakazał zintensyfikować poszukiwania Szuchewycza.

Jak wyglądał jego koniec?

Dowódca UPA zginął 5 marca 1950 r. – miał wtedy 42 lata. „Sprzedał” go jedna z łączniczek, wskazując podlwowską miejscowość, gdzie się ukrywał. Na temat jego śmierci krążą dwie wersje: banderowska i sowiecka. Według tej pierwszej Szuchewycz walczył jak bohater, ale gdy zobaczył, że już nie ma szans, zastrzelił się, aby uniknąć pojmania. Według sowieckiej zginął od serii z pepeszy wystrzelonej przez sierżanta, młodego Ukraińca. Jego zwłoki zostały spalone i rozrzucone w rzece. Sowietci nie dali mu grobu, by nie tworzyć miejsca kultu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek A. Koprowski

– dziennikarz, reporter, pisarz zajmujący się zbrodniami wobec Polaków w trakcie drugiej wojny światowej. Autor wielu książek o rzezi wołyńskiej i mordercach z UPA, m.in. „Rozkaz mordować Polaków. Roman Szuchewycz – krwawy dyktator OUN-UPA”.

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



SKANDALIŚCI II RP

Ekscesy polskich gwiazd – alkohol łat się tu strumieniami, a rzadkie przypadki abstynencji tylko potwierdzały regułę. Elity artystyczne przedwojennej Polski szokowały swoimi ekscesami

Pożary serc – w obozie piłsudczykowski pełno było skandali obyczajowych, zaczynając od samego Marszałka, który miał spore doświadczenie w zarządzaniu równoległymi związkami

Czarni przeciw czarnym – gdyby nie współpraca afrykańskich pośredników z handlarzami z Europy, nigdy tak wielu ludzi zakutych w kajdany nie trafiłoby za Ocean Atlantycki

Poszukiwanie arcydzieł Matejki – latem 1945 r. grupa polskich muzealników przemierzała ówczesny polski Dzik Zachód wśród sowieckich maruderów i niedobitków z Wehrwofu

Drakula na tronie – życia Włada Palownika nie trzeba już niczym ubarwiać. Prawdziwa historia krwawego hospodara przeraża bardziej niż gotyckie opowieści o wampirach

Najdziwniejsza wojna świata – wysłanie wojsk na drugi kraniec świata wiązało się z wielkim ryzykiem, ale Margaret Thatcher nie mogła opuścić mieszkańców Falklandów

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Partyzant

Kapitan Zygmunt Ojrzyński „Stefan Czarniecki”, „Obarski”, „Ostaszewski” nie jest szerzej znany, a szkoda, bo to postać ze wszech miar godna upamiętnienia. Przedwojenny prawnik (absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego), wiceprokurator Sądu Okręgowego w Białymstoku, następnie wybitny konspirator w Warszawie. Podczas wojny obronnej 1939 r. miał przydział do sądu polowego. Konspirację zaczynał w Związku Jaszczurczym, od 1942 r. był w Narodowych Siłach Zbrojnych, w niewralicznym miejscu. Stworzył wywiad i kontrwywiad w Komendzie Okręgu Warszawa. Z uwagi na przedwojenną działalność przeciwko komunistom szybko dostrzegł zagrożenie ze strony PPR i GL-AL jako sowieckiej agentury. Rozbudował struktury tego pionu, sięgając do wnętrza tych organizacji, co dawało znakomite rezultaty, przede wszystkim ochronne wobec istotnego zagrożenia.

Na prośbę ze strony Delegatury Rządu na Kraj, która nie miała odpowiednich kadr do obsadzenia pionu śledczego, skierowany został przez Dowództwo NSZ do współtworzenia konspiracyjnych struktur Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa w Ekspozyturze Urzędu Śledczego „Start”, pełniąc w nim kierownicze funkcje. Zabrał ze sobą większość podległych sobie ludzi z NSZ. Ta ścisła współpraca (również w tej dziedzi-

nie) zadaje kłam obiegu opinii, jakoby te organizacje były nastawione do siebie wrogo. Celem Ekspozytury było zwalczanie powszechnego bandytyzmu, w tym szantaży, wymuszeń i szmalcownictwa. Miała ona również zadania wywiadowczo-likwidacyjne, czyli ochronne wobec Polskiego Państwa Podziemnego.

Ojrzyński był też w Kierownictwie Walki Cywilnej, mając nadzór nad Komórką Likwidacyjną. Otrzymał przydział do Batalionów Szturmowych.

Do wybuchu powstania warszawskiego „Start” przeprowadził sto kilkadziesiąt dochodzeń z podległego sobie zakresu. Wiele z nich zakończyło się wyrokami śmierci orzeczonymi przez Cywilny Sąd Specjalny. Część z nich była zlecana do wykonania m.in. odpowiednim strukturom NSZ, mimo braku formalnego podporządkowania się tej organizacji.

W powstaniu wziął udział w Obwodzie VI Praga, ale tam nie było warunków do prowadzenia szerszej działalności i walczący powrócili do konspiracji. Ojrzyński ze swą grupą przeszedł do działalności partyzanckiej, na terenie Grochowa i Saskiej Kępy, nękając w następnych tygodniach Niemców i ich kolaborantów.

Po wojnie w 1949 r. został aresztowany i skazany na karę śmierci. Zaważyła nad tym m.in. jego działalność w NSZ. Został zamordowany 2 stycznia 1953 r. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Finansowe kulisy „Trylogii”

Na „Ogniem i mieczem” Sienkiewicz zarobił umiarkowane pieniądze. Honorarium za druk w warszawskim „Słowie” wyniosło łącznie 800 rubli (ok. 9,6 tys. euro), identyczną sumę guldenów zapłacił krakowski „Czas” (ok. 8,5 tys. euro). Pewne kwoty przyniosły także wydania książkowe, jednak – jak na ogromny sukces powieści – dochody były niewielkie.

Przekłady zagraniczne nie dawały natomiast prawie żadnych pieniędzy, gdyż normalną praktykę stanowiły pirackie tłumaczenia – przekładał i wydawał właściwie każdy, kto chciał. Jakiegokolwiek honoraria zależały tylko od dobrej woli wydawnictw zagranicznych, a na ogół nikt nie płacił, jeśli nie musiał.

Sienkiewicz wiedział, że jego zarobki związane są wyłącznie z rynkiem polskim, ale i tutaj były problemy. Kilka lat później wydawca, który dostał od „Słowa” licencję na wersję książkową „Potopu”, miał zgodę na wydrukowanie 3 tys. egzemplarzy, a podobno sprzedał prawie cztery razy tyle i nic więcej nie zapłacił. Nie powinno zatem dziwić, że zdegustowany Sienkiewicz twierdził, iż nawet w kraju wszyscy na nim zarabiają, a on dostawał tylko sześć rubli (72 euro) za jeden odcinek.

Oczywiście nie było aż tak źle, gdyż druk „Potopu” jednocześnie ze „Słowem” (pierwszy odcinek ukazał się 23 grudnia 1884 r.) rozpoczęły „Czas” i „Dzien-

nik Poznański”. Oznaczało to, że książka ukazywała się w prasie wszystkich zaborów, a pisarz otrzymywał honoraria od trzech wydawców. Nie wszyscy jednak płacili na czas, a najczęściej spóźniali się słynący z uczciwości i porządności Wielkopolanie...

Gdy jednak ukończył „Potop”, mógł wreszcie postawić własne warunki. Zgodził się na napisanie „Pana Wołodyjowskiego”, ale zażądał od „Słowa” 8 tys. rubli (prawie 100 tys. euro) honorarium. Co więcej – połowę otrzymałby natychmiast, i do tego w markach niemieckich, gdyż ruble miały niestabilny kurs. Wprawdzie wydawcy narzekali, że pisarz zażądał wkrótce wypłaty w brylantach, ale przystali na jego warunki. Nie mieli zresztą wyboru, bo Sienkiewicz był istną kurą znoszącą złote jajka i nic dziwnego, że zamierzał wreszcie zarobić godziwe pieniądze. Plan ten ułatwiło mu to, że ostatnią część „Trylogii” – tak jak w przypadku „Potopu” – drukowały równocześnie (od czerwca 1887 r.) także „Czas” i „Dziennik Poznański”, które zapłaciły zbliżone kwoty.

Niedługo później za prawo do odcinkowej publikacji „Bez dogmatu” Sienkiewicz zażądał – i otrzymał – 12 tys. rubli (ponad 140 tys. euro). Książka ta była zresztą znacznie mniej obszerna niż poszczególne części „Trylogii”, ale to Sienkiewicz stawiał teraz warunki. ©©

Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~771~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

IWONA KIENZLER:

„ŻONY I KOCHANKI KOMUNISTÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

293,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 478zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpmg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl aff7f20c57

To już w Niemczech tradycja. W III Rzeszy dla Gestapo (Geheime Staatspolizei) pracowały tysiące donosicieli. Ilu ich było dokładnie na terenie Niemiec i państw okupowanych, tego się raczej już nie dowiemy. 12 października 1944 r. MSW Rzeszy nakazało zatrzeć ślady zbrodni. Dokumenty zniszczono. Tylko na jednej liście, sporządzonej przez krakowski kontrwywiad AK we wrześniu 1944 r., znalazło się 686 agentów. Spadkobiercą tradycji III Rzeszy okazała się Niemiecka Republika Demokratyczna. Dla Stasi – odpowiednika Gestapo – pracowało 180 tys. etatowych donosicieli. To historyczny, światowy rekord.

Dopóki nowa Republika Federalna Niemiec pozostawała państwem bez przymiotnika „Demokratyczna”, dopóty armia konfidentów policji politycznej (Federalny Urząd Ochrony Konstytucji) nie była aż tak potrzebna. Wszystko się zmieniło z chwilą wejścia na drogę postępowej demokracji liberalnej. Neostalinizm wymaga bowiem nowego podejścia do kwestii obrony systemu politycznego. Z ochroną państwa wyłącznie. Na czym ono polega, najlepiej dowiemy się ze strony internetowej stróża liberalnej demokracji: „Przeciwko mowie nienawiści w Internecie – Respect!”. Znak graficzny: różowa, pięciopromienna gwiazda. Dla niektórych podobieństwo do innej – czerwonej – gwiazdy to pewnie zwykły przypadek. Czy Respect! to jakaś lewacka strona w Internecie bez większego znaczenia? Nie całkiem. Każdy może tam podać swój e-mail i opisać „zbrodnię”, której ścigania się domaga. To prawdziwy aparat cenzury, lecz pod inną nazwą. Pawlik Morozow pewnie żałuje, że urodził się za wcześnie.

PORTAL Z GWIAZDĄ

Od 2017 r. z możliwości złożenia donosu na sprzeczne z liberalną demokracją treści skorzystało 74 570 konfidentów. Ich nadgorliwość jest godna podziwu i wskazuje na potencjał rozwoju w przyszłości. 20 841 zgłoszeń poskutkowało wszczęciem postępowań przez organy państwa niemieckiego, co nie bez dumy podkreślają administratorzy Respect! Piszą oni: „Internet nie działa w przestrzeni wolnej od prawa. Podżeganie i polityczne groźby pozostają karalne także w sieci.

Na portalu Respect! każdy może opisać „zbrodnię”, której ścigania się domaga

FOT. MELDESTELLE-RESPECT.DE



Donosiciel filarem demokracji



Jan Bogatko z Berlina

Rząd Niemiec chce skorzystać z donosicieli jakoby w celu szybszej likwidacji zabronionych treści w mediach społecznościowych. Jednak to tylko wstęp do wprowadzenia aparatu cenzorskiego pod inną, łatwiejszą do akceptacji nazwą

Apelujemy do wszystkich, którzy w Internecie napotykają kierujące się nienawiścią komentarze i chcą temu w jakiś sposób przeciwdziałać”.

Oczywiście pojęcie „komentarze kierujące się nienawiścią” rozumie każdy liberalny demokrat, nie musi nawet zaglądać do Wikipedii. Kiedy takiego napotyka, wypełnia rubryki donosu i wysyła na stronę Respect! prowadzoną przez Fundację Młodzieży Badenii-Wirtembergii. W tym momencie rozpoczyna się rola państwa, któremu Respect! służy: „W przypadku naruszenia niemieckiego prawa Respect! wnioskuje do operatora sieci o usunięcie

publikacji. Autorzy karalnych, podburzających treści są konsekwentnie zgłaszani władzom”.

Państwo realizuje niekonstytucyjną funkcję cenzora. Artykuł 5 niemieckiej ustawy zasadniczej (konstytucji) stanowi bowiem (ust. 1.): „Każdy ma prawo do swobodnego wyrażania i rozpowszechniania swoich poglądów w mowie, piśmie i obrazie oraz do nieograniczonego uzyskiwania informacji z powszechnie dostępnych źródeł. Gwarantuje się wolność prasy oraz wolność relacjonowania za pośrednictwem radia i filmu. Nie ma cenzury”. Tymczasem rząd Niemiec chce

skorzystać z donosicieli jakoby w celu szybszej likwidacji zabronionych treści w mediach społecznościowych. Ale to tylko wstęp do wprowadzenia aparatu cenzorskiego pod inną, łatwiejszą do akceptacji nazwą.

Jaką? Na przykład Federalna Agencja Sieci. Jej szefem jest Klaus Müller. Zanim oficjalnie zaczął regulować wolność słowa w Republice Federalnej, pracował w branżach związanych z energią elektryczną, gazem, telekomunikacją, pocztą, a także koleją. Jasne, z cenzurą ma to przecież niewiele wspólnego. Tymczasem w październiku tego roku Federalna Agencja Sieci zakomunikowała, że Niemcy mają „zaufanego donosiciela” (Trustet Flagger) w postaci... Respect!, owej lewackiej centrali donosicieli na nieprawomyślne treści w Internecie. Orwell by tego lepiej nie wymyślił! Federalna Agencja Sieci poinformowała na swojej stronie, że zadaniem owego „godnego zaufania donosiciela” jest przeglądanie Internetu pod kątem problematycznych treści w rodzaju „terrorystycznej propagandy” oraz szybko i niebiurokratycznie usuwanie ich z sieci.

Ale zaraz z ust prezesa Klausa Müllera dowiadujemy się, że owa „terrorystyczna propaganda” to termin obejmujący wszystko, co się rządowi nie podoba. Zwłaszcza treści zawierające „nienawiść” i „fake newsy”. Oczywiście o tym, co jest ową nienawiścią czy fake newsem, orzeka portal z czerwoną gwiazdą. Terminy te są wygodnym narzędziem do rozprawy z politycznymi przeciwnikami. Problem polega jedynie na tym, że w niemieckim prawie brakuje jakichkolwiek przepisów karnych sankcjonujących „nienawiść” czy podawanie „nieprawdziwych wiadomości”. W ten sposób niejako tylnymi drzwiami w zjednoczonych Niemczech wprowadza się państwową cenzurę, która przed zjednoczeniem działała w NRD. Wszystko pod hasłem realizacji unijnego prawa Digital Services Act mającego służyć zwalczaniu nielegalnych treści w Internecie.

Cytowana wyżej norma artykułu 5 niemieckiej konstytucji, wywodząca się z czasów „demokracji bezprzymiotnikowej” w Republice Federalnej, a zatem stanowiąca anachronizm w „liberalnej demokracji”, jest jednoznaczna i nie da się jej inaczej interpretować: „Nie ma cenzury” (tym zdaniem kończy się konstytucyjna norma). To kategoryczne stwierdzenie wyklucza dy-

wagacje w rodzaju „tak, jak my to rozumiemy”. Klaus Müller cenzury wprowadzić nie może. Chyba że chce świadomie naruszyć niemiecką konstytucję. Dopóki obowiązuje art. 5 ustawy zasadniczej, dopóty Müller naraża się na odpowiedzialność karną, o politycznej nie wspominając. Dzisiaj jedynie sąd może w Niemczech decydować o tym, które treści są karalne, a które nie. To policja decyduje o wnioskach dotyczących znieważań lub pomówień. Nie jakaś strona internetowa, nawet najbardziej wiarygodna. To byłaby uzurpacja. A obserwatorzy zwracają uwagę, że politycznie wyraźnie ukierunkowany portal Respect! z Badenii-Wirtembergii z uwagi na brak neutralności wiarygodny nie jest.

Kto finansuje portal Respect!? Przede wszystkim rząd bawarski, a także federalny resort do spraw rodziny, seniorów, kobiet i młodzieży. Na jego czele stoi polityk Zielonych, Lisa Paus. Wszyscy znają metody, którymi aktywiści partii Zielonych zwalczają przeciwników. Punkty do składania donosów, jak portal Respect!, reklamujące się jako placówki społeczeństwa obywatelskiego do spraw zwalczania mowy nienawiści, to po prostu wspierany przez administrację państwową aparat cenzury.

Cofnijmy się do czasów pandemii koronawirusa. Nauczyły one wielu Niemców (i nie tylko), jak należy traktować informacje. Ocena polityczna informacji wysunęła się wówczas na pierwszy plan. Rząd ingerował w różny sposób na doniesienia medialne na temat wirusa, szczepionek lub przebiegu choroby. Często opatrywano je – ot tak, na wszelki wypadek – wskazówką: „Aktualne naukowe informacje znajdują państwo w Federalnej Centrali Oświaty Zdrowotnej”. Po co to wszystko? Oczywiście chodziło o eliminację opinii niezgodnych z kursem oficjalnym rządu w Berlinie. Tak jak od października wykorzystuje się w Niemczech lewicowy portal Respect!, tak podczas pandemii koronawirusa rządowi Niemiec w walce z dezinformacją (to znaczy z publikacjami krytycznymi wobec rządu) pomocą służył finansowany przez niemieckiego podatnika kontrowersyjny portal Correctiv.

Dzisiaj Niemcy wiedzą, że dla świętego spokoju lepiej trzymać język za zębami. Podział społeczeństwa staje się z każdym dniem bardziej wyraźny. Z tzw. indeksu wolności, corocznej ankiety instytutu

badania opinii publicznej w Allensbachu oraz Media Tenor, wynika, że wprawdzie poczucie wolności wśród Niemców rośnie od zakończenia pandemii, ale nadal 48 proc. z nich owej wolności nie dostrzega. Mniej niż połowa Niemców jest zdania, że w Niemczech panuje wolność słowa (badania z 2024 r.). Wprawdzie po latach pandemii Niemcy czują się dzisiaj bardziej wolnymi (wówczas zaledwie 36 proc. uważało się za wolnych!), ale to się szybko może zmienić po sukcesie demokratycznego centrum donosicielstwa.

DEMOKRACJA PO NASZEMU

Stacja telewizyjna i rozgłośnia radiowa SWR (redakcje w Baden-Baden, Moguncji i Stuttgarcie) wpadają w bezgraniczny zachwyt, mówiąc o wzroście uprawnień w walce z mową nienawiści. O tym, że uprawnienia te są sprzeczne z prawem, ani słowa. SWR zachwyca się, że już od 2017 r. pięciu aktywistów strony internetowej uznanej przez Federalną Agencję Sieci za „Trusted Flagger” walczy z mową nienawiści. Przychodzi im to tym łatwiej, że sami (bez udziału sądu, co byłoby wymogiem prawnym w RFN) definiują to, czym jest mowa nienawiści. Według klucza: z czym my się nie zgadzamy, to właśnie mowa nienawiści.

– Ludzie, którzy natrafią na mowę nienawiści w sieci lub poza nią, mogą się do nas zwracać. My zbadamy, czy naruszono prawo karne, i skierujemy sprawę do właściwych urzędów – mówi Petra Densborn, prezes zarządu Fundacji Młodzieży Badenii-Wirtembergii w rozmowie z SWR KULTUR. Rozgłośnia jest zachwycona zwłaszcza skróceniem postępowania. Czy w demokracji wyrok nie musi wydawać sąd? Densborn zwraca uwagę, że celem działania jest wzmocnienie demokracji. Codziennie do Respect! trafia ok. 90 donosów – informuje SWR.

Nowe uprawnienia Respect! są solą w oku prawicy – ubolewa SWR – która to prawica (np. magazyn on-line [tichyseinblick.de](https://www.tichyseinblick.de)) zarzuca towarzyszom wprowadzanie cenzury. Na wszelki wypadek Densborn podkreśla, że wcale nie chodzi jej o tłumienie politycznych poglądów: „Nie zajmuję się cenzurą. Naszym zadaniem jest wzmocnienie demokracji, a nie denuncjowanie innych”.

Oczywiście takiej demokracji, jak oni ją rozumieją.

Ezoteryczny Wschód

Na ośnieżonej polanie, wokół ogniska, stoją w kręgu młode kobiety w mnisich kapturach i wypowiadają magiczne zaklęcia. W tle słychać mroczną muzykę. Nagranie przedstawia rytuał „bojowych magów Rosji”, mający na celu doprowadzenie do zdjęcia sankcji i przybliżenie zwycięstwa w „specoperacji”. Jest to też podjęcie walki z „ukraińskimi wiedźmami”, które jakoby pomagają swoim żołnierzom na froncie. Film został opublikowany w marcu 2023 r. na Telegramie rosyjskiego portalu informacyjnego Mash. Według sondażu Centrum Lewady, przeprowadzonego w kwietniu 2022 r., 27 proc. Rosjan wierzy w Królestwo Niebieskie, a 29 proc. – w skuteczność rzuconego uroku czy w tzw. złe oko (ros. sglaz – wiara w to, że złe spojrzenie może zrobić komuś krzywdę). Tendencja w obu wypadkach jest raczej wzrostowa. W 2015 r. w niebo wierzyło 11 proc. Rosjan, a w czary – 15 proc.

Stereotyp o „uduchowionych Rosjanach” ma w sobie ziarno prawdy. Owszem, Rosjanie są bardzo dalecy od „zgniłego Zachodu” z jego racjonalizmem czy ateizmem. Ale nie dlatego, że są głęboko religijni, tylko dlatego, że są głęboko przesądni. Wiara w niebo jest na podobnym poziomie co wiara w czary, ale już pod względem uczestnictwa w konkretnych praktykach okultyzm wygrywa z chrześcijaństwem. Około 66 proc. Rosjan to prawosławni. Tyle że ledwie kilka procent regularnie chodzi do cerkwi, a 43 proc. (jak informuje Centrum Lewady) nie chodzi nigdy. Natomiast w 2024 r. aż 39 proc. Rosjan korzystało z pomocy wróżki.

MAGICZNE MYŚLENIE

Po czarną magię chętnie sięgają również Ukraińcy. Według sondażu przeprowadzonego przez Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii (KMIS) na przełomie lutego i marca 2024 r. 35 proc. Ukraińców wierzy w astrologię, 25 proc. w zdolność jasnowidzenia, 15 proc.



Maciej Pieczyński

Więcej Rosjan korzysta z usług wróżek, niż chodzi do cerkwi. Ulubiona wiedźma Putina trafiła za kraty, ale popularność okultyzmu rośnie. Również na Ukrainie. Po obu stronach frontu „walczą” czarni magowie

– w tarota. Wojna doprowadziła też do wzrostu religijności, ale tylko chwilowego. Według badań Centrum Razumkowa odsetek wierzących wzrósł z 68 proc. pod koniec 2021 r. do 74 proc. w listopadzie 2022 r., jednak rok później znowu spadł do 70,5 proc.

Zapotrzebowanie na magię i przepowiednie jest związane z poszukiwaniem leku na niepewność jutra, która towarzyszy zarówno Rosjanom, jak i Ukraińcom. W Rosji czarna magia używana jest też w biznesie. Poważne firmy z branży IT zapraszają tarocistów na rozmowy kwalifikacyjne albo w ogóle zatrudniają ich jako specjalistów w działach kadr. Pracodawcy sięgają po magię, żeby znaleźć dobrego pracownika, a potencjalni pracownicy – żeby dostać pracę. Na rynku popularność zyskuje nowa usługa – przygotowanie do rozmowy z tarocistą z działu kadr. Konsultacje przeprowadzają... również tarociści.

Od 2007 r. na antenie rosyjskiej telewizji TNT emitowany jest show „Bitwa ekstrasensów”. Ekstrasens to po rosyjsku ktoś, kto posiada zdolności paranormalne. Uczestnicy „teleturnieju” wykonują różne zadania, wymagające takich właśnie zdolności. Przede wszystkim pomagają organom ścigania rozwikłać tajemnicze zagadki kryminalne. Popularność „Bitwy ekstrasensów” wzrosła po inwazji na Ukrainę. Trzeba jednak pamiętać, że show jest rosyjską wersją brytyjskiego programu „Britain’s Psychic Challenge”. Analogiczne „bitwy ekstrasensów” organizowane są w wielu innych krajach. W tym – na Ukrainie. W kwietniu 2024 r. zwyciężczyni ukraińskiej edycji

przepowiedziała, że do końca maja na froncie dojdzie do „niezwykle ważnego wydarzenia”. Tym razem jej „zdolności paranormalne” się nie sprawdziły... Z kolei finalistka rosyjskiej „Bitwy ekstrasensów” Każetta Achmetżanowa wróży rychłe zakończenie wojny rozmowami pokojowymi, a także wzrost międzynarodowego znaczenia Rosji. Ukraińskie media wciąż cytują przepowiednie molfarów (huculskich czarowników), choć czasem przy tym podkreślają, że należy do tego podchodzić jak do ciekawostki, a nie jak do naukowej prognozy.

Okultyzm kwitnie w Internecie. Jeden z najpopularniejszych rosyjskich ekstrasensów, Wład Czerewatyj, może pochwalić się ponad milionem subskrybentów na YouTube. Prowadzi też własny show w telewizji TW-3 – „Ekstra taxi”. Wciela się w rolę ekstrasensa taksówkarza, który wozi pasażerów po ulicach Moskwy i pomaga im w różnych problemach. Jednej kobiecie podpowiada, czy powinna zdecydować się na poważną i niebezpieczną operację. Innej „odkrywa” tajemnicę śmierci bliskiej osoby. A młodej parze doradza, jak uniknąć rozstania na tle zazdrości... Zdolności nadprzyrodzone odkrył dzięki traumie z dzieciństwa. Jego ojciec dużo pił i pewnego razu bardzo brutalnie pobił syna. Według słów Włada demon imieniem Tolik zaproponował mu przekląć swoich bliskich, wyrzec się wiary i płacić mu pieniądze, w zamian oferując zdolności magiczne. Czerewatyj się zgodził.

Z kolei zamieszkały w Kijowie rosyjskojęzyczny mag Wieliar (właśc. Bohdan

Oriszczenko) przedstawia się jako „kapłan Bogów Nocy, Zła i Ciemności”, który magią zajmuje się od dzieciństwa. Podobnie jak jego babcia od strony matki, która „pomagała ludziom”, a także odprawiała „rytuały zemsty i sprawiedliwości”. Odziedziczył po niej „zdolność przewidywania przyszłości”. Babcia od strony ojca „była i jest” czarownicą. Oprócz internetowych seansów czarnej magii zasłynął aktywnym udziałem w protestach pod ławrą Kijowsko-Pieczerską w 2023 r. W maju przebrał się w strój księdza prawosławnego, „urozmaicony” satanistyczną symboliką, i odprawił parodię Mszy Świętej, co spotkało się z oburzeniem również w części ukraińskiej, patriotycznej opinii publicznej, która uznała go za pro-kremłowski prowokatora. A jesienią otrzymał od przewodniczącego Rady Najwyższej odznaczenie „Duma i chwala Ukrainy”. Wedle wersji samego „maga” – za okazywanie pomocy materialnej Siłom Zbrojnym Ukrainy.

Wywołało to mieszane reakcje w mediach, w tym społecznościowych. Oriszczenko, odpowiadając na krytykę, stwierdził, że... ukraińskie wróżki, wiedźmy i magowie wydatnie pomagają swojemu krajowi na froncie. Zasugerował, że (ówczesne) pogorszenie stanu zdrowia Ramzana Kadyrowa jest zasługą czarów właśnie.

„ROSYJSKI HOGWART”

W Iwantiejewce pod Moskwą działa Międzynarodowy Uniwersytet Magii i Czarów. „Rosyjski Hogwart” oferuje takie „kierunki studiów” jak alchemia, demonologia, magia cmentarna, magia bojowa czy magia seksualna. Działalnością „uczelni” zainteresowała się prokuratura, ale „Hogwart” jeszcze zamknięty nie został. Dalej chętni mogą tam – za sowitą opłatę – nauczyć się, jak rzucić na kogoś urok czy wywróżyć sobie przyszłość.

„Uniwersytet” w 2019 r. założyła najbardziej znana rosyjska wiedźma – Alona Połyń. Naprawdę nazywa się Jelena Suslikowa. Rocznic 1980. W dzieciństwie spędzała mnóstwo czasu na wsi u babci – miejscowej znachorki. Jest też wersja, zgodnie z którą swoje mistyczne zdolności odziedziczyła po dziadku z KGB. Od 14. roku życia „pomagała” ludziom w problemach i chorobach. W 2015 r.

założyła Imperium Najpotężniejszych Wiedźm – międzynarodową organizację okultystyczną, której celem była wymiana doświadczeń. Swoim klientom (zarejestrowała działalność gospodarczą) oferuje pomoc w różnych życiowych sprawach. Zdradzonym żonom przywraca mężów, rzuca uroki na ich kochanki. Prowadzi też sklep internetowy, w którym sprzedawała np. miotły do latania.

„Niech siła Rosji się umocni, niech Władimir Putin właściwie drogi dostrzega. Niech będą przeklęci (jego) wrogowie” – tymi słowami „czarowała” Alona Połyń w 2019 r., podczas sabatu zorganizowanego w Moskwie przez Imperium Najpotężniejszych Wiedźm. Tego typu wydarzenia odbywały się w stolicy Rosji niejednokrotnie, przy aprobacie władz miejskich. W jednej z podmoskiewskich wsi Połyń zbudowała nawet świątynię. Przeciwnikom inicjatywy (lokalnym mieszkańcom

W Iwantiejewce pod Moskwą działa Międzynarodowy Uniwersytet Magii i Czarów. „Rosyjski Hogwart” oferuje takie „kierunki studiów” jak alchemia, demonologia, magia cmentarna, magia bojowa czy magia seksualna

i miejscowemu proboszczowi) groziła śmiercią. W styczniu 2019 r. polityk Jednej Rosji, Witalij Miłonow, publicznie nazwał wiedźmę oszustką, za co ta podała go do sądu. Zażądała miliona rubli zadośćuczynienia, tłumacząc, że „ta magiczna suma pozwoli przekląć ród Witalija aż do siódmego pokolenia”. Sąd przyznał jej rację, a kierownictwo partii obiecało zdyscyplinować Miłonowa.

Wiedźma regularnie popadała też w konflikt z Cerkwią. Po 24 lutego 2022 r. poparła inwazję na Ukrainę. „Imperium” ponoć werbuje szpiegów dla Kremla. Sama Alona Połyń pomaga żołnierzom rosyjskim jako „psycholog wojskowy” i – podobnie jak ukraiński mag Wieliar – wspiera swoją armię poprzez pomoc materialną.

Ale jej gwiazda niedawno zgasła. W czerwcu 2024 r. ulubiona wiedźma

Putina została zatrzymana. Grozi jej odsiadka za ekstremizm i szarganie uczuć religijnych. Cerkiew upomniwała się o swoją pozycję w strefie duchowych wpływów. Deputowani przygotowali projekt ustawy, zrównujący praktyki okultystyczne z działalnością ekstremistyczną, zakazujący reklamowania astrologii i wróżb. Karane ma być też rzucanie uroku, choć nie wiadomo, kto skuteczność uroku i jak będzie weryfikować...

DWUWIARA

Zarówno Rosja, jak i Ukraina wywodzą się z dawnej Rusi, gdzie przez ok. dwóch wieków po przyjęciu chrześcijaństwa panowała tzw. dwuwiera, czyli współistnienie prawosławia z pogaństwem. Świadomość obu narodów została w dużej mierze ukształtowana przez siedem dekad ateistycznej propagandy w Związku Sowieckim. Bolszewicy próbowali zastąpić prawosławie religią komunizmu. W rezultacie po rozpadzie ZSRS zarówno na Ukrainie, jak i w Rosji, powstała pustka ideologiczna – Cerkiew ledwie się odradzała, dodatkowo była skompromitowana współpracą z władzami (w Rosji do dziś ta współpraca trwa), a zwykli ludzie (zwłaszcza irracjonalni Rosjanie) potrzebowali wiary – jakiegokolwiek. Choćby seansów Kaszpirowskiego, który dziś ma godnych następców, a i sam wrócił do działalności...

Ukraińska kultura ukształtowała się w dużej mierze pod polskim, a więc zachodnim, racjonalistycznym wpływem, co jednak tylko częściowo zaimpregnowało ją przeciwko ekscentrycznym „poszukiwaniom duchowym”. Tymczasem kultura rosyjska jest tradycyjnie irracjonalistyczna i „uduchowiona” co do zasady. Oderwana od Zachodu przez najazd mongolski Moskwa przegapiła renesans i humanizm, a ze średniowiecza wyszła pod koniec XVII w. Dziś pozuje na przedmurze tradycyjnych wartości. W rzeczywistości jednak słynna „rosyjska dusza” to raczej, by zacytować Dostojewskiego, „szeroka dusza”, w której pomieścić się może wszystko – od satanizmu do fanatycznego prawosławia. Wszystko, co pozwala pojąć świat pozorowo, a także co służy jednemu bogu, wyznawanemu przez Rosjan – bogu państwowości. © PWSz wszelkie prawa zastrzeżone



BRAK PARYTETÓW W KRESKÓWKACH

Świnka Peppa to bohaterka znanej serialowej kreskówki. Jest ulubienicą wielu dzieci na całym świecie. Młodzi widzowie uwielbiają też serial animowany „Psi patrol”. Tymczasem obie produkcje znalazły się na celowniku Marty Serrano. Jest ona sekretarzem generalnym transportu lądowego w hiszpańskim ministerstwie transportu. Marta Serrano zarzuca „Śwince Peppie” i „Psiemu patrolowi”, że są w nich promowane tradycyjne stereotypy płciowe. Konkretnie – w serialach tych drogi naprawiają silni mężczyźni, brakuje zatem parytetów.

FOT. EDUARDO PARRA/ART EAST NEWS

AI NAMAWIAŁA DO SAMOBÓJSTWA?

Jakiś czas temu para rodziców z Tek-sasu złożyła pozew przeciw twórcom Character.AI, twierdząc, że chatbot tej platformy zachęcał ich nastoletnią córkę do samobójstwa. Nie dziwi zatem apel byłego dyrektora generalnego Google Erica Schmidta o „odłączanie” systemów sztucznej inteligencji, gdy osiągną określony poziom możliwości. Wkrótce komputery będą działać samodzielnie i robić, co chcą – ostrzegł menedżer.

ZAKAZANE SŁOWA

W pewnej szkole w Iowa wprowadzono antydyskryminacyjny zakaz używania niektórych słów. Ich listę przygotowali sami uczniowie. Wprowadzony zakaz obejmuje m.in. żarty z LGBTQ i otyłości oraz uwagi dotyczące Holocaustu, co w czasach poprawności politycznej nie zaskakuje. Ale na liście znalazły się i takie absurdy, jak... Ohio. Ponoć bowiem w żargonie pokolenia Alfa (młodzieży urodzonej w trzecim tysiącleciu) nazwa tego stanu oznacza coś dziwnego, obciachowego, głupiego.

SKANDAL W SAMOLOCIE

Na pokładzie samolotu należącego do linii Swiss doszło do skandalu. Dwoje pasażerów uprawiało w podróży seks oralny – i to nie w toalecie, ale... w kuchni. Tyle że kobieta i mężczyzna nie zauważyli kamery umieszczonej przed kokpitem. Niestosowne zachowania były nagrywane i na żywo obserwowane przez członków załogi, którzy z dwójki pasażerów kpili. Docinki personelu pokładowego też znalazły się w nagraniu. Zostało ono ujawnione w Internecie. Swiss prowadzi w tej sprawie śledztwo.

PIERWSZY RAZ

Na Fidzi siedmiu turystów z zagranicy zostało hospitalizowanych po wypiciu popularnego w tym kraju koktajlu. Tematem zainteresowała się tam oprócz ministerstwa zdrowia policja. Wicepremier i minister turystyki Fidzi Viliame Gavoka był zaskoczony. Stwierdził, że kurort, w którym doszło do zdarzenia, ma bardzo dobrą reputację i wcześniej nigdy w jego kraju do czegoś takiego nie doszło. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polska liderem w Europie

Do 30 czerwca 2025 r. trwa półroczna prezydencja Polski w UE. Zanim w lipcu rotacyjne przewodnictwo w Radzie Unii Europejskiej przejmie Dania, a po niej Cypr, rząd w Warszawie może realnie kształtować priorytety UE. Polska ma szansę pokazać się jako silny lider w Europie w czasie, gdy zarówno Niemcy, jak i Francja pogrążone są w kryzysie politycznym oraz gospodarczym.

Pierwsze półrocze 2025 r. będzie też miało kluczowe znaczenie dla przyszłości stosunków transatlantycznych oraz

stanu europejskich gospodarek. Jest bardzo prawdopodobne, że dojdzie w tym czasie do przełomu na Ukrainie. Oficjalne motto polskiej prezydencji brzmi: „Bezpieczeństwo, Europo!”. I dobrze określa jeden z priorytetów. Czas skończyć ze słowami i zabrać się do pilnego wzmacniania infrastruktury obronnej na wschodniej granicy UE.

Do listy kluczowych spraw trzeba dodać gospodarkę. To może być ostatni moment na uratowanie przed samobójczą śmiercią unijnego przemysłu i zdjęciem z europejskich firm pętli Zielone-

go Ładu. UE będzie też musiała w pierwszym półroczu określić na nowo warunki współpracy militarnej i gospodarczej z USA pod rządami Donalda Trumpa (obejmie on urząd 20 stycznia). W wojnie celnej nie ma jeńców...

Polska powinna też nadać UE ton w sprawie kryzysu migracyjnego dopóty, dopóki nielegalni przybysze nie zdobędą większości w miastach Niemiec, Włoch, Hiszpanii czy Grecji. Pilnie potrzeba też zadbać o prounijne aspiracje Bałkanów Zachodnich.

A to tylko początek długiej listy zadań do wykonania... ©

Adrian Klarenbach zaprasza do Republiki na obiektywną i subiektywną ocenę najważniejszych wydarzeń mijającego tygodnia z udziałem przedstawicieli polskiej sceny politycznej.



AGORA KLARENBACHA

W KAŻDY PIĄTEK
20:40

 RepublikaTV

 @RepublikaTV

 Telewizja Republika

 @RepublikaTV

Republikę obejrzyj na multiplexie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa typu YAGI ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ósmy multiplex dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multiplexach w Katowicach, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. Republikę obejrzyj na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika



SKANUJ KOD QR
**WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA**



Jacek Przybylski

W 2025 r. drugi Polak w historii ma wreszcie wyruszyć w kosmiczną misję. Podczas trwającej dwa tygodnie misji dr Sławosz Uznański będzie prowadził eksperymenty, które mogą zmienić oblicze nie tylko technologii kosmicznych, lecz także medycyny czy biologii. Zdaniem polskiego astronauty Polska ma szansę, by zająć pozycję lidera w kształtowaniu technologicznej przyszłości Europy

Przyłówek Canaveral we wschodniej części Florydy. To właśnie stąd 16 lipca 1969 r. wystartowała rakietą wynosząca w przestrzeń kosmiczną statek misji Apollo 11. I to właśnie stąd najwcześniej wiosną 2025 r. ma zostać wyniesiony w kosmos drugi polski astronauta, a jednocześnie pierwszy Polak, który poleci na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS).

Doktor inżynier Sławosz Uznański, który został wybrany przez Europejską Agencję Kosmiczną (ESA) z grona ponad 22 tys. kandydatów, swą historyczną podróż odbędzie w kapsule załogowej Crew Dragon. Została ona opracowana w celu transportowania zarówno ludzi, jak i wrażliwych na środowisko ładunków. Dragon, który może przewieźć na orbitę i poza nią jednocześnie siedmioro pasażerów, zapisał się już w historii kosmonautyki jako pierwszy prywatny statek kosmiczny, który zabrał astronautów na stację kosmiczną. 31 maja 2020 r. na jego pokładzie dwaj amerykańscy astronauta – 49-letni Robert Behnken i 53-letni Douglas Hurley – dostali się na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Historyczny moment śledzili wówczas prezydent USA Donald Trump i jego zastępca Mike Pence. Od 2020 r. Crew Dragon – zaprojektowany w taki sposób, aby proces dokowania dokonał się automatycznie – wykonał już bezpiecznie kilkanaście załogowych misji.

Polski powrót w kosmos



Astronauta Sławosz Uznański w centrum treningowym. FOT. ESA

Statek jest wyposażony w 16 silników odrzutowych umożliwiających manewrowanie na orbicie, dwa spadochrony stabilizujące kapsułę po wejściu na orbitę, cztery spadochrony hamujące statek przed lądowaniem, a także osiem silników SuperDraco, które mogą być użyte w sytuacji zagrożenia (dla bezpieczeństwa ludzi przebywających na pokładzie w razie awarii Dragon może uruchomić własne silniki, aby błyskawicznie oddzielić się od rakiety nośnej – gdyby astronautom groziło niebezpieczeństwo, kapsuła może w niecałe 10 sekund znaleźć się kilometr od rakiety nośnej). Nowoczesna kapsuła Dragon umieszczana jest na szczycie udoskonalonej rakiety nośnej Falcon 9. Zarówno Dragon, jak i Falcon zostały zaprojektowane oraz wykonane na zlecenie Narodowej Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej (NASA) przez założoną przez ekscentrycznego miliardera Elona Muska spółkę SpaceX. I szybko stały się niezwykle ważnym elementem procesu komercjalizacji misji kosmicznych. Po tym, jak w roku 2011 ze służby wycofano ostatnie amerykańskie wahadłowce, NASA,

aby dostarczyć na Międzynarodową Stację Kosmiczną astronautów oraz zaopatrzenie, korzysta m.in. z usług prywatnych spółek.

BILETY ZA MILIONY

Współpraca sektora prywatnego z rządem federalnym przy badaniach kosmosu układa się na tyle dobrze, że właśnie z wykorzystaniem komercyjnych firm ma odbyć się drugie amerykańskie lądowanie na Księżycu (misja Artemis III miała odbyć się przed końcem roku 2024, ale już wiadomo, że dojdzie do skutku najwcześniej w połowie 2027 r., co ma związek z opóźnieniami z pracami nad lądownikami, nowymi skafandrami etc.). Niewykluczone jednak, że druga kadencja Donalda Trumpa umożliwi przyspieszenie prac nad amerykańskim programem kosmicznym.

Oczywiście prywatne firmy zamierzają zarabiać nie tylko na rządowych kontraktach. Jedną z amerykańskich firm zajmujących się komercyjnie rozwojem technologii astronautycznych i kosmiczną turystyką jest założona w roku 2016 firma Axiom Space Inc. To właśnie ona wysłała w kwietniu 2022 r. pierwszą całkowicie

prywatną misję astronautów, którzy spędzili prywatnie 10 dni na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Na pokładzie poza profesjonalnym astronautą znaleźli się wówczas amerykański inwestor na rynku nieruchomości Larry Connor, kanadyjski inwestor i filantrop Mark Pathy oraz izraelski były pilot myśliwca, inwestor i filantrop Eytan Stibbe. Bilet na przelot na stację kosmiczną, pobyt na stacji 400 km ponad Ziemią oraz powrót z lądowaniem w wodach Atlantyku kosztował od osoby... 55 mln (!) dol. (czyli równowartość 223,5 mln zł po kursie wymiany walut z końcówki grudnia 2024 r.). Z tej kwoty Axiom płaci niczym za kosmiczną taksówkę spółce SpaceX (transport odbył się na pokładzie statku Dragon wystrzelonego za pomocą rakiety Falcon 9), a także NASA za możliwość skorzystania z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Cena nie jest niska, ale wśród najbogatszych Ziemiaków chętnych na kosmiczną podróż wcale nie brakuje. Według raportu opublikowanego w tym roku przez Spherical Insights & Consulting wartość globalnego rynku turystyki kosmicznej w 2023 r. szacowano na 881,56 mln dol., do 2033 r. ma wzrosnąć do 35 108,7 mln dol. Z kolei według szacunków UBS do 2030 r. wartość rynku turystyki kosmicznej osiągnie 3 mld dol.

Axiom Space ambitnie planuje już więc budowę własnej, prywatnej stacji kosmicznej, która miałaby służyć jako globalne centrum akademickie i komercyjne. W sektorze komercyjnych lotów kosmicznych działają już też m.in. takie prywatne firmy jak Blue Origin czy należąca do Richarda Bransona Virgin Galactic. Pierwsi klienci tej ostatniej firmy swój lot w przestrzeni kosmicznej odbyli w czerwcu 2023 r.; według informacji Reutersa Virgin Galactic wyceniła taką przyjemność na 250–450 tys. dol. i ponad 800 klientom sprzedawała już bilety na krótkie kosmiczne podróże na pokładzie statku VSS Unity – co prawda, nieco poniżej tzw. linii Kármána, ale już z możliwością doświadczenia nieważkości przez kilka minut. Siudem komercyjnych lotów Virgin Galactic z udziałem statku kosmicznego VSS Unity wystartowało dotąd ze Spaceport America na pustyni w Nowym Meksyku. Jest jednak dobra wiadomość dla bogatych turystów z Europy: być może wkrótce, aby zobaczyć Ziemię z kosmosu, nie będzie trzeba latać

do Stanów Zjednoczonych. Pod koniec grudnia 2024 r. firma Virgin Galactic ogłosiła bowiem, że wraz z Ente Nazionale per l'Aviazione Civile (ENAC) rozważa wykonywanie lotów z kosmicznymi turystami na pokładzie z wykorzystaniem kosmodromu Grottaglie w regionie Apulia w południowych Włoszech (rząd w Rzymie przeznaczył niedawno 73 mln dol. na budowę w tym porcie infrastruktury niezbędnej do wystrzeliwania rakiet).

POLSKI DOM POZA ZIEMIĄ

Polak na Międzynarodową Stację Kosmiczną wyruszy w ramach kolejnej komercyjnej załogowej misji Axiom Space (Ax-4). Jednym z jej celów jest kontynuacja prac nad stworzeniem domu poza naszą planetą. Alexis DeJarnette, rzeczniczka amerykańskiej spółki, zauważyła w komunikacie wydanym przez NASA, że każda misja tego typu jest kluczowa dla rozwoju komercyjnych działań kosmicznych, a także „dla rozwoju wiedzy i doświadczeń niezbędnych do normalizacji życia i pracy w warunkach mikrogravitacji”.

Nowa misja naszego rodaka jest też kluczowa dla rozwoju polskiej nauki i przemysłu kosmicznego. „Po 46 latach od ostatniego polskiego załogowego lotu w kosmos wkraczamy w nową erę – z pierwszą polską misją na Międzynarodową Stację Kosmiczną” – zauważył w mediach społecznościowych Sławosław Uznański, który weźmie udział w kosmicznej misji na podstawie umowy pomiędzy Ministerstwem Rozwoju i Technologii, Europejską Agencją Kosmiczną i Axiom Space.

Polski inżynier Sławosław Uznański to wybitny naukowiec, który specjalizuje się w projektowaniu elektroniki wykorzystywanej w m.in. akceleratorach cząstek i który od lat współpracuje z Europejską Organizacją Badań Jądrowych – CERN. Od 1 września 2023 r. jest astronautą projektowym ESA.

W grudniu 2024 r. ogłoszona zaś została oficjalna nazwa misji z jego udziałem. Brzmi ona Ignis, czyli ogień. Według polskiego astronauty nazwa ta nawiązuje „do naszych ambicji i możliwości, które mamy, żeby kształtować naszą przyszłość technologiczną w Europie, a także nadawać kierunek rozwojowi Europy”. Sławosław Uznański przekonuje, że wykorzystując naszą innowacyjność z ostatnich 30 lat,

Polacy mogą zająć pozycję lidera kształtowania technologii europejskiej i kierunków naszej przyszłości.

Podczas trwającej maksymalnie 14 dni misji polski astronauta przeprowadzał m.in. zaawansowane testy technologiczno-naukowe. „Trzynastce polskich eksperymentów z zakresu technologii, biologii, medycyny i psychologii, przygotowanych przez polskich naukowców i inżynierów, otworzy nowe możliwości dla polskich badań, a w dłuższej perspektywie zwiększy konkurencyjność Polski na arenie międzynarodowej” – mówił podczas grudniowej konferencji prasowej prezes Polskiej Agencji Kosmicznej prof. Grzegorz Wrochna.

Misja Uznańskiego ma też przyspieszyć rozwój polskiego programu kosmicznego. Polscy naukowcy nawet na niezwykle konkurencyjnym rynku kosmicznych technologii od lat potrafią bowiem znaleźć dla siebie niszę, w której są światowymi pionierami. W roku 2024 udowodnili to chociażby, gdy 3 lipca polska rakietą pierwszy raz w historii przekroczyła granicę przestrzeni kosmicznej oraz gdy 9 lipca na pokładzie europejskiej rakiety Ariane znalazły się kamery wrocławskiej firmy Scanway. A jest o co walczyć. Wartość produktów i usług wykorzystujących technologie kosmiczne szacowana jest już na ok. 450 mld euro, a w najbliższych latach rynek ten może szybko rosnąć. Dobrze więc, że część kosmicznego rynku próbują zdobyć naukowcy i przedsiębiorcy z Polski.

Oczywiście nie tylko oni. Obok Sławosława Uznańskiego w misji Ax-4 wezmą również udział Węgier Tibor Kapu oraz pilot indyjskich sił powietrznych Shubhanshu Shukla. Dla Węgier i Indii to również będzie pierwsza załogowa misja kosmiczna od ponad czterech dekad. Jak pisał Axiom Space, trzech astronautów ukończyło już kompleksowe szkolenie obejmujące systemy komunikacyjne, procedury reagowania w sytuacjach awaryjnych i prowadzenie działalności badawczej. Dowódcą misji Ax-4 ma być doświadczona amerykańska astronautka Peggy Whitson, pierwsza kobieta, która dowodziła Międzynarodową Stacją Kosmiczną, a jednocześnie rekordzistka wśród amerykańskich astronautów pod względem łącznego czasu spędzonego w kosmosie.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Biedni palacze papierosów

Paliłem papierosy przez niemało lat, a uwolnienie się od nałogu też zajęło mi sporo czasu.

Może dlatego z taką radością obserwuję, jak w Polsce spada liczba osób, które faszserują się nikotyną. I mocno współczuję tym, którzy nie potrafią palenia rzucić albo wręcz dopiero teraz dają się w nie wciągnąć – bo cierpi na tym nie tylko ich zdrowie, lecz także codzienne samopoczucie. Człowiek przesiąknięty dymem nikotynowym to ledwie cień człowieka od niego wolnego – proszę mi wierzyć, wiem, o czym piszę.

A teraz jeszcze dodatkowo współczuję palaczom z powodu planów rządu, który nie ma dla palaczy nawet cienia współczucia i chce z nich zedrzyć, ile się tylko da, a nawet jeszcze więcej.

To zresztą nic nowego pod słońcem – te zakusy na portfele i portmonetki palaczy. Przecież od całych dekad budżety wielu państw bez żadnych skrupułów żerują na dochodach biednych palaczy (a także konsumentów alkoholu i tankujących do swych aut benzynę), drenując ich kieszenie, by finansować coraz to nowe zachcianki polityków.

Wszelako to, co się szykuje w Polsce teraz, przechodzi ludzkie pojęcie. Już szef poprzedniego rządu, Mateusz Morawiecki, nie miał nawet odrobiny litości dla biednych palaczy (i takichż konsumentów alkoholu). Żeby móc zabierać Polakom

pieniądze na swój legendarny program rozdawnictwa bez granic (który, jak pamiętamy, miał według jego zapewnień finansować się sam, dzięki temu, że po prostu „wystarczy nie kraść”), opodatkował „kaskadowo” właśnie palaczy i konsumentów alkoholu. To za jego sprawą akcyza od wyrobów tytoniowych miała w latach 2023–2027, czyli przez cztery lata z rzędu, rosnąć co roku aż o 10 proc. (a od wyrobów alkoholowych aż o 5 proc. co roku).

Wszelako, jak się okazuje, nawet te niesłychane plany są już nieaktualne, bo rozdawnicze plany nowego premiera, Donalda Tuska, są jeszcze większe, więc i podatki muszą być podniesione znacznie bardziej i znacznie szybciej. O ile? Proszę dla własnego bezpieczeństwa przed przeczytaniem następnego zdania usiąść, a najlepiej także zapiąć pasy (jeśli mają je państwo pod ręką). Otóż stawka akcyzy na papierosy w 2025 r. wzrośnie aż o 25 proc., w 2026 r. – aż o 20 proc., a w 2027 r. – aż o 15 proc. A na tytoń do palenia – jeszcze bardziej. I przecież na tym się nie skończy – ekonomiści szacują, że w 2030 r. papierosy w Polsce będą kosztowały co najmniej dwa razy więcej niż dziś.

Cóż... biedni palacze. Biedni pod każdym względem i w dodatku coraz biedniejsi. Czymże oni zawiniли najpierw Morawieckiemu, a teraz Tuskiemu, że aż obaj premierzy zamarzyli sobie, by puścić ich z torbami? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Co jest nie tak z Trzaskowskim?

Skierowane do Rafała Trzaskowskiego przez dziennikarza wPolsce24, Rafała Jarząbka, pytanie o brak dokładnej godziny spotkań z wyborcami na grafikach kandydata KO na prezydenta było zadane spokojnie i miało sens. Wydaje się dość oczywiste, że dziennikarze czy wyborcy chcieliby taką godzinę znać z wyprzedzeniem. Zamiast jednak normalnej odpowiedzi Trzaskowski wykrzyknął: „Żeby pana zmylić!” i zaniósł się przesadnym, niby to wystudiowanym rechotem.

Tę scenę najlepiej obejrzyć sobie w bezpośrednim sąsiedztwie tego fragmentu wystąpienia Trzaskowskiego na konwencji w Gliwicach, w którym tak pięknie opowiadał o konieczności zrozumienia drugiej strony, okazania sobie nawzajem szacunku i nieskakaniu sobie do gardeł. Nie chodzi nawet o to, że – jak komentowali niektórzy – z Trzaskowskiego wyszedł cham czy buc. Sęk w tym, że kandydat KO nawet w warunkach kampanii, gdy należałoby przynajmniej udawać otwartość na innych, nie jest w stanie tego zrobić. I to jednak jest niepokojące.

Jasne, że telewizja braci Karnowskich nie jest do kandydata KO nastawiona przyjaźnie. Ale też nie było w pytaniu ani zachowaniu dziennikarza niczego agresywnego czy obraźliwego. Kandydat, który powinien myśleć o pokazaniu się w drugiej turze jako umiejący rozmawiać z każdym, pokazuje się w takich scenach jak groteskowy produkt sekty Silnych Razem.

Albo coś jest bardzo nie tak z ludźmi, którzy prowadzą PR Trzaskowskiego, albo z samym Trzaskowskim. Mimo że wciąż jesteśmy na wczesnym etapie kampanii, zaczyna to wyglądać tak, jakby Karol Nawrocki miał na razie stosunkowo proste zadanie: po pierwsze – budować swój wizerunek na tym, jaki faktycznie jest, co dobrze odróżni go od wciskanego w nieswoje buty kontrkandydata; po drugie – wykazywać się cierpliwością i względną przychylnością wobec wszystkich, także niechętnych, i po prostu korzystać z błędów masowo popełnianych przez rywala. ©©

HYUNDAI TUCSON



FOT. PAP

Tucson to od kilku lat bestseller koreańskiej marki. Odświeżona w tym roku wersja zyskała więcej futurystycznych cech oraz nieco więcej sportowego charakteru. W oczy rzucają się śmiałe linie nadwozia, a także przeprojektowana osłona chłodnicy, która optycznie poszerza sprzedażowy hit koreańskiej marki. Podobać mogą się również lampy parametryczne – gdy zapłon jest wyłączony, są one zintegrowane z osłoną chłodnicy i niemal niewidoczne, z kolei zapalone tworzą ciekawy układ i zwracają uwagę przechodniów.

Podczas liftingu Koreańczycy najmocniej poprawili jednak wnętrze swojego średniej

wielkości SUV-a. I – co ważne – wzięli pod uwagę wiele krytycznych głosów dotyczących poprzedniego wcielenia tego modelu. Deskę rozdzielczą tworzą dwa zakrzywione wyświetlacze o przekątnej 12,3 cala każdy oraz wiele przycisków i pokręteł (m.in. do regulowania radia czy sterowania klimatyzacją). Trójramienna kierownica stała się bardziej ergonomiczna. Znalazło się też przy niej miejsce na sterowanie siedmiostopniową automatyczną skrzynią biegów. Zastosowane do wykończenia kabiny materiały sprawiają wrażenie dobrej jakości. Są też – w większości – przyjemne w dotyku, choć np. półka dla pasażera mogłaby być wykończona plastikiem wyższej jakości. W przestronnej kabinie

na brak miejsca pasażerowie z tyłu nie powinni narzekać, bo miejsca na nogi jest tutaj sporo. Czworo dorosłych spokojnie może więc wyruszyć Tucsonem w daleką trasę. Całkiem duży jest też bagażnik – ma aż 577 l pojemności, a po złożeniu tylnej kanapy można go powiększyć do 1756 l.

Pod maską testowanego SUV-a znalazł się czterocylindrowy silnik o pojemności 1,6 l z turbodoładowaniem (czyli T-GDI) o mocy 160 KM (maksymalny moment obrotowy wynosi 264 Nm). „Miękką hybrydą” połączona z tą jednostką spalinową podczas jazdy sprawuje się bez zarzutu. Wprawdzie na sprint od zera do setki Tucson potrzebuje nieco ponad 9 s, ale w trybie Sport koreański SUV potrafi być bardzo dynamiczny. Na trasie nie ma więc żadnych problemów z wyprzedzaniem. We wnętrzu do 140 km/h jest też wystarczająco cicho, aby móc komfortowo pokonywać kolejne kilometry autostrad. Prędkość maksymalna to 192 km/h. Jeśli ktoś liczył na to, że „miękką hybrydą” mocno obniży apetyt auta na paliwo, to może być nieco rozczarowany. Średnie spalanie w mieście, na trasie i na autostradzie wyniosło podczas naszego testu 7,4 l/100 km. Na pochwałę zasługują też precyzyjny układ kierowniczy oraz dbający o bezpieczeństwo elektroniczni asystenci.

Najtańszy Tucson w wersji Modern, z silnikiem 1.6 T-GDI i sześciobiegową skrzynią manualną kosztuje 125,9 tys. zł. Za najdroższą NLine z taką samą jednostką napędową, automatyczną skrzynią biegów i napędem na wszystkie łapy trzeba już zapłacić 184,9 tys. zł. ©

ROUTER FRITZ!BOX 4050

Minimalistyczne wzornictwo, intuicyjna obsługa, bezproblemowe tworzenie sieci Mesh, niewielkie zużycie energii, rozbudowane funkcje bezpieczeństwa oraz niezły stosunek ceny do jakości – to największe zalety nowego, budżetowego routera niemieckiej firmy AVM.

Z kompaktowego urządzenia w czerwono-białej obudowie można korzystać zarówno przy złączu światłowodowym, jak i kablowym oraz DSL. FRITZ!Box 4050 to router dwupasmowy (obsługuje częstotliwości 2,4 oraz 5 GHz) z wbudowaną anteną. Testowany router obsługuje standard Wi-Fi 6 z maksymalną prędkością transmisji na poziomie 3000 Mb/s. W paśmie 2,4 GHz oferuje przepustowość na poziomie 600 Mb/s, a w paśmie 5 GHz na poziomie 2400 Mb/s. W testach w odległości ok. 10 m od routera Internet śmigał aż miło. Maksymalny zasięg, gdzie udało się jeszcze uzyskać stosunkowo niezłą prędkość, wynosił zaś ok. 30 m od routera.

Zaletą urządzenia jest nie tylko niezła szybkość, lecz także zintegrowana zaporą sieciową, która zwiększa bezpieczeństwo surfowania po Internecie. Przydatne są również takie funkcje jak kontrola rodzicielska,

serwer multimedialny dla filmów, zdjęć czy muzyki oraz obsługa VPN za pomocą protokołu WireGuard.

FRITZ!Box 4050 to zresztą nie tylko router. Urządzenie jest wyposażone w zintegrowaną stację bazową DECT, w której można załogować nawet sześć telefonów bezprzewodowych (można też wykorzystać swój smartfon i aplikację). Router pozwala również na obsługę elementów inteligentnego domu. Dużym plusem testowanego urządzenia przy rosnących cenach prądu jest także niewielkie zużycie energii elektrycznej.

A minusy? Po pierwsze, niemiecki producent zastosował USB w standardzie 2.0. Po drugie, FRITZ!Box 4050 obsługuje Wi-Fi 6, tymczasem coraz powszechniejsze stają się routery nowej generacji z obsługą standardu Wi-Fi 7 (znanym też jako IEEE 802.11be Extremely High Throughput).

Podstawowe pytanie brzmi jednak: Jaką maksymalną prędkość łącza mamy wykupioną u operatora? W wielu przypadkach możliwości testowanego routera okazały się bowiem więcej niż wystarczające.

Wówczas warto zwrócić uwagę na FRITZ!Box 4050, który – jak na niemiecką markę AVM – został atrakcyjnie wyceniony. Trzeba za niego zapłacić 553 zł. ©



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

Bądź piękna i milcz



Joanna Bojańczyk

Od córki krawcowej w słoweńskim miasteczku do pierwszej damy – kariera, jaką uwielbiają Amerykanie. Melania Trump jest drugą cudzoziemką w Białym Domu i jedyną pierwszą damą, która nie urodziła się w Stanach Zjednoczonych



Nie martwcie się, minie dobrych parę lat, zanim on się zorientuje, gdzie leży Europa Wschodnia – pocieszał Internet po zwycięstwie Donalda Trumpa w listopadowych wyborach. Tak było w roku 2015. Jednak prezydent musiał zorientować się wcześniej, gdzie leży Europa, zważywszy, że jego pierwsza żona, Ivana, była Czeszką. Minęło trochę czasu i okazało się, że także trzecia małżonka pochodzi z tego egzotycznego dla Amerykanów regionu świata. Słabość do Słowianek? Trzeba było zlokalizować na mapie Sevnice, rodzinne miasteczko w Słowenii, z którego pochodzi piękna Melania Knavs. Donald Trump był tam nawet przez trzy godziny. Teraz nie ma już takiej potrzeby – kiedy zięć został prezydentem, rodzice jego żony, Victor i Amalija Knavs, przepro-

wadzili się do Waszyngtonu, w 2018 r. otrzymali obywatelstwo amerykańskie.

Dla dwumilionowej republiki eksjugosłowiańskiej to kolejna szansa na promocję. Dzięki nowo wybranemu prezydentowi znów słyszy o niej świat, a zwłaszcza Amerykanie, dla których Europa jest wciąż czymś w rodzaju Atlantydy.

O ile Słowenia nie jest już taką tajemnicą dla Amerykanów, o tyle enigmą pozostaje żona prezydenta elekta, która lubi roztaczać wokół siebie mgłę niedomówień. Jej małomówność równoważy wulkaniczny charakter męża. W czasie kampanii wyborczej najlepiej wychodziły jej uśmiechy. Na konwencję republikańską przybyła niezapowiedziana, ale głosu nie zabrała; skończyło się na uśmiechach i gestach pozdrowień dla publiczności.

Raz tylko w Nowym Jorku Melania (kostium w zębrę, czarne szpilki) wygłosiła krótki, czterominutowy speech.

ZOSTAĆ MODELKĄ

Gdy 45 lat temu przychodzi tam na świat Melanija Knavs, Słowenia jest jeszcze częścią komunistycznej Jugosławii. Dziewczyna spędza tam dzieciństwo i wczesną młodość. Czteroosobowa rodzina Knavsów (Melania zmieniła potem nazwisko na bardziej eleganckie Knauss) mieszka na trzecim piętrze socjalistycznego bloku w Sevnicy. Miasteczko jak miasteczko. Rzeka Save, tartaki, fabryka tekstylna, sady, winnice.

Rodzice, ona i starsza o trzy lata siostra Ines zajmują dwupokojowe mieszkanie na trzecim piętrze. Ojciec, Victor, z zawodu kierowca, członek partii komunistycznej,



FOT. JULIA DEBARCEE NIKINSON/AN/FEST NEWS

modelkę. Równie ożywiona i radosna wypada na rodzinnych filmikach, które tata Knauss kręci amatorską kamerą na wakacjach, na nartach, w czasie rodzinnych uroczystości. Melania zabierze je później do Ameryki, to dla niej łącznik z ojczyzną. Melanią i jej starszą siostrą Ines zajmuje się opiekunka; wakacje rodzina spędza w Chorwacji.

Śliczna twarz, 180 cm wzrostu, długie nogi, drobna sylwetka Melanii zwracają uwagę nie tylko w miasteczku. Na ulicy w Lublanie zaczepia ją jugosłowiański fotograf mody Stane Jerko i proponuje zdjęcia. Melania przychodzi po kilku dniach, pozuje w seksownych pozach.

W 1991 r., po rozpadzie Jugosławii, Słowenia staje się niepodległym państwem, jednak panna Knauss nie wydaje się specjalnie zainteresowana polityką. Zaczęła właśnie studiować architekturę w Lublanie, ale jej prawdziwym celem życia jest zostać kimś sławnym – modelką, może aktorką. Wyjeżdża z ojcem do Włoch, żeby wziąć udział w konkursie piękności. Zdobywa jedną z nagród, ale nie najważniejszą. Rozczarowanie jest tym większe, że w Mediolanie kradną jej ciek zdobyty w konkursie.

Ale zawsze coś z tego wyniknie – włoska agencja modelek proponuje pracę. Melania rzuca studia na rzecz światowego życia. Czekają Mediolan, Paryż, Nowy Jork. Jednak kariera modelki nigdy nie nabierze rozpędu.

AMERYKAŃSKI SEN

Do Stanów Zjednoczonych przylatuje w roku 1995. Zaproszenie i wizę załatwił znajomy włoski biznesmen Paolo Zampolli. Ale wiza jest tylko na rok i nie daje pozwolenia na pracę. Żeby ją odnowić, Melania musi cztery razy wracać do Słowenii. Mimo braku pozwolenia na pracę pozuje dla agencji modelek. Mieszka w wynajętej kawalerce w Nowym Jorku.

Trafia na okładki magazynów – „Harper's Bazaar”, edycja bułgarska, „Ocean Drive”, „In Style Weddings”, „New York Magazine”, „Avenue”, „Allure”, „Vanity Fair”. Nie jest to może osiągnięcie godne Kate Moss, ale zawsze coś. Skandalicznych zdjęć brak – tylko tabloid „New York Post” wygrzebie później jedno wczesne nagie zdjęcie Melanii.

Na okładkę „Vogue’a” i „GQ” Melania zasługuje dopiero po ślubie z Trumpem.

Agencja Associated Press nie omieszcza doniesień, że modelka zarobiła 20 tys. dol., pracując nielegalnie. Zieloną kartę zdobędzie w 2001 r., obywatelstwo amerykańskie w roku 2006.

Całkowitą zmianę sytuacji przynosi spotkanie Donalda Trumpa. Epokowa chwila miała miejsce w nieistniejącym już modnym klubie Kit Kat Klub, na przyjęciu wydanym z okazji nowojorskiego Fashion Week w roku 1998. Czarną mercedes z szoferem odwozi ją domu. Melania nie daje Trumpowi swego numeru telefonu, obiecuje, że zadzwoni sama. Jednak po kilku tygodniach znajomość zostaje zerwana. Na krótko, bo kiedy kochankowie się pogodzą, będą już nierozłączni. Zaręczyny mają miejsce w 2004 r.

W sprawach małżeńskich Donald ma już wprawę. Pierwszy związek z blond seksbombą, Czeszką Ivaną Zelnickową, z którą ma troje dzieci – Ivankę, Erica i Donalda Juniora, osiem lat młodszego o Melanii. Z Ivaną rozwiodą się w 1992 r. w medialnym szumie. Zdobyczą lat 90. jest druga żona – prezenterka telewizyjna i miss piękności Marla Maples, matka dziewczynki, Tiffany.

Ślub Donalda i Melanii odbywa się w roku 2005 w posiadłości magnata na Florydzie. Jak podają magazyny mody, panna młoda miała suknię od Diora

**Na palcu
panny młodej
błyszczą 12-karatowy
brylant za 2 mln dol.**

prowadzi sklep z częściami samochodowymi; matka, Amalija, Austriaczka, córka rolnika uprawiającego cebule, jest krawczynią w fabryce ubrań dziecięcych. Żyją skromnie, ale biedy nie ma. „Miałam szczęśliwe dzieciństwo” – powie Melania. Dobrze się uczy, jest poukładana, systematyczna i ambitna. Już mając osiem lat, chciała od życia czegoś więcej niż wyjścia po szkole na sanki i niedzielnego seansu w kinie. Matka przynosi z pracy magazyny mody, dziewczynka przegląda je i widzi się w roli modelki. „Moja matka wprowadziła mnie do mody” – chwali się Melania. Marzenie, na razie na małą skalę, się spełnia, gdy pozuje na fabrycznym wybiegu w zakładzie matki. W szkole raczej nieśmiała, skrzydeł dostaje dopiero na wybiegu. Uśmiecha się, kryguje, przybiera pozy podpatrzone u zawodowych

za 100 tys. dol., której zrobienie zajęło krawcom 55 godzin, do tego czterometrowy tren i woalkę. Suknia okazała się jednak niewygodna i na przyjęcie świeżo poślubiona żona musiała przebrać się w wygodniejszą kreację projektu Amerykanki Very Wang. Na palcu panny młodej błyszczał 12-karatowy brylant za 2 mln dol. Serwowano kawior, tort miał 1,5 m wysokości, a wśród 350 gości znaleźli się państwo Clintonowie. Victorowi Knaussowi przepych tego ślubu wydał się jednak szokujący.

Syn Barron rodzi się rok później. Wiekowo jest bliżej siostrzeńców niż

rodzeństwa. Wychowywany w duchu władzy, nomen omen, na następcę ojca. Gra w golfa, sam zatrudnia i zwalnia swoje opiekunki. Mini-Donald – mówią na niego.

BĘDĘ JAK JACKIE

Mimo braku przymusu ekonomicznego Melania nie chce być tylko żoną i matką. Jest ambitna, chce być widziana. W 2010 r. wypuszcza własną linię biżuterii, od nabycia w telewizyjnym kanale sprzedażowym. Znika z pótek w 45 minut, choć mówi się, że pierwszym i głównym klientem był mąż. autorki.

Jako żona kandydata na prezydenta pani Trump wcieliła się w swoją rolę z umiarkowanym zaangażowaniem. Mówiła to, czego od niej oczekiwano, i niewiele ponadto. „Wspieram go, bo wiem, co chce i co może zrobić dla Ameryki. Kocha Amerykanów i chce im pomagać” – mówiła w czasie pierwszej kadencji męża. „New York Times” napisał, że teraz odmówiła udziału w kampanii wyborczej męża, choć prywatnie go wspiera.

Sam Donald powiedział, że żona woli pozostać w cieniu polityki, którą uważa za „brzydką i pazerną”. „Kocha nasz kraj, ale woli być osobą prywatną”. Ale dobrze wie, co się dzieje wokół męża. W czasie, gdy Trumpowi wykryto aferę z prostytutką (on wszystkiemu zaprzeczał), Melania unikała publicznych występów razem z nim.

W poprzedniej kampanii zaliczyła większą wpadkę. Zdania, które wygłosiła w czasie Konwencji Partii Republikańskiej, okazały się żywcem wzięte z przemówienia Michelle Obamy. Media zaraz to wyłapały. Pani Trump tłumaczyła, że napisała przemówienie sama, tylko z „niewielką pomocą”, ale po dwóch dniach zespół PR-owców Trumpa wyłamał plagiat i przeprosił.

„Będę pierwszą damą tradycyjną – zarzekała się Melania osiem lat temu. – Jak Betty Ford, jak Jackie Kennedy” – i zaprzeczała plotkom o niezbyt chlubnych wyczynach młodości.

Że była dziewczyną do towarzystwa, pozowała do rozebranych zdjęć, a w Stanach w 1995 r. przebywała nielegalnie. Na razie oficjalne sprostowania nie padły. Znajomi, których zobowiązywała klauzula milczenia, także nie wydają się mieć dużo do powiedzenia w kwestii rzekomych skandali.

Mimo braku przymusu ekonomicznego Melania nie chce być tylko żoną i matką

Jak dotąd pierwsza dama in spe niespecjalnie kojarzy się ze słowem „tradycyjna”. Ma raczej zamiłowanie do wszystkiego, co błyszczące i przesadne, nie jest wykształcona, nie ma za sobą poważnej zawodowej przeszłości. Za to glamouru ma aż w nadmiarze.

W czasie poprzedniej kadencji jej styl był otwarcie krytykowany przez czołowych nowojorskich projektantów i stylistów. Niektórzy deklarowali otwarcie, że nie mają zamiaru jej ubierać. „Czy romans Waszyngtonu z modą jest skończony?” – pytał w roku 2016 „New York Times”. Wiadomo, że dla Ameryki pierwsza dama jest ikoną stylu. Każdy detal jej stroju jest zauważony i skomentowany. Potencjał urody Melania ma niewątpliwie większy niż krępa Hillary w swoich odwiecznych spodniach Rapha Laurena, niż mało efektowna pani Bidenowa. O ile rozumieliśmy jest niechętny stosunek tradycyjnie lewicowego kręgu fashion do nowej prezydentowej, o tyle trudno nie zauważyć, że Melania jest sztywna, brak jej naturalności i spontaniczności, którymi Michelle Obama potrafiła zdobywać serca i głosy wyborców męża. W sytuacjach publicznych prezentuje się elegancko, ale to nie wystarcza.

Kilka spotkań z panią Biden miało charakter raczej zdawkowy i kutuazyjny, choć z pozoru były to „babskie rozmowy”. Wychowanie dzieci, umeblowanie Białego Domu, do którego i tak para prezydencka przez najbliższych kilka miesięcy się nie sprowadzi, nad Kapitol przedkładając swój lśniący od złota penthouse na szczycie Trump Tower.

Funkcję pierwszej damy Melania obejmie 20 stycznia 2025 r. Będzie drugą cudzoziemską żoną prezydenta w historii Stanów Zjednoczonych. Pierwszą była Louisa Adams, angielska żona Johna Quincy Adamsa, który sprawował urząd między rokiem 1825 i 1829, ale jedyną, która nie ma obywatelstwa amerykańskiego od urodzenia. Z poprzednimi pierwszymi dama-

mi łączy ją wzrost – 180 cm. Tyle mierzyły też Michelle Obama i Eleanor Roosevelt.

KONIEC POCZĄTKU

W 2016 r. podróżnych wjeżdżających do pięcioletniej Sevnicy witał billboard z napisem: „Witamy w rodzinnym mieście pierwszej damy Ameryki”. Wtedy Trumpowie byli tu bohaterami. W miejscowej restauracji serwowano menu „Melanija” i tiramisu o jej imieniu. Teraz euforia minęła, Sevnica wróciła do dawnego rytmu.

– Co pani robiła po roku 2001? – zapytał panią Trump francuski tygodnik „Paris Match”.

– Pisałam wspomnienia. Całkowicie mnie to pochłonięło. To kreatywny proces, który wymaga pogłębionej refleksji – odpowiedziała przyszła lokatorka Białego Domu.

Wspomnienia ukazały się w październiku w USA. Tytuł: „Melania”. Niezbyt obszerne dzieło – tylko 185 stron. Recenzuje je dziennik „New York Times”, po którym trudno się spodziewać entuzjazmu wobec żony prezydenta elekta.

W recenzji tej czytamy: „»Melania« to raczej życiorys niż zwierzenia, bardziej znamienity z tego, co pomija, niż co zawiera. Zapomnij o gwiazdach porno czy łapaniu za krocze; co zadziwiająco, nazwisko George’a Floyda nigdy nie jest wymieniane podczas dyskusji o Black Lives Matter. Zamiast tego autorka pisze o przedsięwzięciach biznesowych, takich jak jej biżuteria sprzedawana w sieci, planowana linia kosmetyków do pielęgnacji skóry z »odmładzającymi właściwościami kawioru«, która nigdy nie trafiła do klientów, oraz o ostatnich eksperymentach z blockchain”.

– Rodzina jest dla mnie priorytetem – mówi Melania w „Paris Match”. – Począwszy od Barrona, który właśnie rozpoczął studia na uniwersytecie, no i oczywiście – mój mąż. Kolejność chyba nieprzypadkowa.

– Z czego jest pani najbardziej dumna? – dopytuje dziennikarz.

– Z siebie. A dokładnie z miłości i troski, którymi otoczyłam swoją rodzinę. Ale podziwiam również dokonania mego męża i syna – odpowiada pierwsza dama.

Wizerunek ocieplony? Niespecjalnie. Wiele nie można się dowiedzieć z tych wyznań poza tym, że istotnie bohaterka nie ma zbyt dużo do powiedzenia. Może to i lepiej: milczenie jest przecież złotem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Szczodre Gody

Czas pomiędzy Wigilią a Nowym Rokiem, a nawet Świętem Trzech Króli, jest niejako wyjęty spod władzy czasu. W dawnych określeniach okres od 24 grudnia do 6 stycznia nazywano Szczodrymi Godami lub Godowym Świętem. To czas przesilenia zimowego, gdy zaczyna przybywać dnia.

Dla dawnych Słowian przetrwanie zimy było kluczowe, dlatego też czekano na ten moment. Zwycięstwo bowiem światła nad ciemnością miało znaczenie nie tylko symboliczne i obrzędowe, lecz także bardzo praktyczne. Przecież jeszcze 100 lat temu ludzie na przednówku głodowali, a główną troską gospodarzy było to, czy pole obrodzi.

Teraz, gdy jesteśmy społeczeństwem sytym, wszystko w czasie Szczodrych Godów odbywa się spokojniej. Po przedwigilijnym wyścigu z czasem nagle się okazuje, że mamy go bardzo dużo i możemy zająć się tym, co najważniejsze.

A więc spędzamy czas na spotkaniach planowanych lub nie, na rozmakowywaniu się w przygotowanych wcześniej frykasach, dojadaniu świątecznych dań i przyrządzaniu nowych. Jesteśmy już jednak w trybie nieco zwolnionym,

więc zazwyczaj nie porywamy się na wyszukane jedzenie. Jeśli w tym czasie zabraknie wam czegoś, by podjąć niespodziewanych gości, to proponujemy szybki piernik, który zachwyci każdego.

Piernik na ostatnią chwilę

- 3 szklanki mąki pszennej – 420 g • 1 szklanka płynnego miodu • pół szklanki cukru • 4 jajka • 1 opakowanie przyprawy do piernika • 2 łyżki kakao • 1 łyżeczka cynamonu • 1 łyżeczka sody • 1 szklanka bakalii: orzechy włoskie, rodzynki, orzechy pekan • 1 słoik powideł śliwkowych – 200 g • 1 szklanka mleka • 110 g masła

Miód, cukier, masło i mleko umieszczamy w garnku, delikatnie podgrzewamy do rozpuszczenia składników, odstawiamy, studzimy, dodajemy mąkę przesianą przez sitko, żółtka, kakao, sodę, przyprawę korenną. Wszystko mieszamy, a w osobnym naczyniu ubijamy białka, delikatnie partiami dodajemy je do ciasta, a na końcu dodajemy bakalie.

Pieczemy w temperaturze 180 st. C przez 40–50 min. ©©



FOT. ANDRZEJ STOK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Blokowisko

Na przełomie lat 70. i 80. mieszkaliśmy na niewielkim osiedlu spółdzielni Politechnika na Stegnach. W gronie rówieśników, 30-latków, uchodziliśmy za szczęśliwców – zdobyć własne mieszkanie po stosunkowo krótkim, bodaj trzyletnim oczekiwaniu to był sukces. Kto się wtedy nie załapał, wpadał do tzw. zamrażarki, studni bez dna. Oznaczało to czekanie ad infinitum. Pod koniec lat 70. gierkowski dremam pierzchał, gospodarka się waliła. W latach 80. była już degrengolada.

Mieszkaliśmy w blokach, dzisiaj może powinienam powiedzieć „na blokowisku”, ale to byłoby nieporozumieniem. Słowo „blokowisko” powstało długo, długo potem, jak wybudowano gierkowskie bloki, i głównie po to, żeby pokazać tamtą bidę i podkreślić prestiż obecnie budowanych „apartamentowców”. Zieleń, las, park, jezioro – znacie te gadki deweloperów. A w środku mikrokawalerki.

Bo czym były te obrzydzone „blokowiska”? Dały mieszkania tysiącom ludzi, głównie młodych, wdzięcznych za własny kąt, a nasze skromne osiedle Stegny Rożek było bliższe temu, o czym dzisiaj marzą aktywiści organizacji Miasto Jest Nasze. Osiedle ze szkołą, apteką, sklepami i zielenią, o którą dbali (na ogół) sami mieszkańcy, oraz – last but not least – wielkimi odległościami między budynkami. Nikt nie zaglądał sąsiadom w okno, dzieci bawiły się

w piaskownicy, z ziemi tu i ówdzie wystawał jeszcze kawał pręta zbrojeniowego. Ale kto by się tym przejmował? Zaraz po wprowadzeniu się my, mieszkańcy, skrzyknęliśmy się i posadziliśmy kilkadziesiąt topoli wzdłuż ulicy, która dzisiaj nazywa się Sikorskiego i jest przelotową arterią, a wówczas była błotnista ścieżka prowadząca nie bardzo wiadomo dokąd.

Blokowisko? Jakie blokowisko? Patologie, walki gangów, wybite szyby w oknach, narkotyki? Może na przedmieściach Paryża, nie u nas. Gdy moi rodzice przenieśli się z Milanówka do Warszawy, zamieszkali na osiedlu Zatrasię projektu wybitnego architekta modernizmu Jacka Nowickiego. Wielka radość, chociaż mieszkanka kłitki, za to wokół wszystko, co powinien mieć racjonalnie zaprojektowany zespół mieszkalny: przedszkole, sklepy, zieleń itp. Dziś Zatrasię wpisane jest do rejestru zabytków.

Moi rodzice zdziwiliby się, że ich kuchnia bez okna jest zabytkiem, ale jeszcze bardziej wściekłoby ich (gdyby żyli), że ich ostatnie miejsce do życia to „blokowisko”.

Słowo tymczasem chytrze przedostało się do polityki, gdzie różni kandydaci do czegoś tam próbują nim zawładnąć, przekonując publikę, jakie to z nich fajne, zwykłe chłopaki. Także ludzie spoza polityki. Zdaje się, że nawet Rafał A. Ziemkiewicz. Czy tak, panie Rafale? ©©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zawody katów pod Starodubem



JACEK KOMUDA

Starodub na Siewierszczyźnie, dziś w Rosji, to typowe przygraniczne miasto ery Putina, kilka ponurych ulic, szare bloki, niewiele odnowionych domów z drewna, prawie żadnych zabytków i obowiązkowy skwer z czołgiem z drugiej wojny. W XVI w. miasto było potężną twierdzą i odegrało rolę w wojnie 1534 r. Król Zygmunt Stary próbował wówczas odzyskać Smoleńsk.

Po początkowych sukcesach Moskwa zgromadziła potężne siły i w lutym 1535 r. armie cara wkroczyły na Litwę, dochodząc aż do Mołodeczna i prowadząc kampanię z nieopisanym okrucieństwem. Z pomocą przyszła Korona, która przysłała armię pod wodzą hetmana Jana Amora Tarnowskiego. Uderzył on najpierw na Homel, a po

jego zdobyciu podszedł pod Starodub, oblegając 30 lipca tę twierdzę. Nie poszło mu łatwo, ponieważ miasto otaczały potężne, drewniano-ziemne fortyfikacje, wobec których słabo sprawdzał się ostrzał z dział.

W dodatku broniła go liczna załoga pod wodzą Fiodora Wasylewicza Owczyny-Oboleńskiego.

Tarnowski nie na darmo cieszył się sławą wybitnego dowódcy. W szeregach jego armii znajdował się oddział minerów – kopaczy, którzy rozpoczęli drążenie podkopów, aby wysadzić minę prochową pod wałami twierdzy. Było to zaskoczenie dla Moskali nieprzyzwyczajonych do takiego sposobu zdobywania twierdz. Szybko uznali to za czary, jednak nie zamierzali się poddawać. Rozwścieczony hetman oświadczył, że jeśli nie skapitulują, to każe ich wszystkich wyciąć

w pień. Jednak nawet te groźby nie poskutkowały.

29 sierpnia eksplozja miny prochowej spowodowała zawalenie się sporej części umocnień. Wówczas załoga, nie mając wyjścia, poddała się. Jednak hetman postanowił pokazać, że dotrzymuje słowa, i kazał wyciąć prawie wszystkich jeńców. „Przeto Jan z Tarnowa, hetman zwierzchni, kazał ścinać wszystkie stare i mniej godne, a tylko co cenniejsze zostawiono” – napisał o tym kronikarz Marcin Bielski.

Zanim zaczniemy potępiać hetmana, przypomnijmy, że rzezie jeńców na polach XVI-wiecznych bitew zdarzały się bardzo często; dokonywano ich zarówno w akcie zemsty, jak i z wyrachowania, kiedy np. stanowili zbyt wielki kłopot obciążający zwycięską armię. Należy też pamiętać, że mało chwalebny czyn hetmana był zemstą za okrucieństwa, których dopuszczały się wojska moskiewskie. „A nad tymi ludźmi – pisał Bielski – był najwyższym sprawcą Owczyna, opiekun kniazia moskiewskiego, który okrucieństwo takowe czynić dopuszczał, że dzieci małe na koły wtykać kazał”. Choć źródła polskie mianują dowódcą obrony Staroduba samego Iwana Owczinę-Oboleńskiego, to jednak opracowania rosyjskie podają, że był to jego krewny – Fiodor.

Ponieważ żołnierze i służba hetmana brzydzili się wymordować jeńców, Tarnowski sprowadził małodobrego mistrza – Stanisława z Gorliczyny razem z pomocnikami. Ci fachowcy sprawnie oddzielili głowy od tułowia ogromnej rzeszy Moskali – było ich zapewne ok. 1,4 tys. Rozmiary tej egzekucji

Hetman Jan Amor Tarnowski
FOT. DOMENA PUBLICZNA

budzą przerażenie i zdumienie. Jest prawie niemożliwe, aby przeprowadzono ją jednego dnia. Raczej była to długotrwała ceremonia, w której asystowało wojsko pilnujące jeńców i wyprowadzające ich na plac straceń. Sam Tarnowski nie czuł z tego powodu zażenowania, po-

nieważ scena egzekucji uwieczniona została na licznych drzeworytach i płaskorzeźbie na nagrobku Jana i Krzysztofa Tarnowskich, w bazylice katedralnej w Tarnowie.

W każdym razie była to mordercza ceremonia, w której kat i jego pomocnicy rywalizowali w liczbie sprawionych Moskali. Zapewne ścinali mieczem, tnąc kłęczących jeńców. Czasem musiał przytrzymać skazanego za włosy jeden z pomocników. Ciekawość budzi zresztą sama osoba mistrza. Gorliczyna to wieś koło Przeworska należąca w XV w. do Spytka i Rafała Jarosławskich, po których przeszła ona w ręce Hieronima, a potem – samego hetmana Jana Tarnowskiego. Kat, który pochodził z tej wsi, był zapewne jednym z chłopskich synów, któremu według przywileju piotrkowskiego wolno było wyjść ze wsi na naukę. Być może działał w niedalekim Jarosławiu, który utrzymywał stałego kata.

Nie wiemy, ile zapłacił hetman za egzekucję takiej liczby jeńców. Jeśli przyjmiemy według taksy ze Świdnicy, że ścięcie jednego Moskala kosztowało tygodniowy zarobek mistrza, czyli 14 groszy, do podziału między kata i kacików było ok. 650 zł, więcej niż roczny zarobek marszałka dworu króla Zygmunta Starego. Mistrz i czeladnicy wyszli zatem na egzekucji bajecznie bogaci! ©



RYS. MART



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Raport z obleżonego kraju

Trafił mi w ręce raport Instytutu Sobieskiego pod wielce znaczącym tytułem „Polska w dryfie”. Jest to analiza działań przeciwników tego rządu. Diagnoza jak diagnoza, wiadomo, że rządowi nie idzie, ale po autorach raportu widać, że mają w sobie żylkę działaczy państwowych. Głównie przebijają to poprzez wnioski, które formułują w zakresie egzegezy poczyniań rządu. Raport lokuje je często w obszarze błędnych decyzji strategicznych gabinetu Tuska, dyskutuje z nimi i podsuwa „lepsze” pomysły.

Moim zdaniem to ślepa uliczka. Z dwóch powodów. Po pierwsze, w rządzie nie ma strategicznego myślenia, a co dopiero błędnych wyborów w strategii. Po drugie – co gorsze – jeśli widać strategię, to raczej w konsekwentnym, wielowymiarowym, czyli celowym demontażu państwa. Od jego instytucji, poprzez systemy działania trójpodziału władzy, aż do hamowania wszelkich prorozwojowych inicjatyw, nawet tych rozpoczętych przez poprzedników. A więc „naprawianie” tego nie ma sensu, gdyż proponowane „lepsze” rozwiązania nie są w tym przypadku trafne, gdyż dotyczą innych przesłanek.

Raport ma też część konstruktywną. To znaczy przeciwstawia stu (niedowieszonym) konkretnym Tuska swoje sto konkretnów. Czyli co powinniśmy zrobić. Widać tam wyraźną chęć dokończenia procesów rozpoczętych

za PiS. Daje to wgląd, jak (teoretycznie) rządziłby dziś PiS, gdyby władzy nie stracił. I wygląda to kiepsko.

To wciąż ten sam małostkowy slalom, rzeczy w wielkości przyczynkarskie, które nie robią większej różnicy, choć i tak wyglądają na jakąś aktywność w porównaniu z zastojem uśmiechniętej Polski. Brak tam strategicznego poziomu myślenia, wyjścia od całości, głównie naszych geopolitycznych uwarunkowań. Propozycje polityki obronnej czy strategii dyplomatycznej są w raporcie miałki, klientystyczne, jakby były projektami rozporządzeń do ustaw już dawno unieważnionych przez wydarzenia.

Polsce wyraźnie brakuje w III RP ośrodka myśli strategicznej – nie zapewniają tej przestrzeni żadne think tanki, gdyż te albo są przyspawane do konkretnego plemienia, albo – nie mając środków – zajmują się pośrednim lobbieniem tematów zleconych przez sponsorów. I tak tu sobie żyjemy – pomiędzy rządem Tuska, którego bezczynność nosi znamiona bezczynności z premedytacją, a alternatywą PiS, który jeśli dziś byłby u władzy, wciąż wysadzałby pociągi w nieistniejącej wojnie. Wydaje się, że czasy nie są na drobne poprawki, ale wymagają – również od nas, tu w Polsce – posunięć radykalnych. Tej woli nie widać ani w obecnej politycznej plemienności, ani w szansach na aktywność spoza tego duopolu. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Rodzicu, dzwoń na policję

Decyzję wprowadzenia do szkół tzw. edukacji zdrowotnej podjęła szefowa MEN Barbara Nowacka, powierzając opracowanie podstawy programowej Zbigniewowi Izdebskiemu.

Czy o zdrowie uczniów tu chodzi? Spójrzmy na biografie wyżej wymienionych. Barbara Nowacka zaczynała karierę w Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, organizacji, która – jak ustalił sąd (proces Nowicka przeciw Najfeld) – jest na liście płac IPPF, największego promotora aborcji na świecie. Potem jako zdeklarowana feministka tworzyła z Januszem Palikotem Twój Ruch i budowała antykonserwatywną koalicję. Jeśli konserwatyzm oznacza m.in. zachowanie wartości, które w przekazie pokoleniowym chroniły prawo naturalne, ład społeczny, religię i rodzinę, to agenda Nowackiej dąży do zniszczenia tego dorobku.

Dlatego nie kryjąc prawdziwych celów rewolucyjnego programu, sięga po seksuologa Izdebskiego, który nawet nie jest lekarzem. Izdebski, przedstawiciel Instytutu Kinseya i IPPF, znał skazanego za pedofilię psychologa Andrzeja Samsona i współpracował z nim. Seksuolog napisał koledze wstęp do książki, która powstała w trakcie odbywania kary. Dwadzieścia lat temu, gdy średni wiek inicjacji seksualnej u polskich nastolatków był powyżej 18. roku życia, Izdebski wprowadził do 250 polskich szkół ankietę, która rzekomo dotyczyła ryzykownych

zachowań młodzieży (w wieku 14–17 lat). Treść pytań nie była znana dyrekcji ani rodzicom, w trakcie badań nauczyciele musieli opuścić klasę. Oto próbka pytań, na które musieli odpowiedzieć np. 14-letni uczniowie: • Jaki rodzaj wynagrodzenia otrzymałeś za świadczenie usług seksualnych? a) płyty CD; b) jeansy; c) posiłek w McDonaldzie; d) inne. • Czy uważasz, że stosunek seksualny osoby dorosłej z osobą niepełnoletnią (o ile obie się zgadzają) powinien być dopuszczalny: od 10. roku, od 12. roku, od 14. roku życia? • Z kim zwykle oglądasz/oglądałeś pornografię? Jaki rodzaj pornografii? a) seks ze zwierzętami; b) seks pomiędzy więcej niż dwójgim ludzi. • Jak bardzo prawdopodobne jest, że zdecydowałbyś się na stosunek seksualny z dzieckiem, gdybyś był pewien, że nikt się nie dowie i nie będziesz za to ukarany?

Izdebski, wiedząc, że miażdżąca większość spośród 5 tys. ankietowanych nie miała takich doświadczeń, dokonał agresji na ich niewinność. Perwersyjne insynuacje to akt przemocy wobec dzieci, które wbrew woli zostały wystawione na kontakt z takimi treściami. I jeszcze jedno. Izdebski i Nowacka nie mają szczęścia do współpracowników. Zarówno Palikot, jak i Samson wylądowali za kratami. Dziś opisane wyżej osoby decydują, o czym będą uczyć się nasze dzieci i wnuki. Na szczęście jest jeszcze art. 200 Kodeksu karnego. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wszędzie masło

W mijającym tygodniu nikt nie widział Trzaskowskiego w Hali Mirowskiej. Stop.

Mało znana, mało rozpoznawalna, za to ciesząca się małąkimi poparciami Magdalena Biejat została kandydatem Lewicy na prezydenta Polski. Stop. Do niedawna była członkiem partii Razem, ale – zdaje się – kariera wymagała odejścia z tego ugrupowania, więc... Stop. Maciej Konieczny z Razem poinformował, że nie będzie głosował na dawną koleżankę, ponieważ: „Gdybym dostawał złotówkę za każdym razem, gdy Magda Biejat zmieniała pogląd w kluczowej kwestii, to mógłbym sobie kupić masło. A to nie są tanie rzeczy...”. Stop. Po wyborach Biejat trafi do Platformy?

Krowy podobno zaczęły dawać mniej mleka i ceny masła poszybowały do ponad 10 zł za kostkę. Stop. Kandydat PO na prezydenta Trzaskowski wygłupił się publicznie, obwiniając o to prezesa Narodowego Banku Polskiego, tak jakby ten w skarbcu więził muczące. Stop. Tusk dostrzegł jednak, że na masle naprawdę może się poślisnąć, i nakazał wyprzedaż na rynek 1 tys. ton z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Stop. Rozumiej państwo sytuację? Stop. Rząd poczuł się zagrożony maślanym gniewem ludu i ze strachu napoczął strategiczne rezerwy. Stop. Jak obliczono, 1 tys. ton daje... 27 gramów na statystycznego Polaka, czyli tak do posmarowania dwóch

bułek. Stop. Panie Tusk, trzeba było raczej zająć się rozliczeniami PiS-owców, rządzenie to chyba nie pana żywioł...

„Wyborcza” opublikowała artykuł: „Tak wygląda hakerska akcja »GłosujNaPiS«”. Stop. Mimo nagłówka okazało się, że hakerzy rozsyłali wiadomości, które w oczywisty sposób miały na celu zniechęcić do głosowania na PiS – na co uwagę zwrócił Radosław Fogiel. Stop. I tu znów zaskoczenie: Dominika Wielowieyska z „Wyborczej” przyznała, że inspirowana przez rosyjskie służby akcja była skierowana przeciwko PiS. Stop. Rozumiej teraz państwo narrację Platformy? PiS jest propuciniowski, dlatego Putin pomaga PO, niszcząc PiS... Tak, tak, to się klei. Stop. Tym mózgom z Silni Razem to się klei.

„Okazał się właściwie agentem rosyjskim, człowiekiem Putina i to było widać przez cztery lata jak na dłoni” – odnalazł się kolejny materiał, tym razem z 2022 r., na którym Donald Tusk publicznie bredzi o Donaldzie Trumpie, zarzucając mu bez cienia dowodu zdradę własnego kraju, czyli najobrzydliwsze przestępstwo. Stop. Jak wieść gminna niesie, Tusk nie dostał od prezydenta USA zaproszenia na zaprzysiężenie 20 stycznia. Stop. To, że patologiczny kłamca Tusk zaczyna być persona non grata na światowych salonach, to jedno, drugie i ważniejsze, że przez swoje chorobliwe łgarstwa zaczyna być obciążeniem i zagrożeniem dla Polski. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Lozańska misja husarza

Niepokojącą przemianę można zaobserwować w deklarowanych przez obywateli Ukrainy opiniach na temat Polski. Jeszcze w roku 2022 pozytywne zdanie o Polsce i Polakach miało aż 82 proc. Ukraińców. Rok później było to już 67 proc., natomiast w tegorocznych badaniach opinię taką podtrzymało już tylko 42 proc. badanych. Okazuje się, że zdaniem Ukraińców największej pomocy wojennej udzielili im Brytyjczycy, a po nich Niemcy.

Jest to smutna porażka naszej polityki wschodniej. O przychylności Ukraińców zabiegali polscy politycy na wszelkie sposoby. Prezydent Andrzej Duda nie uwalniał się niemal z uścisków Wołodymyra Zełenskigo, czego zaś nie wyraził gestami, opisał słowem. „Mam nadzieję, że fizycznej granicy po tej wojnie między Polską a Ukrainą nie będzie, zwłaszcza kiedy Ukraina stanie się częścią UE” – mówił prezydent w 2023 r., dekorując Wołodymyra Zełenskigo Orderem Orła Białego.

Równie odrealnione obietnice składał jeszcze wcześniej Jarosław Kaczyński. Proponował on wystanie na Ukrainę misji wojskowej NATO. „Sądzę, że potrzebna jest misja pokojowa NATO albo szerszego układu pokojowego. Misja, która będzie potrafiła się obronić, która znajdzie się na terenie Ukrainy i nie będzie to misja obronna.

Będzie to misja dążąca do pokoju, pomocy humanitarnej, ale będzie też osłonięta przez odpowiednie siły zbrojne. To coś, czego Europa, Ukraina i świat najbardziej potrzebują” – zapowiadał Kaczyński w Kijowie w marcu 2022 r.

Od tej szumnej deklaracji minęły już trzy wojenne lata. Zdaniem Donalda Trumpa Ukraina straciła w tym czasie „niepotrzebnie” „zdumiewającą” liczbę 400 tys. żołnierzy i wiele ofiar cywilnych. Konfliktu tego, nazywanego „szaleństwem”, można było zdaniem Trumpa z powodzeniem uniknąć.

Słowa Jarosława Kaczyńskiego, współcześnie rzadko przypominane, wyleciały w roku 2022 r. wróblem, a dziś powracają wołem. Choć niemiecki kanclerz Scholz kategorycznie wykluczył wysłanie na Ukrainę własnych żołnierzy, to dziennik „Die Welt” chętnie przedyskutuje koncepcję misji stabilizacyjnej NATO, nazywając ją jednak „planem Kaczyńskiego”.

Budzi to wspomnienie wieszanych na Ukrainie plakatów przedstawiających prezydenta Dudę w rycerskiej zbroi. Wywoływały one entuzjazm propagandystów po obu stronach granicy. Jak odniosą się Ukraińcy do wieści, że nasz zakuty w stal rycerz wyrusza właśnie na podbój zamku w Lozannie, gdzie mieści się siedziba Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego? Czy wyprawę na Dzikie Pola zdążył już ze swoich planów wykreślić? ©©



KRYSZTOF KRATIUŁ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mis-informacja mal-informacjami

Przeminął rok 2024, przemija również postać tego świata.

Demokratycznego świata. Osobiście nie jestem ultrasem demokracji. Zdaję sobie sprawę, że w historii istniało wiele innych ustrojów, w których ludzie mogli żyć i rozwijać się swobodniej niż dzisiaj, ale wiem też, że może być znacznie gorzej. I to nie za wiele lat, ale już jutro.

Oto na naszych oczach radykalnie przyspiesza projekt domknięcia systemu totalitarnej cenzury, a co za tym idzie – również wolności wyborów. Przyzwyczajaliśmy się już do postępującej cenzury w Internecie. Oswoił się z tym, że pewnych treści publikować nie można, za niektóre wylatuje się z mediów społecznościowych, a na jeszcze sprytniejszych portalach tego typu nieLEWOMYŚLNYM radykalnie obcinane są zasięgi. Przywykliśmy.

Ale oto w minionym roku system poszedł jeszcze o krok dalej. Wydarzenia z Rumunii, gdzie anulowano pierwszą turę wyborów, bo wygrał ją kandydat spoza systemu, łączą się niczym element wielobarwnej mozaiki z decyzją Donalda Tuska o państwowym zabezpieczeniu TVN, a także z postępującymi pracami nad cenzurą, przebiegłe przykrytymi nazwą o „potrzebie walki z fake newsami”. Słowem – jeśli obywatele państwa UE mają mieć jeszcze jakąkolwiek możliwość wyboru, to musi to być wybór wskazany przez koncesjonowane media, pozostające „strategicznym

zasobem rządzących”. Inni bowiem, całe te internety, pokazują przecież ludziom nieprawdę! Prawdę pokazują jedynie chronione przez państwo telewizje, muszą więc pozostać w rękach tych, którzy trzymają z rządzącymi sztafę!

Na całym Zachodzie, a w UE w szczególności, rozpoczęto jednocześnie walkę z ostatnimi elementami wolności w Internecie. Przecież taka akcja jak brexit czy wybór Trumpa nie mogą się powtórzyć! Doskonale opisuje to Agnieszka Stelmach w książce „Mis-informacja, dez-informacja, mal-informacja. Jak powstaje system globalnej cenzury”. Wiemy, czym jest dezinformacja, ale zapewne nie wszyscy słyszeli o mis- i mal-informacjach. Wyjaśnijmy zatem: „mal-informacja” to pojęcie odnoszące się do „prawdziwych informacji, które są celowo używane w sposób wprowadzający w błąd, w celu osiągnięcia określonych celów, najczęściej związanych z wywołaniem negatywnych skutków społecznych”. „Mis-informacja” natomiast, według tej nowomowy, to pojęcie odnoszące się do fałszywych lub nieścisłych informacji rozpowszechnianych nieumyślnie.

Jak pod pretekstem walki z mis-, mal- i dezinformacją budowany jest system cenzury? W UE uchwalono akty prawne, jak Akt o usługach cyfrowych i Akt o wolności mediów, które zwiększają kontrolę nad treściami on-line, koncentrując się na pandemii, wojnie na Ukrainie, a także...

polityce klimatycznej i genderowej. Tu też różnorodność opinii to grzech. Globalne inicjatywy cenzorskie (ONZ, WEF) mają na celu ochronę „integralności informacji” i realizację „celów zrównoważonego rozwoju” – których to celów przecież nikt nigdy demokratycznie nie wybierał.

Cenzurą zajmują się rządy, uniwersytety i organizacje fact-checkingowe. Pod pretekstem walki z dezinformacją próbuje się eliminować narracje „sprzeczne z dominującym konsensusem”, co prowadzić musi do konsolidacji władzy i wprowadzenia nowego, na razie miękkiego totalitaryzmu.

Dopóki słyszeliśmy o cenzurze w Internecie, dopóty ostrzegaliśmy i wzywaliśmy do opamiętania, ale większość społeczeństwa, nawet ta przychylna wolności, nie uważała sytuacji za aż tak poważną. Powszechnego spokoju, jak się zdaje, nie zmącił nawet wielki eksperyment cenzorski pandemii, na niebywałą skalę ograniczający wolność już przecież nie tylko w sieci.

Zanim jednak system ostatecznie się domknął, ocknęli się jeszcze Amerykanie. Zdążyli. A jak będzie w Europie? Czy przebudzimy się, gdy w imię demokracji w jednym państwie UE zakazuje się obywatelom wybrać w wyborach tego, kogo chcą, a w innym rząd – w imię troski o pluralizm – blokuje możliwość kupienia na wolnym rynku prywatnego medium przychylnego władzy?

Czy też społeczeństwo, które zaakceptowało kaganiec, już nigdy nie podniesie głowy? ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOSŁAW SZOSKI

W kościołach szopki i jeden z trzech królów jest zawsze czarny. Taka tradycja. Przybieżeli do Betlejem ze Wschodu. Z jakiego konkretnie? Z Bliskiego Wschodu – kiedyś Persja, dzisiaj Iran, kiedyś Babilonia, dziś Irak – przyszli gdzieś stamtąd. Królami raczej nie byli, ale najprawdopodobniej posłał ich jakiś król lub kilku, skoro dary nieśli królewskie. Nikogo poza królami nie byłoby stać na tak kosztowne prezenty. Złoto – wiadomo, zawsze drogie, kadzidło także, a mirra była wtedy w cenie złota. Skoro wieźli ze sobą taki majątek, to musiała im towarzyszyć karawana ze zbrojną ochroną oraz posługaczami do wielbłądów i stawiania namiotów.

Złoto i kadzidło znamy z autopsji – każdy widział na własne oczy, dotykał, wąchał, zna. Za to mirra jest dla większości tajemnicą – o niej się wie najmniej, dlatego opowiem, co to i do czego: żywica z drzew i krzewów balsamowca. Konsystencję ma taką jak żywica świerkowa (proszę podejść do swojej choinki i pomacać żywicę), czyli najpierw płynnie jak świeży miód, a potem krystalizuje jak miód stary i zawsze klei palce. Mirra pachnie przepięknie, wygląda jak lekko czerwone bursztyny, kruszy się łatwo, a smak ma gorzki. Skąd znamy smak? Ktoś to jada?

W starożytności była stosowana doustnie jako lekarstwo na kiszki i brzuch oraz na choroby dziąseł i zębów. Każdy, kto mirrę zażywał, wiedział, że jest gorzka. Ma właściwości antyseptyczne i znieczulające, leczono nią rany, a dziś stosuje się ją w płynach do płukania ust, pastach do zębów, maściach na skręcone stawy i stłuczenia.

W dawnych wiekach mirrę stosowano też do balsamowania zwłok (była użyta przy balsamowaniu zwłok Jezusa). Dodawano jej do wina, które podawano skazańcom, aby zmniejszyć ból i otumanić. Podano ją również Jezusowi na krzyżu „... lecz On nie przyjął” (Ewangelia św. Marka).

Obok złota i drogich kamieni mirra była jednym ze standardowych podarunków, jakie przekazywali sobie królowie w ramach „protokołu dyplomatycznego” starożytności.

A zatem królami to oni nie byli ani żadnymi magami w rodzaju czarodzieja Gandalfa. Byli odpowiednikami dzisiejszych naukowców. Z samodzielnej roboty naukowej trudno wyżyć, więc pracowali przy jakimś dworze królewskim, zajmując się astrologią (dziś to by były astronomia i fizyka), medycyną, może też czymś w rodzaju chemii – co tam królom było potrzebne. A ponieważ studiowali stare księgi i kojarzyli fakty lepiej niż przeciętny dworzanin, to ich król wysłał z misją dyplomatyczną na dwór Heroda, bo skoro im wyszło z oglądania komety na niebie i czytania starych ksiąg, że narodził się nowy król żydowski, to w ramach stosunków dobrosąsiedzkich należało kogoś posłać na dwór Heroda z gratulacjami. Dziś Duda wysłał Trumpowi kurtuazyjny list i sprawa załatwiona, a wtedy słało się mędrców z karawaną.

Herod, gdy się dowiedział o jakimś nowo narodzonym królu żydowskim, to się najpierw zaniepokoił o swój

tron, a potem wściekł i kazał wymordować wszystkie niemowlęta jak leci – znamy to jako „rzeź niewiniątek”. Zrobił to samo co faraon w czasach Mojżesza – tamten też kazał wyróżnić wszystkie żydowskie niemowlaki, gdy się dowiedział od swojego wróżbity, że narodził się przywódca, który Izraelitów wzmocni, a potęgę Egiptu osłabi.

Wracając do Bożego Narodzenia: trzech mędrców ze Wschodu pokłonili się Jezusowi, położyli dary, a potem wrócili do swoich krajów. W Ewangelii zastosowano liczbę mnogą „krajów”, co jest dowodem poszlakowym, że należeli do „delegacji międzynarodowej”, czyli jeden był pewnie z Persji, drugi z Babilonii (tam narodziła się astrologia) lub – ogólniej – z Arabii, a ten trzeci jest zawsze w szopkach przedstawiany jako czarny. Skąd on? Murzyn z Afryki? Nie bardzo pasuje, bo oni wszyscy przyszli ze Wschodu, a Afryka jest na południu. No ale skoro naukowiec, to może sprowadzony na dwór któregoś z królów jako rezydent – wtedy mógłby pochodzić z Afryki i być czarny. Prawda, ale nie posyła się cudzoziemca goszczącego na naszym dworze jako delegata w ważnej misji dyplomatycznej, bo to tak, jakby Polska wysłała jako przedstawiciela RP na inaugurację Trumpa któregoś z goszczących na Uniwersytecie Warszawskim zagranicznych profesorów.

Odpowiedzi należy szukać w tradycji, czyli np. w bożonarodzeniowej szopce. Figury do szopek, tak jak cała reszta sprzętu i wystroju kościelnego, trzymają się pewnych kanonów. Należy jednak patrzeć na sprzęty starej daty, a nie na te

zupełnie współczesne. (Stroje, w których występowali księża obecni na otwarciu katedry Notre Dame, nie miały NIC wspólnego z tradycją i były paskudne).

W starych szopkach widać wyraźnie, że ten trzeci król, przedstawiany jako czarny, pochodził z Indii. W Indiach są takie ludy, prawie czarne. Indyjskie pochodzenie trzeciego króla potwierdza też wygląd brody – nieafrykański włos i sposób strzyżenia. Na dodatek ten król nosi turban (a nie saharijski zawój na głowę i twarz) oraz bardzo często ma ze sobą słonia w stroju paradnym z palankinem na grzbiecie.

Czyli Persja, Arabia i Indie, trzy dwory królewskie, trzy królewskie dary i karawana, która przybyła ze Wschodu, a potem „odjechali do swoich krajów”.

Po odjeździe królów Herod zarządził rzeź niewiniątek. Święty Józef dostał ostrzeżenie we śnie, że ma natychmiast uciekać do Egiptu. Wziął więc osiołka, posadził na nim Maryję z Dzieciątkiem i tak jak stał, udał się przez pustynię do kompletnie obcego kraju. Którędy uciekał? Być może tą samą trasą, którą Izraelici w czasach Mojżesza przyszli z Egiptu do Ziemi Obiecanej? Tego nie wiemy.

A czym się zajmował w Egipcie przez te kilka lat do śmieci Heroda (wtedy Święta Rodzina wróciła z emigracji)? Józef był cieślą. No ale jak zaczyna cieśla bez narzędzi i warsztatu w zupełnie obcym i wrogim kraju, gdzie nie lubią żydów? Tradycja mówi, że kupił warsztat za to złoto z darów. Czyli wiemy, co się stało ze złotem od jednego z królów, wiemy, co z mirrą od drugiego, nie wiemy, co z kadzidłem. I tu się kończy moja opowieść wigilijna. © ©

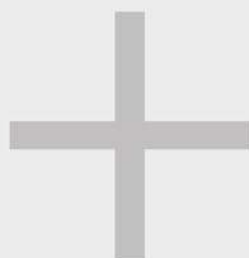
Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~1493~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**SŁAWOMIR KOPER: „NAJBLIŻSZE
KRESY. OSTATNIE POLSKIE LATA”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

493,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 1000zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

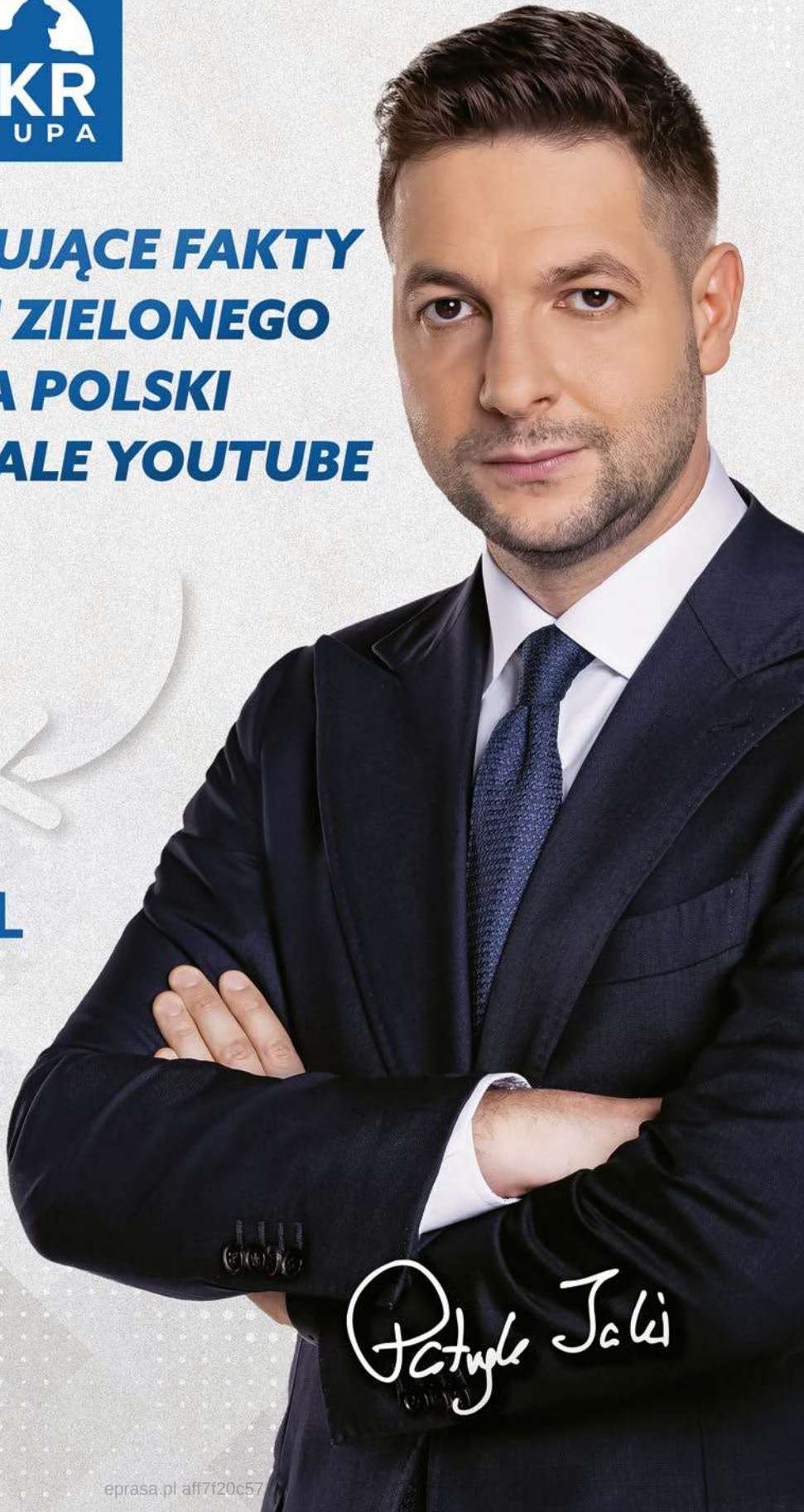
eprasa.pl aff7f20c57



**ZOBACZ SZOKUJĄCE FAKTY
O SKUTKACH ZIELONEGO
ŁADU DLA POLSKI
NA MOIM KANALE YOUTUBE**



@PatrykJakiPL



Patryk Jaki